

ZESZYT STO DWUDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1997

ZESZYT STO DWUDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1997

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 499

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0167-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Tadeusz BUJNICKI

WILNO: TRADYCJE HISTORYCZNE,
KULTUROWE I LITERACKIE JAKO
CZYNNIKI FORMUJĄCE ŚWIADOMOŚĆ
NARODOWĄ POLSKIEJ MNIEJSZOŚCI
NA LITWIE

Kategoria tradycji ma istotne znaczenie dla opisu zjawisk należących do kultury politycznej, przede wszystkim dlatego, że stosunek do wybranych składników własnej i cudzej przeszłości określa w znacznej mierze charakter zachowań jednostek i zbiorowości wobec siebie i wobec obcych. Stanowi zarówno czynnik identyfikacji wewnątrzgrupowej, jak i element odróżniający od innych. Od sposobów artykułowania tradycji zależy w znacznym stopniu jej polityczna rola. Może ona stwarzać płaszczyznę porozumienia, wyznaczać wspólne miejsca różnych tradycji, może jednak być także polem konfliktu. Niebezpieczeństwa antagonizmów rodzą się głównie tam, gdzie powstaje nierówność szans, zagrożone zostają tradycyjne wartości danej grupy i grozi utrata tożsamości. Także tam, gdzie różne formy megalomanii narodowej nakładają się na zmitologizowany obraz przeszłości. Owe napięcia pojawiają się najczęściej w stosunkach pomiędzy większością a mniejszościami narodowymi w danym państwie. Komplikację dodatkową może przy tym stanowić fakt

odmiennego układu sił i relacji w przeszłości. Z tych więc powodów tradycja rzadko stanowi neutralny obszar historyczno-kulturowego dziedzictwa, z reguły jest czynnikiem aktywnym, który może oddziaływać twórczo bądź destruktywnie. Współczesna sytuacja polskiej mniejszości na Litwie pozwala na funkcje tradycji spojrzeć z takiej właśnie perspektywy.

Ramami chronologicznymi, ograniczającymi zawartość szkicu, są daty pięciolecia niepodległości Litwy (1990-1995). Powstanie litewskiego państwa stworzyło bowiem jakościowo nową sytuację dla mniejszości polskiej; nową zarówno pod względem politycznym jak i ideologicznym od tej, która istniała przez całe poprzedzające półwiecze (ściślej od 1939 r.). W tym okresie Wilno parokrotnie zmieniało swoją państwową przynależność. Niespełna rok było stolicą Litwy, później zostało inkorporowane w skład ZSSR; w latach 1941-1944 pozostawało pod okupacją hitlerowską, aby później – ponownie aż do końca lat 80-tych być stolicą sowieckiej republiki. Te fakty zmieniły zasadniczo położenie wileńskich Polaków, którzy ze zbiorowości dominującej i uprzywilejowanej stali się, ograniczoną w swoich prawach, mniejszością. Ruchy migracyjne, repatriacje, zsyłki, represje i terror kolejnych władz sprawiły, że Wilno niemal całkowicie opuściła inteligencja. Jej miejsce zajęli Litwini i Rosjanie. Ten fakt szczególnie mocno zaważył na charakterze tradycji. Podmiotowo stała się tradycją innych narodowości; częściowo wniesioną z zewnątrz i narzuconą; częściowo zreinterpretowaną tradycją miasta z wpisanymi w nią elementami nowymi (litewskimi przede wszystkim). Pamięć polskiej przeszłości ulegała stopniowemu ograniczeniu. Zachowywana w rodzinie i niewielkich zbiorowościach (głównie na wsiach i miasteczkach Wileńszczyzny), nabierała cech „tutejszości” i swojskości. Zachowując język i tradycję ustną, była „polskością” regionalną o anachronicznych cechach folkloru wiejskiego i zaściankowego¹. Jej domenę stanowiły obyczaje, pieśni i opowiadane „historie”. Stąd główny element utrwa-

1. Na ten temat zob. G. Błaszczuk, „Litwa współczesna”, Warszawa-Poznań 1992, s. 323-324.

lający tradycję tkwił w pamięci indywidualnej i zbiorowej oraz był przekazywany w bezpośrednich kontaktach osobistych. Ten rodzaj zachowań kulturowych miał charakter zasadniczo bierny i obronny oraz sprzyjał utrwaleniu w miarę stabilnej liczby Polaków na Litwie (w granicach 7-8% ogółu mieszkańców, w większości zamieszkujących rejony wileński i solecznicki). Z drugiej strony, miały one pewien wpływ na poziom wykształcenia mniejszości polskiej, najniższy w republice litewskiej².

Jednakże przez całe minione półwiecze istniały dodatkowe czynniki ułatwiające zachowanie polskiej tożsamości. Korzystną okolicznością było istnienie na terytorium Wileńszczyzny szkół z polskim językiem nauczania (stopnia podstawowego i średniego). Rodziły one w konsekwencji potrzebę kształcenia nauczycieli; temu celowi służyły: wcześniej – Seminarium Nauczycielskie w Trokach i Instytut Nauczycielski w Nowej Wilejce, przekształcony następnie w Wydział Języka Polskiego i Literatury w wileńskim Instytucie Pedagogicznym (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny). Niezależnie od przykrojonego do potrzeb sowieckiego programu, wszystkie te instytucje edukacyjne wpływały na zachowanie pewnych rudymenarnych składników „wysokiej” tradycji (zwłaszcza literackiej). Nie bez znaczenia jest także fakt, że to właśnie absolwenci wileńskiej polonistyki tworzyli zręb nowej (z reguły pochodzącej z Wileńszczyzny) humanistycznej inteligencji. Tu kształcili się bowiem przyszli dziennikarze gazet polskojęzycznych, głównie *Czerwonego Sztandaru* (od 1990 r. – *Kuriera Wileńskiego*), wileńscy poeci (grupujący się w „Kółkach Literackich”), działacze i uczestnicy zespołów pieśni i tańca, z zasłużoną „Wilią” na czele, aktorzy amatorskiego Teatru Polskiego kierowanego przez Irenę Rymowicz³. Przykładów podobnych można przytoczyć o wiele więcej. Wszystkie te inicjatywy i działania sprzyjały zarówno zachowaniu dawnych „kodów” tradycji, jak i ich rozbudowaniu.

2. Ibidem, s. 324-326.

3. O teatrze wileńskim zob. J. Surwiłło, „Scena polska nad Wilią. W 30 rocznicę Polskiego Teatru”, *Znad Wilii* 1995, nr 4, s. 4-5.

Zdecydowana większość tych przedsięwzięć, podejmowanych w trudnych i nie sprzyjających warunkach, przetrwała próbę czasu i nadal funkcjonuje w niepodległej Litwie. Nadal także są aktywni główni promotorzy inicjatyw kulturalno-literackich. Jednakże zmiana sytuacji w jakiej przychodzi im działać, stwarza zupełnie nowe wyzwania, na które nie sposób już odpowiedzieć według dawnego wzoru. Zniesienie cenzuralnych ograniczeń totalitarnego państwa i wprowadzenie demokratycznego porządku w niepodległej Litwie, spowodowało – paradoksalnie – zaostrenie sporu o przeszłość historyczną Wilna i Litwy. Wpłynęło na charakter pojmowania tradycji, jej tła, genezy i współczesnych funkcji. Stopień zaangażowania „stron” sporu w oceny przeszłości oraz powracające – ze wzmocnioną siłą – resentymenty sprzed półwiecza, powodują, iż w tradycji wileńskiej zaczynają dominować mity i stereotypy⁴. Ogranicza to w sposób oczywisty zobiektywizowaną analizę faktów i zjawisk, które formują obraz tradycji. Dlatego, dokonując „rekonesansu” w obrębie tej właśnie problematyki, należy zdać sobie sprawę z zawężonej perspektywy czasowej oraz siły presji emocjonalnej.

Wyodrębniając tradycję „polską” należy również pamiętać o jej wielonarodowościowym kontekście, który jest zarazem kontekstem wielokulturowym⁵. Dodatkową komplikację stanowi przy tym fakt, że część polskich składników tradycji Wilna występuje i ulega zreinterpretowaniu w obrębie tradycji innych (przede wszystkim – litewskiej). To zaś z kolei powoduje spory o „właściciela” i głównego „dysponenta” wileńskiego dziedzictwa kulturalnego, historycznego i literackiego.

Obok owych zewnętrznych uwikłań tradycji Wilna, istotny sens ma jej wewnętrzne uporządkowanie. Dotychczasowe ograniczenia i izolacja powodowały, że całe obszary

4. O funkcjonowaniu stereotypów polskich i litewskich zob. materiały zamieszczone w *Kontekstach* 1993, nr 3-4 (zwłaszcza artykuły Algisa Kaledy, Arunasa Bubnysa, Tomasa Venclovy, Czesława Okinczyca i in.).

5. Problematyce wielokulturowości była poświęcona międzynarodowa konferencja „Wilno-Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur” 21-24 IX 1989 r., której materiały zgromadzone w 4 tomach ukazały się w Białymstoku w 1992 r.

historii i kultury stanowiły „białe plamy” w świadomości wileńskich Polaków. Stąd istotnego znaczenia nabierało przypomnienie i rekonstrukcja całych, wielkich połaci dziedzictwa. Ów wyraznie dostrzegalny we współczesnych publikacjach wysiłek skierowany na przypomnienie zdarzeń, postaci i ich dzieł, jest nie tylko zadaniem poznawczym, lecz także – a często przede wszystkim – zadaniem interpretacyjnym i oceniającym. Tendencja ta niesie ze sobą pewien anachronizm: swoją „historycznością” przeciwstawia się bowiem „ahistoryzmowi” postaw konsumpcyjnych i produkcyjnych. Widać to zresztą w nastawieniach pokoleniowych. Spory o tradycję toczą się głównie wśród przedstawicieli generacji średniej i starszej. W znacznym stopniu są one motywowane przez pamięć, sięgającą lat międzywojennych i wojny. Jej podstawę stanowią często przeżycia i losy indywidualne oraz skłonność do wzajemnego wystawiania „rachunków krzywd”. Stąd też rodzi się silnie emocjonalne zabarwienie owych sporów.

Dodatkową komplikację w obrazie współczesnych wileńskich tradycji stanowi fakt znaczącego (a nawet dominującego) wpływu na ich ukształtowanie, nie tyle samej mniejszości polskiej na Litwie, ile dawnych mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny, zmuszonych do repatriacji, deportowanych i emigrujących w czasie wojny. Ich punkt widzenia nie musi jednak pokrywać się z perspektywą „litewskich” Polaków, dzieli ich często różnica doświadczeń i dążeń. Natomiast aktywność i ekspansywność „dawnych” Wilnian, w połączeniu z rozległą wiedzą o odległej i bliskiej przeszłości, kreuje ich na „przewodników” duchowych mniejszości polskiej⁶. Niezależnie jednak od wartości i znaczenia przypominanych tradycji oraz potrzeby ich upowszechnienia, niebezpieczeństwo megalomanii a nawet ksenofobii w połączeniu z brakiem zrozumienia sytuacji i kontekstów litewskich, mogą stać się (i często są) czynnikami konfliktogennymi⁷.

6. Aspiracje takie można dostrzec w licznych Towarzystwach Miłośników powstających w latach 1988-1990 (zob. „Kronika polska”. *Lituania*, nr 1, s. 11-15 i 123-131).

7. Do takich tekstów należy m.in. artykuł R. Szawłowskiego, „Traktat polsko-litewski. O przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy z dn. 26 kwietnia 1994 roku”. *Wileńskie Rozmaitości* 1995, nr 5-6.

Do takich newralgicznych punktów należą niewątpliwie okres międzywojenny i wojna. A zatem te obszary dwudziestowiecznej historii, które posiadają jeszcze „naocznych” świadków i których opinie subiektywne mogą nabierać cech szczególnej wiarygodności i nie poddawać się żadnym racjonalizmom. Opinie te, skupione wokół sporu o „własność” Wilna, zarówno w sensie politycznym jak i historyczno-kulturowym, dokonują zawłaszczeń totalnych. Wilno jest albo „polskie” albo „litewskie”. Stąd lekceważenie całych obszarów tradycji i pomijanie niewygodnych faktów. Stąd dwie wykładnie akcji Żeligowskiego; stąd też ocena okresu międzywojennego: historiografia litewska – z reguły – określa je jako „polską okupację” Wilna, natomiast strona polska często „zapomina” o antylitewskim i represyjnym postępowaniu polskiej administracji; z kolei dążenia Litwinów do odzyskania Wilna, uzasadniane historycznymi argumentami, nabierają dwuznacznego sensu w momencie przejścia miasta w 1939 r. na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow; wreszcie przedmiotem ciągłych kontrowersji jest rola wileńskiego AK w okresie okupacji⁸. Na takim historycznym tle pojawiają się litewskie oskarżenia o „polonizację” Wileńszczyzny i polskie – o niszczenie śladów polskości. Przywołane wyżej punkty sporne i z gruntu odmienne oceny faktów, są tylko „wierzchołkiem góry lodowej”, ukazującym jak znaczne komplikacje ciążyą na stosunkach polsko-litewskich i jak łatwo mogą one podsycać nacjonalizmy istniejące po obu stronach.

Niniejszy szkic-„rekonesans” częściowo abstrahuje od zarysowanej problematyki – pozostawiając ją historykom-profesjonalistom – skupia się natomiast na szerszej koncepcji tradycji, przede wszystkim kulturowej, kształtującej podstawy narodowej tożsamości mniejszości polskiej na Litwie oraz wiąże jej przesłanki z charakterem przeszłości Wilna. Kieruje także uwagę na czynniki, które tworzą płaszczyznę porozumienia i koegzystencji różnych narodowych tradycji miasta.

8. Ostatnio spory zaostrzyły się po odnalezieniu w kościele bernardyńskim dokumentów AK; kontrowersje wzbudziła także książka pt. „Armija Krajowa Lietuvoje (zob. J. Malinowski, „Armija Krajowa Lietuvoje”. *Rozmaitości Wileńskie* 1995, nr 6, s. 6).

Zmiany zachodzące w ZSSR w drugiej połowie lat 80-tych, *pieriestrojka* i rozbudzone ambicje wolnościowe, spowodowały, że w okresie niepodległości Litwy społeczność polska wkracza wyraźnie zorganizowana i „wyposażona” w szereg instytucji życia kulturalnego. W 1988 r. zostało powołane Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie (przekształcone następnie w Związek Polaków na Litwie), które za główny swój cel uznało „krzewienie i popieranie języka i kultury polskiej, kształtowanie świadomości narodowej”⁹. Również przed 1990 rokiem powstawały: Fundacja Kultury Polskiej na Litwie oraz Związek Polaków Naukowców Litwy. Nadal dla szerokiego odbiorcy adresując swe spektakle zespoły pieśni i tańca (obok „Wilii” coraz większym powodzeniem cieszy się założona w 1981 r. „Wileńszczyzna”¹⁰) oraz teatr Ireny Rymowicz.

Cezura 1990 roku, znosząca szereg dotychczasowych ograniczeń, spowodowała pojawienie się szeregu nowych inicjatyw i instytucji. Przede wszystkim rozwija się wileńska prasa; obok *Kuriera Wileńskiego* (przekształconego z *Czerwonego Sztandaru*) pojawiły się nowe tytuły: organ ZPL-u *Nasza Gazeta*, ilustrowany *Magazyn Wileński* (który podjął także inicjatywę wydawniczą – publikacje Biblioteki *Magazynu Wileńskiego*). Czasopismo kulturalno-literackie *Znad Wilii*, kwartalnik Fundacji Kultury Polskiej na Litwie *W Kręgu Kultury*, wreszcie ukazujący się od 1994 r. tygodnik *Słowo Wileńskie*. Pisma te stały się głównym miejscem wyartykułowania „kanonu” wileńskiej tradycji. Kształtują go liczne publikacje, przypominające ważne – zdaniem autorów – wątki kulturowe i historyczne z przeszłości miasta. Funkcje dopełniające ów obraz pełnią polskie audycje radiowe i telewizyjne oraz – w sposób oczywisty – lekcje języka polskiego w szkołach i programy polonistyk: na Uniwersytecie Pedagogicznym i Uniwersytecie Wileńskim (od 1993 roku). W roku 1992 rozpoczęły się spotkania „Śród Literackich” w Celi Konrada, reaktywowane z inicjatywy Czesława Miłosza

9. Informacje i cytaty za: G. Błaszczak, op. cit., s. 316.

10. zob. np. cykl artykułów H. Jotkialo w *Kurierze Wileńskim* (1995, nr 99 i n.) o występach „Wileńszczyzny” w USA.

i będące miejscem kontaktów inteligencji różnych narodowości¹¹. Zaktywizowało swoją działalność także środowisko literackie, uczestniczące od 1994 roku w imprezie „Maj nad Wilią”¹². Powyższe wyliczenie – dalekie od kompletności i występujące raczej na prawach przykładu – ma przede wszystkim sens dokumentujący. Przedstawia aktualny „stan posiadania” mniejszości polskiej na Litwie. Wskazuje równocześnie na rodzaj „przekazników” tradycji i zasadnicze formy jej obiegu. Nie odpowiada natomiast na inne, podstawowe pytania: o „głębokość” wpływu tradycji, o jej zasadnicze jakości i motywacje, także na pytania o „nosieli” tradycji, ich kompetencje, wiedzę i ideologię. Są to pytania trudne i na część z nich odpowiedź może być jedynie hipotetyczna.

Czynnikami, które miały wpływ na zasięg i charakter polskich tradycji, były nie tylko zdarzenia polityczne i ich ideologiczne konsekwencje, lecz również poziom wykształcenia i sytuacja materialna mniejszości. W rezultacie kontakt ze sferą kultury określony był dostępnością do niej i łatwością rozpoznania jej „kodów”. Dostępność – także w znaczeniu ekonomicznym, ponieważ potencjalni odbiorcy bardziej skomplikowanych form, inteligencja wileńska, w znacznym stopniu uległa pauperyzacji. Na swój sposób „wypiera” także tradycję silna ekspansja komercyjnej pop-kultury. Przykładem – działalność prywatnej stacji radiowej *Znad Wilii*, cieszącej się dużą popularnością. Nie można także wykluczyć wpływu ciążących na świadomości odbiorców przyzwyczajień wyniesionych z kontaktów z kulturą sowiecką, a zwłaszcza kryteriów wartościowania według uproszczonych zasad realizmu. Ów konglomerat różnych presji i wpływów, wyobrażeń i nawyków, tworzy niejednorodne obrazy tradycji, wpisuje ją w sprzeczne konteksty i motywacje oraz uzależnia od „dysponentów” posiadających dostęp do dotacji i innych źródeł materialnego wsparcia. Mimo tych wszystkich przeszkód polskie tradycje Wilna są nadal ważną sferą świadomości zbioro-

11. M. Jackiewicz, „Nowe wileńskie Środy Literackie”. *Kresy Literackie* 1993, nr 3, s. 18-20.

12. W imprezie organizowanej pod patronatem redakcji *Znad Wilii* uczestniczyli również goście z Polski, a imprezy literackie i artystyczne odbywały się w Wilnie i okolicach.

wej „litewskich” Polaków. Trwałość – a nawet rozbudowa – tych tradycji, ich obecność zarówno w „niskich” jak i „wysokich” obiegach, oznacza iż nie są one przejawem krótkotrwałej koniunktury. Odnajdując w „dawnym” Wilnie ślady polskości, tym samym potwierdzano własną tożsamość i prawo do dziedziczenia.

Owym dążeniom towarzyszą dwie, częściowo sprzeczne, tendencje. Pierwsza traktuje Wilno jako przestrzeń wypełnioną znakami polskości, a tym samym jako autonomiczną „własność” polską, oddzieloną, a nawet przeciwstawną tradycjom litewskim. Łączy się ona często z postawami ksenofobicznymi i rewindykacyjnymi. Natomiast druga tendencja ma charakter mediacyjny, stara się ona wpisać Wilno w układ wielokulturowy, w którym współistnieją różne tradycje. Dla obu ranga polskiej tradycji w dziejach miasta jest oczywista, jej dominujące i kreatywne znaczenie, zwłaszcza w sferze kultury nie ulega wątpliwości. Różni je natomiast stopień „otwartości”. Dla pierwszej z wymienionych tendencji, wileńska polskość stanowi wartość szczególną, wyodrębnia się jako zasadniczy czynnik krystalizujący historię Wielkiego Księstwa Litewskiego, a wzorce kultury polskiej wpływają na świadomość innych środowisk. Z kolei druga tendencja spotyka się z przekonaniem części inteligencji litewskiej, również dostrzegającej w przeszłości miasta składniki wielokulturowości, w której wątki polskie są szczególnie mocne. Ten sposób myślenia zaowocował ostatnio szeregiem ważnych publikacji, ukazujących ową wspólnotę tradycji. Świadczą o tym książki o tradycjach romantyzmu¹³ i o Mickiewiczu¹⁴, krytyczne edycje Sarbiewskiego i Czeczota¹⁵, a także wydanie także polskojęzycznych utworów A. Baranauskasa. Podobne

13. V. Kubilius, „Romantizmo tradicija”, Vilnius 1993.

14. A. Pirockinas, „Devyneri Adamo Mickevyciaus metai”. Vilnius 1995, zob. rec. M. Jackiewicz, „Książka litewskiego profesora o wileńskich i kowieńskich latach wieszca polskiego”, *Znad Wilii* 1995, nr 20, s. 6.

15. W bardzo starannym opracowaniu i tłumaczeniu na język litewski R. Kozeniauskiene, ukazało się pierwsze wydanie dwujęzyczne I. Czeczota „Śpiewak o dawnych Litwinach do roku 1434”, nakładem litewskiego Związku Pisarzy, 1994 r.

przekonania dokumentowały wystąpienia uczonych litewskich na zorganizowanej przez polonistykę Uniwersytetu Wileńskiego konferencji naukowej „Wileńskie konteksty romantyzmu” (grudzień 1994)¹⁶. Zarazem jednak strona litewska nierzadko nadużywała zarzutu „polonizacji”, który formułowano jednostronnie, często jako doraźny argument polityczny. W rezultacie dochodziło do polemik i sporów, silnie zabarwionych demagogią. Kontrowersje te przenoszone na płaszczyznę tradycji utrudniały znalezienie „miejsz wspólnych” i neutralnych.

Jak z tego wynika, obraz wileńskich tradycji zależy w dużym stopniu od tego, kto w jaki sposób i w jakim celu ją artykułował. „Dysponentami” tradycji po stronie polskiej są – jak o tym już była mowa – zarówno przedstawiciele Polaków mieszkających na Litwie, jak i dawni mieszkańcy Wilna i jego okolic, obecnie przebywający w Polsce bądź w innych krajach. Podział ów wpływa na odmienność perspektyw oraz różnice w punktach widzenia. O ile Polacy „litewscy” są zdeterminowani przede wszystkim przez teraźniejszość, a ich obraz przeszłości łączy się ściśle z otaczającą przestrzenią, daną „tu i teraz”, o tyle dla dawnych mieszkańców Wilna czynnikiem organizującym ich wyobrażenie tradycji jest przede wszystkim pamięć. Do tej grupy nosicieli tradycji, wywodzącej się najczęściej z międzywojennych środowisk naukowo-artystycznych, urzędniczych i rodzin oficerskich, przeszłość Wilna jest w znacznym stopniu określona przez arkadyjski mit „kraju lat dzieciennych”, mit utraconych kresów, werszcie przez mit polityczny Wielkiego Księstwa Litewskiego¹⁷. Na stosunku do przeszłości odcisnęły także piętno wojenne i powojenne urazy, których część dotyczy bezpośrednio Litwinów. Ów konglomerat historii i resentymentów

16. Sprawozdanie: T. Bujnicki, „Wileńskie konteksty romantyczne”. Międzynarodowa Konferencja Naukowa na Uniwersytecie Wileńskim *Kultura* (Paryż) 1995, nr 4, s. 133-135.

17. Z bogatej literatury przedmiotu poświęconej problemom tradycji kresowych należy przede wszystkim wymienić: N. Taylor, „Dziedzictwo W.X. Litewskiego w literaturze emigracyjnej”. *Kultura* 1986, nr 10; S. Uhasza „Literatura kresów – kresy literatury”. Rzeszów 1994 oraz wydaną ostatnio książkę J. Kolbuszewskiego, „Kresy”. Wrocław 1995.

szczególnie mocno intensyfikuje i „ożywia” wspomnienia, tworząc „jasną” wizję kresowej polskości¹⁸, w której znaczną rolę odgrywają wątki ziemiańsko-szlacheckie. Ten sposób widzenia przeszłości Wilna sprzyja ukształtowaniu poglądów o szczególnej misji historycznej dysponentów tradycji: misji, która pozwala im określać właściwe i pożądane składniki świadomości litewskich Polaków. Stanowisko to łączy się często z przekonaniem o „zswietyzowaniu” mniejszości polskiej, a więc potrzebą reedukacji. Ów paternalizm dążący do objęcia „rządu dusz”, eksponuje w obrazie tradycji przede wszystkim motywy o wyraźnym aspekcie emotywnym: patriotycznym, religijnym czy moralnym. Są to zazwyczaj tradycje walki i martyrologii, odsuwające na plan dalszy tradycje współpracy i współistnienia zróżnicowanych narodowo i kulturowo środowisk wileńskich. Taki wybór jest skądinąd zrozumiały jako likwidacja „białych plam” i zafałszowań, niemniej tworzy on obraz w znacznym stopniu niepełny i – co gorsza – łatwo poddający się stereotypizacji.

Nie jest to jednak jedyny rodzaj relacji między dawnymi mieszkańcami Wilna a mniejszością polską na Litwie. Wśród wielu publikacji zamieszczanych na łamach polskiej prasy wileńskiej, znaczną część stanowią teksty o nastawieniu poznawczym i otwartym na „wspólność” wileńskich tradycji. Akcentując zasadę tożsamości narodowej litewskich Polaków, są przeciwne polskiemu gettu, mentalności obłożonej twierdzy. Wielokrotnie krytyczne wobec prób ograniczania mniejszości polskiej, prezentują zasadniczo punkt widzenia o wadze polskich tradycji dla całej społeczności miasta. Przykładem takich tendencji mogą być artykuły Mieczysława Jackiewicza¹⁹, Wojciecha J. Podgórskiego²⁰, Leona Brodow-

18. „Kresy są słowem nieledwie magicznym – pisze Jacek Kolbuszewski – budzącym wzruszenia, nostalgię, refleksje historiozoficzne, przemyślenia o osobliwościach dziejów naszego narodu i państwa” (*ibidem*, s. 12).

19. Zob. np. zamieszczane w ostatnich rocznikach *Znad Wilii*: cykl „Wilno sprzed stu laty”, czy liczne szkice o literaturze dziewiętnastowiecznej.

20. Zgromadzone w książce „Litwa-Polska XIX i XX wieku. Inspiracje literackie, kulturalne, oświatowe”. Warszawa 1994.

skiego, Sławomira Kalembki i wielu innych oraz liczne wywiady (z których niewątpliwie największy ciężar gatunkowy mają wywiady z Czesławem Miłoszem²¹).

Na tle ekspansywnej i wielopłaszczyznowej aktywności autorów „zewnętrznych”, działalność i dorobek środowiska wileńskiego na pierwszy rzut oka wygląda raczej ubogo. Jest to jednak złudzenie perspektywy. Wydaje się bowiem, że to właśnie Wilnianie pełnią rolę najważniejszą jako „dysponenci” tradycji i pośrednicy między mniejszością polską a dawnymi mieszkańcami Wilna. Do współczesnych Wilnian należy w dużym stopniu wybór i publikacja materiałów „polskich”, oni też – znając potrzeby, możliwości percepcyjne i poziom wykształcenia mniejszości polskiej – mają odpowiednio dostosowywać do nich różne składniki tradycji. Nie oznacza to, iż współczesne środowisko inteligencji wileńskiej działa zgodnie i w podobnym kierunku. Przeciwnie, cechuje je spore zróżnicowanie. Inna jest polityka redakcyjna *Naszej Gazety*, inna *Kuriera Wileńskiego*, inna wreszcie *Znad Wilii* czy *Magazynu Wileńskiego*. Podobne rozproszenie można dostrzec wśród istniejących w Wilnie instytucji polskiego życia kulturalnego. Nie zmienia to jednak faktu, iż zasadnicze wybory i metody przedstawienia tradycji są podobne (choćby dzielą je oceny i interpretacje).

Autorzy publikacji poświęconych polskim tradycjom Wilna przeszli długą i skomplikowaną drogę. Od nieśmiałyłch i ograniczanych przez cenzurę i stopień wiedzy artykułółw o „śladołch” Mickiewicza, Syrokomli czy Kraszewskiego (ogłoszanych w *Kurierze Wileńskim*), do znaczących pozycji książkowych Biblioteki *Magazynu Wileńskiego*, m.in. Jerzego Surwiłły („Wileńskimi śladami Adama Mickiewicza²²”, „Rachunki nie zamknięte. Wileńskie ślady na drogach cierpień²³” i Alwidy Antoniny Bajor (Rolskiej) „Piorun jezioro czerwone” (o Żułowie Piłsudskich)²⁴. Książki te (po-

21. Z ostatnich można wymienić: R. Mieczkowskiego, „Wileńskie szlaki słynnego rodaka”. *Znad Wilii* 1995, nr 16 i „Nie tylko o poezji. Z Czesławem Miłoszem rozmawia Algis Kaleda”, *Znad Wilii*, nr 18).

22. Wilno 1993.

23. Wilno 1992.

24. Wilno 1995.

dobnie jak wiele innych publikacji) cechuje szczególna, wręcz „pozytywistyczna” pieczołowitość w wyyskiwaniu szczegółu, pietyzm wobec faktów wydobytych ze źródła, rozmowy, z autopsyjnego opisu przedmiotów i przestrzeni.

Tematyczna przestrzeń wileńskich tradycji daje się porządkować z dużym trudem. Nawet stosowanie prostych podziałów na tradycję historyczną, kulturową i literacką pozostawia miejsca „niedookreślone”. Dzieje się tak dlatego, że podstawowymi sposobami przedstawienia tradycji jest biogram i zdarzenie, w małym stosunkowo stopniu odwołujące się do interpretacji, bardziej natomiast relacyjne, opowiadawcze. Mocno natomiast akcentujące składniki wartościujące i wzorotwórcze. Na tych zasadach został zbudowany cykl „Sławni Wilnianie” pióra J. Juliusza Jadackiego, publikowany w *Magazynie Wileńskim*²⁵. Jeszcze wyraźniej funkcje wzorotwórcze przedstawia książka Jana Ciechanowicza „Trzynastu sprawiedliwych”²⁶. Ilość artykułów prasowych sygnowanych w tytułach nazwiskami ludzi zasłużonych dla miasta jest bardzo duża. Wojciech Bogusławski, Michał Baliński, Michał Romer, Ferdynand Ruszczyk, to przykłady pierwsze z brzegu i ostatnich lat. Okoliczności rocznicowe sprzyjają przypominaniu postaci oraz – co jest konsekwencją przyjętej metody – ich idealizacji. Widać to m.in. na przykładzie licznych artykułów poświęconych sylwetce Józefa Piłsudskiego (pozytywnie na tym tle wyróżnia się wymieniona książka Alwidy Antoniny Bajor, przypominająca składniki codzienności Żułowa)²⁷.

Przedstawiając przeszłość Wilna i Wileńszczyzny autorzy z reguły umieszczają ją w obrębie „większej” historii Wielkiego Księstwa Litewskiego, ważnych postaci i zdarzeń określających charakter polskich tradycji. Tradycji, dodajmy, przede wszystkim szlacheckich. Z jednej strony rozbudowuje

25. Ogłoszony później w osobnej książce.

26. Wilno 1993.

27. Poważnym przedsięwzięciem było również zorganizowane przez Stowarzyszenie Naukowców Polaków Litwy symposium historyczne (20-21 maja 1995 r.) „Józef Piłsudski i Jego epoka”. W symposium brali również udział naukowcy litewscy.

się ona w dzieje „wielkich rodów”²⁸, z drugiej zaś – odtwarza świat dworów i dworków, z ich obyczajem i swoistym folklorem. Wiąże się ową przeszłość nierzadko z wątkami tradycji literackiej, jak np. w cyklu reportaży Alwidy Bajor śladami Sienkiewiczowskiego „Potopu” po okolicach laudańskich²⁹, z odwołaniami do Mickiewicza czy Syrokomli. Upowszechnia się ta tradycja dzięki popularnym hasłom heraldycznym Jana Ciechanowicza, czy przypomnieniu grobów zasłużonych Polaków na Rossie, czy cmentarzu bernardyńskim. O owym wątku tradycji „cmentarnych” warto pamiętać, gdyż one szczególnie uwydatniają znaczenie i wartość ziemi z grobami przodków i ich dziedzictwem.

Tym sposobem przeszłość staje się obiektem kultu i szczególnego *sacrum*. Stanowi to niezwykle fenomen polskich środowisk, głównie wiejskich i małomiasteczkowych, w których zachowały się zakonserwowane relikty dawności, jakby żywcem przeniesione z dziewiętnastowiecznego zaścianka. Wbrew wieloletniej indoktrynacji na Wileńszczyźnie uformowały się swoiste „enklawy” tradycji. One to, anachroniczne i zabarwione konserwatywnie, miały niezwykłą siłę przetrwania, ułatwiając współczesne ich ożywienie. Łączą się one wyraźnie z odrodzeniem katolicyzmu, a zwłaszcza obyczaju religijnego, wzorów zachowań i zwyczajów świątecznych. Ujawniając się obecnie, są jednak narażone na szybkie zniszczenie przez postępujące „przyspieszenie” kapitalizacyjne, wtargnięcie komercyjnej kultury, reklamy i nowych wzorów zachowań. Na razie jednak owe elementy dawnych tradycji posiadają siłę atrakcyjną, wzmacnianą działalnością Kościoła (polskich księży) oraz instytucji i organizacji kulturalno-oświatowych.

Ten rodzaj tendencji upowszechniających tradycyjne formy kultury „ludowej”, z reguły przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie, współcześnie wiążącej się z różnymi typami „kultury masowej”, spotyka się z „wysoką” kulturą miasta –

28. Taki charakter ma cykl Jana Ciechanowicza w *Magazynie Wileńskim* „Polskie rody kresowe”.

29. Cykl zamieszczony w *Magazynie Wileńskim* „Tropem Sienkiewiczowskiego ‘Potopu’ ” od nr-u 17-18 z 1994 r. (m.in. „Dzisiaj w Wodoktach”, nr 19, „W szaro-niebieskiej Upicie”, nr 22 i in.) oraz w *Kurjerze Wileńskim*.

Wilna. Jest ono, jako miasto barokowych kościołów i klasycystycznej architektury, miastem posiadającym szczególną „pamięć tradycji” obecnej w jego materialnej kulturze³⁰. Związanie świadomości narodowej z przestrzenią, w której znakami są „mówiące kamienie” (czy „śpiewające” – jak w przedwojennym tomiku wierszy Eugenii Kobylińskiej³¹), stanowi ważny i specyficzny fragment wileńskiej tradycji. Obraz przestrzenny przekłada się przy tym na różne składniki duchowej kultury miasta, zwłaszcza jako podstawa jego piękna. W tym też znaczeniu jest ów obraz obecny we współczesnej poezji wileńskiej³².

W obrębie „duchowych” tradycji Wilna, zwłaszcza – literackich, centralne miejsce zajmuje romantyzm, zwłaszcza romantyzm Mickiewiczowski. Na nieco dalszym planie mieści się tradycja Słowackiego, Syrokomli, Kraszewskiego i innych twórców, przede wszystkim ze środowiska filomackiego. Jest to również muzyczna tradycja Moniuszki, czy historyczna Balińskiego i Narbutta. Mniej dobitnie, ale w sposób widoczny zarysowują się także tradycje oświeceniowe, głównie – uniwersyteckie. Współczesne ślady tych tradycji to nie tylko publikacje, lecz także nazwy polskich szkół (których patronami są Mickiewicz, Syrokomla, Kraszewski, Konarski), konkursy recytatorskie, programy szkolne, imprezy rocznicowe itd. Także trwała obecność w wileńskiej twórczości literackiej; zarówno w tematach jak i w aluzjach, cytatach, trawestacjach wątków romantycznych. Przy tej okazji warto jeszcze raz zwrócić uwagę na funkcję wileńskich cmentarzy, nie tylko będących przestrzeniami nekropolii, ale przede wszystkim miejscem spoczynku ludzi zasłużonych i trwale istniejących w tradycjach miasta. Łączy się to z dominującą zasadą spersonifikowanej tradycji, w większym stopniu skuto-pionej na biografiami i działaniu, niż na kształcie świato-

30. Poza znaczną liczbą publikacji na ten temat, jego znaczenie potwierdza zredagowana przez R. Mieczkowskiego kasetę video „Kalejdoskop Wileński”.

31. Określenie ze zbioru wierszy E. Kobylińskiej „Szare kamienie śpiewają”. Wilno 1939.

32. Zob. W.J. Podgórski, „Czy wróci tu kiedyś poeta?” [w:] „Litwa-Polska”, s. 215-264.

poglądowym i artystycznym dzieł twórców. Przypada im bowiem rola wzorów osobowych, przykładów zachowań patriotycznych i etycznych.

Odległość w czasie sprzyja oczyszczeniu owych nosicieli tradycji ze składników nie pasujących do wzoru i idealizacji. Stąd mniej wyraziście i bardziej wybiórczo zarysowują się tradycje bliższe, zwłaszcza z okresu międzywojennego. Mocniej uwikłane w polityczne spory polsko-litewskie, objęte wspomnieniami uczestników wydarzeń, nasycone emocjami, często aktualizowane – stają się raczej obszarem subiektywnych wyborów dysponentów tradycji. Okoliczności polityczne sprawiły, że na plan pierwszy wysunęły się wątki zachowawcze, jednostronnie ukazujące międzywojenne Wilno. Dotyczy to zarówno osób jak i organizacji. Natomiast zanikły lub zostały zlekceważone te obszary tradycji, które cechowały znamiona radykalizmu lub lewicowości. W mniejszym więc stopniu przypomina się wileńską masonerię, grupę „Po prostu” (Henryka Dembińskiego), środowisko Klubu Intelktualistów. Z podobnych powodów ambiwalentnie traktuje się zespół „Żagarów”, nawet Czesław Miłosz posiada dwie przeciwstawne legendy: pozytywną, będącą przedmiotem kultu i negatywną, często wiązaną z prolitewskimi wypowiedziami poety. Stereotyp „poważnej”, traktowanej niezwykle serio tradycji, osłabia jej część „ludyczną”, zabawową, mocno wpisaną w zachowania i twórczość międzywojennego życia towarzyskiego środowiska wileńskiej inteligencji. Wyraziście zarysowane ramy tradycji USB, widoczne w inicjatywach powołania uniwersytetu polskiego, w programach polonistyk wileńskich, w nawiązaniach do wątków badawczych i kulturowych kształtujących się na uczelni, także lekceważą ten wątek. Jego ślad można dostrzec jedynie w reaktywowaniu Klubu Włóczęgów i świadomych nawiązań do jego programu i obyczaju³³.

Rekonosansowy charakter szkicu nie pozwala na szersze i głębsze przedstawienie problematyki tradycji. Wiele jej aspektów wymaga gruntownego opracowania. Zamierzeniem pod-

33. Zob. R. Skórko, „Choć lata młode szybko płyną...”. *Magazyn Wileński* 1995, nr 5, s. 19.

stawowym tego tekstu było wskazanie tych aspektów oraz próba określenia ich podstawowych znaczeń. Znaczeń związanych z trwałością przeświadczeń o polskich korzeniach wileńskich tradycji i ich funkcji w kształtowaniu narodowej tożsamości. Zarazem jednak patronowało szkicowi przekonanie o niezwykle delikatnej materii tej tradycji, która, wartościowa sama przez się, może – w niepowołanych rękach – stać się narzędziem niebezpiecznym, wzbudzającym postawy ksenofobiczne, tradycjonalistyczne, a w krańcowych wersjach – nacjonalistyczne. Zarazem jednak to właśnie płaszczyzna tradycji może stanowić ważny obszar porozumienia różnych kultur oraz odnajdywać istotne dla nich „miejsca wspólne”, nie tracąc nic z własnych specyficznych cech.

Tadeusz BUJNICKI

Andrzej PUKSZTO

OSTATNIE CHWILE REKTORA STEFANA EHRENKREUTZA I USB

W czerwcu 1939 roku Stefan Ehrenkreutz został wybrany rektorem uniwersytetu. Nic nie zapowiadało zbliżającej się wojny, więc nie mógł przewidzieć, jakie trudności go oczekują. Na uczelni piastował przecież różne kierownicze stanowiska (prodziekana oraz dziekana wydziału prawa i nauk społecznych, prorektora i in.), więc ostatnia nominacja była „na jego siły”. Nie wymówił się od wykładów z historii ustroju i dawnego prawa. Nadal kierował Studium Historii Prawa Litewskiego¹.

Wilno, położone daleko na północy, w pierwszych dniach września 1939 roku nie było objęte bezpośrednimi działaniami bojowymi. Tylko nieznaczna część wykładowców została zmobilizowana (chodzi tu przeważnie o medyków). Pierwsze posiedzenie Senatu pod kierownictwem S. Ehrenkreutza odbyło się 5 września. Omówiono szereg spraw: 1) uruchomienie wydziału lekarskiego i otwarcie klinik; 2) otwarcie wydziału prawa; 3) wstrzymanie zakupów dla zakładów uniwersyteckich; 4) zabezpieczenie rzeczy wartościowych; 5) prowadzenie normalnego życia w zakładach; 6) pomoc uniwer-

1. Skład USB 1939/40. LCVA. F.175. Ap IA.B.938.L.5-6.

sytecka dla wojska; 7) ustalenie dnia posiedzeń Senatu².

17 września Armia Czerwona przekroczyła polską granicę wschodnią³. Już następnego dnia zajęła Wilno. Znowu zamieszanie i niepokój na uczelni, strach przed sowieckim terrorem. Stefan Ehrenkretz spotkał się z przedstawicielami sowieckich władz i otrzymał zgodę na rozpoczęcie nowego roku akademickiego. To spotkanie relacjonował na posiedzeniu Senatu w dniu 23 września 1939 roku. Senat jednoomyślnie uchwalił rozpoczęcie roku akademickiego, tradycyjnie z dniem 1 października. Postanowiono zwołać Rady Wydziałowe, żeby omówić sprawy bieżące, związane z otwarciem roku⁴. Tak więc Uniwersytet Stefana Batorego był jedynym polskim uniwersytetem, który jesienią 1939 roku mógł rozpocząć normalną działalność. Do pracy przystąpiło 84 profesorów, 39 docentów, 245 osób z młodszego personelu⁵.

10 października został podpisany litewsko-sowiecki układ o przyjaźni, który przekazał Litwie Wilno wraz z niewielkim pasem na wschód od niego. Faktycznie przejście miasta przez władze litewskie nastąpiło dopiero po tygodniu. Choć w Wilnie panował niepokój i sytuacja była skomplikowana, jednak przez kilka tygodni uczelnia normalnie, w pełnym toku, działała. 28 października Ehrenkretz zaakcentował w Senacie „konieczność przyjscia z pomocą młodzieży akademickiej przez otwarcie kuchni, odraczenie opłat, uruchomienie skromnych środków finansowych, jakie ma do swojej dyspozycji”, zaznaczając, że „uniwersytet nie będzie mógł pokrywać swoich normalnych bieżących wydatków, jeśli młodzież, zwłaszcza ta zamożna, nie zacznie uiszczać obowiązujących opłat”⁶.

2. Protokół posiedzenia Senatu Nr 1. LCVA. F. 175. Ap. IA. B.964.L.13.

3. Współcześni historycy Litwy i Polski najczęściej traktują odmiennie wydarzenia w Wilnie we wrześniu-październiku 1939 roku, jak też reorganizację Uniwersytetu Wileńskiego przez Rząd Republiki Litewskiej w grudniu tego roku. Patrz: Łossowski P. Litwa a sprawy polskie: 1939-1940; Žepkaitė R. Vilniaus istorijos atkarpa: 1939-1940.

4. Protokół N 3. LCVA. F.175. ... L.11.

5. Jegelevičius S. 1939 m. Lenkijos tragedija ir Vilniaus universitetas. / Vilniaus universiteto istorija. s. 235-237.

6. Protokół Nr 6. LCVA. F.175. ... L.3.

Na posiedzeniu 4 listopada wysłuchał sprawozdania poszczególnych dziekanów z biegu dokonanych prac i zaproponował, „aby wobec złożenia wizyty profesorów Uniwersytetu Kowieńskiego, oddać im rewizyty ze strony USB”⁷.

10 listopada poinformował członków Senatu, że „wobec otrzymania telegramu o chorobie Rektora Uniwersytetu Kowieńskiego, zamierzona wizyta nie może dojść do skutku”⁸.

Wyjaśnił zebranim, że „wobec dochodzących pogłosek o reorganizacji USB uważa za właściwe udanie się do Kowna z kilku profesorami celem poinformowania o stanie rzeczy i wyjaśnienia u odpowiednich czynników Rządu Litewskiego stanowiska USB”. Wszyscy obecni przyjęli propozycję rektora jednomyślnie i pozostawili „do jego uznania dobranie sobie profesorów mających razem z nim wyjechać do Kowna”⁹.

Przedstawił również swoje „zamierzenie urzędującego uroczystego wieczoru w dniu 11 listopada”, którego „szczegóły programowe bierze na siebie wraz z odpowiedzialnością za jego spokojny przebieg”¹⁰ – co wskazuje na to, że wciąż jeszcze miał pełną swobodę działania.

14 listopada z dziekanem wydziału rolnego, prof. Witoldem Staniewiczem, udał się do Kowna¹¹. Przyjęty został przez ministra oświaty, dr. Leona Bistrasa. Minister wskazał na trudności finansowe, związane z utrzymaniem dwóch uniwersytetów przez rząd litewski, na co rektor zobowiązał się do przygotowania projektu oszczędnościowego budżetu dla USB. Oszczędności miały polegać na rezygnacji z planowanych inwestycji. Rektor przedstawił swój pogląd na dalszy bieg życia uczelni: według niego bez zmian miała działać do końca roku akademickiego 1939/40. Z ust dr. L. Bistrasa nie usłyszał żadnych informacji które wywołałyby u niego niepokój o los uniwersytetu.

Następnego dnia, 15 listopada, na łamach dziennika

7. Protokół Nr 7. Tamże. L.2.

8. Protokół Nr 8. tamże. L.1.

9. Tamże.

10. Tamże.

11. Kolankowski Z. Ostatnie chwile Uniwersytetu Stefana Batorego (W pięćdziesiątą rocznicę). Archiwum historii i filozofii medycyny. War., 1989. Zeszyt 4 (52). s. 451-455.

litewskich socjaldemokratów *Lietuvos žinios* ukazał się krótki, ale bardzo interesujący z nim wywiad, pod tytułem „Dokonały się fakty, z którymi trzeba było i nadal trzeba liczyć się”¹².

Na uwagę zasługuje ton tolerancji redaktora, dr. Pr. Ancevičiusa w stosunku do osoby Stefana Ehrenkreutza. W swoim artykule podaje: „Z kurii, po spotkaniu z arcybiskupem ks. R. Jałbrzykowskim, od razu udałem się do gmachu Uniwersytetu St. Batorego, do J.E. Rektora, prof. dr. Stefana Ehrenkreutza. Jest to człowiek pod wszystkimi względami kompetentny, żeby mógł wypowiedzieć swoje zdanie na temat ostatnich wydarzeń, więc bardzo ucieszyłem się, gdy po długiej prywatnej rozmowie zgodził się udzielić wywiadu dla *Lietuvos žinios*.

Wypowiedź S. Ehrenkreutza cechuje spokój i równowaga: „Wydarzenia we Wschodniej Europie toczą się w tak szybkim tempie, że nie było czasu by dobrze je przeanalizować. Jednak dokonały się fakty, z którymi trzeba było, i nadal trzeba, liczyć się. Różne mogą być poglądy na przyszły przebieg działań wojennych i ewentualnie na ich zakończenie. Moim zdaniem, problemy tej wojny – wielkiego znaczenia nie mają, a przy tym są bardzo różne, mając ogromny zasięg terytorialny. Więc dzisiaj trudno jest coś konkretnego mówić albo prognozować”.

Poproszony o komentarz do sytuacji w Wilnie i na Wileńszczyźnie, powiedział: „Wydaje mi się, że niezależnie od tego, co w przyszłości by nastąpiło, nawiązanie ściślejszych stosunków między społecznymi elementami, zamieszkałymi na tych ziemiach, zwłaszcza między społeczeństwem polskim i litewskim, bliższe poznanie i wzajemny szacunek, podobnie jak współpraca nad pomnożeniem wartości kulturalnych – mogą dać w przyszłości wprost nieocenione wyniki”.

Rezultaty wizyty u ministra L. Bistrasa dawały Stefanowi

12. W listopadzie 1939 roku *Lietuvos žinios* zamieściły cykl wywiadów z przedstawicielami polskiej inteligencji Wilna, tym samym starając się złagodzić napiętą sytuację w mieście i chociaż częściowo zmienić nastroje nacjonalistyczne. W tym samym numerze, obok S. Ehrenkreutza, ukazała się bardzo obszerna wypowiedź Witolda Staniewiczza, dziekana wydziału rolnego USB.

Ehrenkreutzowi nadzieję, że sprawy polskiego uniwersytetu zostaną rozwiązane z korzyścią dla obu stron. W ogóle, w pierwszej połowie listopada wielu litewskich działaczy opowiadało się za porozumieniem, za prowadzeniem wyrozumiałej polityki w stosunku do średniego i wyższego szkolnictwa polskiego¹³. Te głosy jednak rozlegały się głównie ze strony opozycji: działaczy socjaldemokratycznych i ludowych.

W tydzień po powrocie z Kowna, 20 listopada, Ehrenkreutz telefonicznie zgłosił chęć zobaczenia się z Przedstawicielem Ministra Oświaty na Wilno i Kraj Wileński Antanasem Jušką, żeby omówić bieżące zagadnienia gospodarcze uczelni. W odpowiedzi od sekretarza usłyszał, że Pan Przedstawiciel również ma pilną sprawę do rektora¹⁴.

Udając się do dr. Juški nic nie wiedział o piśmie ministra oświaty RL L. Bistrasa z dnia 17 listopada, które zarządzało: „do czasu, gdy sprawa Uniwersytetu w Wilnie nie zostanie rozstrzygnięta na drodze ustawowej, powierzam kierownictwo byłego Uniwersytetu Stefana Batorego profesorowi nadzwyczajnemu Uniwersytetu Witolda Wielkiego, Ignasowi Končiusowi, któremu proszę przekazać kierownictwo i prowadzenie spraw byłego Uniwersytetu Stefana Batorego”¹⁵.

U przedstawiciela MO był obecny prof. Ignas Končius. Zaskoczeniem dla S. Ehrenkreutza było oświadczenie Antanasa Juški, że na podstawie pisma ministra oświaty z dnia 17 grudnia, powinien przekazać jeszcze dzisiaj obowiązki rektora profesorowi I. Končiusowi. Ponieważ S. Ehrenkreutz uważał oświadczenie ustne za nie wystarczające, przedstawiciel MO powiedziane słowa przedstawił na piśmie¹⁶.

Wszystko odbyło się nagle, pod presją panującego w

13. Patrz: Wypowiedź pedagoga i działacza kultury Antanasa Krutulisa w *Lietuvos žinios* z dnia 10 listopada 1939 r. Projekt ustawy uniwersyteckiej, przygotowany przez członka komisji Ministerstwa Oświaty – profesora Michała Romera (Mykolas Romeris). Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego... s. 40-42.

14. Z pisma S. Ehrenkreutza do ministra oświaty RL, dnia 20 listopada 1939 r. Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego... s. 27-29.

15. Tamże. s. 21.

16. Pismo przedstawiciela MO na Kraj Wileński dra A. Juški do Rektora USB – S. Ehrenkreutza z 20 listopada 1939 r., polecające przekazanie obowiązków prof. Ignasowi Končiusowi. Tamże. s. 23.

mieście stanu wojennego. S. Ehrenkreutz nie mógł pogodzić się z tym faktem. Jeszcze tego samego dnia wysłał list z protestem do ministra L. Bistrasa. Ten pierwszy podpisany przez niego protest nie był natury politycznej, jednak zapowiadał przerwanie rozpoczętego dialogu. W liście powraca do rozmowy, która odbyła się podczas wizyty w Ministerstwie Oświaty: „...miałem możliwość na zapytanie Pana Ministra, wyłożyć swój pogląd na dalszy bieg życia Uniwersytetu Stefana Batorego. Na zwróconą nam przez Pana Ministra uwagę na trudności finansowe, związane z utrzymaniem dwóch uniwersytetów o obecnych budżetach, wskazałem na możliwość przeprowadzenia w bieżącym roku szkolnym redukcji wydatków w USB. Po powrocie do Wilna przystąpiłem do opracowania wspomnianego zredukowanego budżetu, celem złożenia go Panu Ministrowi...”.

Był zdania, że był to krok w stosunku do jego osoby – niewłaściwy, bezprawny, bo „nie zostały ujawnione jakiegokolwiek fakty, które wywołałyby konieczność pozbawienia możliwości sprawowania powierzonej przez Uniwersytet władzy i odsunięcia od czuwania nad dobrem Uniwersytetu, Nauki i młodzieży...”¹⁷.

Następnego dnia oficjalnym pismem powiadomił o tym, co zaszło, członków Senatu uczelni¹⁸. Wówczas grono profesorów USB opracowało dłuższy memoriał adresowany do ministra oświaty RL¹⁹.

Profesor I. Končius tego samego dnia, od razu po wyżej wspomnianym spotkaniu u przedstawiciela MO, wystosował pismo do dziekanów, kierowników zakładów, biblioteki uniwersyteckiej, informujące o przejęciu władzy rektorskiej USB. Członkom Senatu wyjaśnił, że do końca bieżącego trymestru, tj. do 15 grudnia, uczelnia będzie działać jako uniwersytet polski, później zaś – jako litewski, czyli uniwersytet państwa litewskiego. Co do kadry pedagogicznej i studentów,

17. Pismo S. Ehrenkreutza do ministra oświaty RL, dnia 20 listopada 1939 r. Tamże.

18. Pismo rektora prof. S. Ehrenkreutza do Dziekanów, Kierowników Zakładów, Profesorów USB z 21 listopada 1939 r. Tamże. s. 30.

19. Memoriał społeczności akademickiej USB doręczony Ministrowi w dniu 24 listopada 1939 r. Tamże. s. 34-39.

nadal mogą pracować i studiować, tylko będą musieli złożyć odpowiednie podania²⁰.

„Władze pozwoliły działać Uniwersytetowi do końca trymestru” – wspominał Tadeusz Czeżowski, wykładowca filozofii i logiki, będący wówczas w przyjaznych stosunkach ze S. Ehrenkreutzem. – „Rozpoczęliśmy wykłady i przyspieszyliśmy sesje egzaminacyjne, aby studenci kończący swe studia mogli otrzymać nasze jeszcze dyplomy. W dniu 15 grudnia rektor Ehrenkreutz zorganizował na głównym dziedzińcu uniwersyteckim wiec pracowników i studentów Uniwersytetu. Przemówił silnie i śmiało, wyrażając wiarę w ostateczne zwycięstwo. Nie doczekał go. Po 15 grudnia Uniwersytet nie przestał działać – działał potajemnie. Obradował Senat Uniwersytecki, pod przewodnictwem rektora zorganizowano pomoc koleżeńską dla potrzebujących jej pracowników i ich rodzin, profesorowie nauczali tajnie, odbywano egzaminy”²¹.

W grudniu 1939 roku razem z innymi członkami podpisał protest Senatu USB do profesorów całego świata²² oraz szereg innych pism skierowanych przeciwko decyzji rządu Republiki Litewskiej.

Z perspektywy, analizując działania S. Ehrenkreutza jako rektora w grudniu 1939 i na początku 1940 roku, można mu zarzucać, że często zajmował zbyt sztywną pozycję. Uniwersytet polski w Wilnie nie miał żadnych szans na dłuższe przetrwanie, biorąc pod uwagę późniejsze wydarzenia, zapoczątkowane 15 czerwca 1940 roku – okupację Litwy przez Związek Sowiecki. Władze ZSSR, na pewno nie zgodziłyby się, żeby w Wilnie istniał uniwersytet polski w takiej formie, jak do września 1939 roku.

Czy w ostatnich dniach roku 1939 rektor Ehrenkreutz mógł się zachować inaczej? Pamiętać należy, w jak trudnej znalazł się sytuacji. Z jednej strony – ostateczna decyzja

20. Končius I. Stepono Batoro universitetas: Vilnius universitetas. Keli vaizdeliai. Tautos praeitis. Chicago-Roma, 1965. T.2. Kn. 2(6). s. 143-159.

21. Czeżowski T., Wspomnienia (zapiski do autobiografii). Kwartalnik historii nauki i techniki. War. 1977, Nr 3. s.436.

22. Patrz: Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego... s. 71-79.

Sejmu i Rządu RL co do uniwersytetów na terytorium Litwy. Z drugiej strony – szeregi studentów, gotowych do wszelkich form protestu, nawet do użycia broni²³ i profesorowie, którzy nie mogli pogodzić się z nową sytuacją polityczną, przekonani, że nawet „przyjęcie katedr na uniwersytecie litewskim nie da się w obecnej chwili pogodzić z poczuciem godności narodowej, ani z interesami polskiej racji stanu²⁴”.

Na pewno zdawał sobie sprawę, że Uniwersytet czekają kardynalne zmiany ze względu na nowe realia polityczne. Dążył jednak, żeby do końca roku uczelnia działała bez zmian. I swego dopiął.

UDZIAŁ STEFANA EHRENKREUTZA W TAJNYM NAUCZANIU I KONSPIRACJI POLITYCZNEJ. MĘCZEŃSKA ŚMIERĆ PROFESORA.

Na początku 1940 roku w Wilnie i na Wileńszczyźnie sytuacja zarówno polityczna, jak i ekonomiczna, była skomplikowana²⁵. Nie wygasły emocje wokół reorganizacji Uniwersytetu. Praca i nauka w zreorganizowanym Uniwersytecie została zbojkotowana przez większość profesorów i studentów USB. Pod koniec lutego, spośród trzytysięcznego niemal grona studiujących w grudniu 1939 r., przeszło na Uniwersytet Witolda Wielkiego w Kownie i na zreformowany Uniwersytet Wileński – tylko 141 osób²⁶.

Większość pracowników i studentów USB kurczowo trzymała się Wilna. Tworzyli tu zwartą społeczność, usiłując dalej działać w zmienionych warunkach.

23. Wspomnienia Ignasa Končiusa w: Končius I. Stepono Batoro universitetas... Keli vaizdeliai.

24. Memoriał pracowników USB do Rządu RP w Angers, wystosowany w styczniu 1940 r. Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego... s. 84.

25. Bubnys A. Lenku pogrindiq Lietuvoje, 1939-1940 m. K., 1994; Žepkaitė R. Vilniaus istorijos atkarpa 1939-1940; Łossowski P. Litwa a sprawy polskie, 1939-1940; Tomaszewski L. Kronika wileńska, 1939-1941.

26. Łossowski P. Litwa... s. 227.

Stefan Ehrenkreutz nie był na uboczu spraw i kłopotów swoich byłych podopiecznych. Już 23 stycznia spotkał się z przebywającym w Wilnie prof. Adamem Żółtowskim, który przybył na Litwę 2 stycznia z Paryża jako przedstawiciel polskiego rządu emigracyjnego. Jego zadaniem oficjalnym było zapoznanie się z sytuacją uchodźców i zorganizowaniem dla nich pomocy materialnej. Nieoficjalnie A. Żółtowski miał zbadać nastroje wśród społeczeństwa polskiego, w razie potrzeby – zorganizować wyjazd poszczególnych osób do Francji. W Wilnie spotkał się z wieloma profesorami byłego USB, działaczami politycznymi, zapoznał się z działalnością Komitetu pomocy uchodźcom wojny. S. Ehrenkreutzowi zostawił tysiąc dolarów amerykańskich dla potrzebujących pracowników byłego uniwersytetu polskiego²⁷.

Byli profesorowie oraz młodszy personel, zaczęli organizować tajne nauczanie²⁸. Szczególnie rozwinęło się ono podczas okupacji hitlerowskiej²⁹. Pod przewodnictwem S. Ehrenkreutza obradował Senat. Odbywały się narady na poszczególnych wydziałach. Najbardziej prężnym na tajnym uniwersytecie polskim był wydział medyczny. Krótkie wykłady, konsultacje, zaliczenia oraz egzaminy odbywały się, chociaż w mniejszej skali, również na innych wydziałach: humanistycznym, teologicznym, prawa i nauk społecznych, matematyczno-przyrodniczym. Od 1941 do 1944 roku S. Ehrenkreutz prowadził studia z historii prawa dla słuchaczy I roku³⁰. Katedra Dawnego Prawa Polskiego i Litewskiego była jedną z tych, gdzie mogły kontynuować studia najliczniejsze grupy studentów tajnego wydziału prawa i nauk społecznych. Wraz z nim wykładali jego byli współpracownicy:

Iwo Jaworski, ks. Bronisław Żongołłowicz, Witold Świada, Kazimierz Petruszewicz, Bronisław Wróblewski i inni.

27. Žepkaitė R. Vilniaus istorijos... s. 122.

28. Po wcieleniu Litwy w skład ZSSR pojawiła się nadzieja, że rząd Litewskiej SRR przekształci uczelnię w uniwersytet wielonarodowy.

29. Jegelevičius S., Studijos pogrindyje. Vilniaus universiteto istorija 1579-1994. s. 262-264; Zasztowt L. Alma Mater Vilnensis Clandestima (1939-1945). Lithuania. War. 1994. Nr 4.

30. Zasztowt L. Materiały dotyczące tajnego nauczania w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie w latach 1939-46. Kwartalnik Historii Nauki i Techniki. War., 1993. Nr 4., s. 96.

S. Ehrenkreutz jako rektor kierował pracą tajnego uniwersytetu polskiego. Ponadto brał aktywny udział w konspiracji politycznej, poprzez Konwent Stronnictw Politycznych³¹. Należy również nadmienić jego trudną sytuację materialną. Wraz z żoną Jadwigą i jej synem mieszkał przy ulicy Zakrętowej (Čiurlionio) 2-3 w bardzo złych warunkach, pracując jako stróż nocny w zakładzie budowlanym³². Później w biurze przy ulicy Tatarskiej, gdzie pomagał ludziom pisać prośby i podania. Ostatni rok okupacji hitlerowskiej pracował w firmie „Mat i Co”. Jej właścicielem był dawny student S. Ehrenkreutza, o nazwisku Rinc. Z początku pracował jako kasjer, a później był konsultantem prawniczym³³.

Wyżej wspomniany Konwent Stronnictw Politycznych ukształtował się jesienią 1942 roku, jako organ doradczy, przy Instytucji Delegata Rządu Emigracyjnego Rzeczypospolitej Polskiej. 1 marca 1942 roku został nim mianowany dr Zygmunt Fedorowicz, członek Stronnictwa Narodowego, były długoletni dyrektor wileńskiego Gimnazjum Zygmunta Augusta, kurator Okręgu Szkolnego, człowiek o dużej kulturze osobistej i umiarkowanych poglądach politycznych³⁴. Powołana Delegatura Rządu była władzą wyłącznie cywilną. Jej funkcja odpowiadała mniej więcej funkcji Urzędu Wojewódzkiego, a rola Delegata – roli przedwojennego wojewody³⁵. Skład Konwentu był płynny, bo stronnictwa delegowały przedstawicieli według własnego uznania i dość często

31. Tomaszewski L. Kronika wileńska 1941-1945. s. 30.

32. Ankieta ariestowanego Ehrenkreutz Stefana Paulinowicza. LYA. N.2752/3 (Sledstwennoje deło N 3270 po obwinieniju S. Ehrenkreutza, L. Chmaja, W. Kisiela). L. 89-90; Opis imuszczenstwa i sochrannaja raspiska Jadwigi Iwanownoj Ehrenkreutz. Tamże. L. 86-87.

33. Protokół doprosa obwiniaemogo Ehrenkreutz S.P., 16.04.1945. Tamże L. 124-125.

34. Tomaszewski L. Kronika... L. 26.

35. Do marca 1942 r. władza podziemnego państwa polskiego, i wojskowa, i cywilna, skupiła się w Komendzie Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK (Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa). Przy komendancie Okręgu istniała Okręgowa Rada Polityczna, która w chwili powołania Delegatury – urzędu władzy cywilnej, straciła rację bytu przy AK – organizacji wojskowej. Została przeniesiona jesienią 1942 r. do Delegatury pod zmienioną nazwą „Konwent Stronnictw Politycznych”.

ich zmieniały. Wśród najbardziej aktywnych był Stefan Ehrenkretz, który reprezentował Obóz Piłsudczyków oraz Obóz Zjednoczenia Narodowego („Ozon”)³⁶.

Podczas walk o Wilno 7-13 lipca 1944 roku S. Ehrenkretz przebywał w piwnicy domu uniwersyteckiego na rogu ulicy Zakrętowej (M.K. Čiurlionio) i Objazdowej (J. Kudirkos) w towarzystwie swego współpracownika i przyjaciela Zygmunta Fedorowicza oraz członków Delegatury – Wacława Ujejskiego i Wery Zawiszyny. Początkowo schroniło się tam kilkanaście osób, ale stopniowo ich liczba urosła aż do setki³⁷.

Niemcy, cofając się krok po kroku, zorganizowali ostatnie punkty oporu w tej dzielnicy. Dom, w którym przebywał, znalazł się pod bezpośrednim ogniem. Razem w tej piwnicy siedziało wiele kobiet z dziećmi, a w oknach parteru i piętra usadowiły się gniazda karabinów maszynowych. Na placyku przy cerkwi, u zbiegu Zakrętowej (M.K. Čiurlionio) oraz Wielkiej i Małej Pohulanki (J. Basanavičiaus), ustawiono działo przeciwpancerne, które zwalczało zbliżające się czołgi sowieckie. Szczęśliwym zrządzeniem losu w dom chroniący S. Ehrenkretza i jego towarzyszy nie trafił ani jeden pocisk. Z 12 na 13 lipca ogień umilkł. Okazało się, że mieszkania Ehrenkretza i Z. Fedorowicza, które znajdowały się na górnym piętrze budynku po przeciwnej stronie ulicy Zakrętowej (M.K. Čiurlionio), zostały całkowicie zrujnowane przez pociski artyleryjskie. Profesor przeniósł się o piętro niżej do mieszkań po jakichś ludziach zbiegłych do Kowna. Obok zamieszkał Z. Fedorowicz³⁸.

Posiedzenia Konwentu najczęściej odbywały się w mieszkaniu sędziego Sądu Apelacyjnego Władysława Czarneckiego przy ul. Gedymina 19. Jedno z ostatnich zebrań miało miejsce 15 lipca w mieszkaniu S. Ehrenkretza³⁹.

36. Protokół doprosa Z. Fedorowicza 13.03.1945. LYA. N2752/3. L. 186-189; z kolei L. Tomaszewski wskazuje, że S. Ehrenkretz reprezentował Polską Partię Socjalistyczną (PPS). Patrz: Kronika wileńska... s. 30. Nie jest to różnica istotna, bo Piłsudzczy wywodzili się z PPS-u.

37. Tomaszewski L. Kronika... s. 130.

38. Tamże.

39. Korab-Żebryk R. Operacja wileńska AK. War., 1988, s. 474; 15 lipca 1944 r. na prośbę komendanta okręgu wileńskiego Armii Krajowej Aleksandra Krzyżanowskiego-„Wilka” dr Zygmunt Fedorowicz zwołał zebranie członków Konwentu, na które przybyło 10 osób. A. Krzyża-

W sierpniu rozpoczęły się masowe areszty działaczy konspiracji politycznej. 28 sierpnia w swoim mieszkaniu został aresztowany S. Ehrenkreutz. Postanowienie wydziału śledczego NKGB dotyczące jego aresztowania wydrukowano dopiero 12 września, a 25 września zatwierdził je prokurator⁴⁰.

26 września wszczęto sprawę karną N 3270. W tej sprawie razem z S. Ehrenkreutzem figurowali jeszcze dwaj członkowie Konwentu: profesor pedagogiki USB Ludwik Chmaj – delegowany przez Stronnictwo Ludowe i wikariusz katedry wileńskiej ks. Władysław Kisiel – jako przedstawiciel Kurii Metropolitarnej Należących do Konwentu – NKGB sądziło osobno od innych działaczy politycznych polskiego państwa podziemnego.

Podczas dochodzenia w więzieniu NKGB, na ulicy Ofiarnej (Auku), prof. Ehrenkreutz długo nie przyznawał się, że miał jakiegokolwiek powiązania z polskim ruchem oporu. Podczas pierwszego przesłuchania, tego samego dnia, kiedy został aresztowany, na stwierdzenie, że istnieją informacje o jego osobistych powiązaniach z kierownikami „polskiej podziemnej organizacji nacjonalistycznej, działającej w Wilnie”, odpowiedział, że „nic wspólnego z polską podziemną organizacją nie ma, a tym bardziej – z jej kierownictwem”⁴¹.

Nietrudno domyślić się, jakimi metodami pracownicy NKGB zmusili profesora, a liczył wtedy sześćdziesiąt cztery lata, żeby powiedział prawdę. Wyżej wspomniane przesłuchanie odbywało się w nocy i trwało 7 godzin: od 23 do 6 nad ranem⁴². Takich przesłuchań miał wiele.

4 września na dwunastu stronach po polsku napisał wyjaśnienie⁴³. Sam własnoręcznie przetłumaczył je na język rosyjski⁴⁴. Od tego dnia był zmuszony stopniowo ujawniać wszystkie swoje powiązania z Konwentem Stronnictw Politycznych

nowski oznajmił o nawiązaniu współpracy z armią sowiecką i zaproponował oddać do dyspozycji sowietów cały aparat administracyjny Delegatury. Dwa dni potem, 17 lipca, został podstępnie aresztowany.

40. Postanowienie na arest Ehrenkreutz S.P. LYA. N2752/3. L. 82.

41. Protokół doprosa S. Ehrenkreutza 28.08.1944. LYA. N2752/3. L. 94-95.

42. Tamże.

43. Tamże. L. 107-13.

44. Tamże. L. 114-15.

i Armią Krajową: „28 sierpnia nieprawidłowo podałem fakty co do moich stosunków z ‘Wilkiem’ i ‘Ludwikiem’⁴⁵, a także co do mojej przynależności do Konwentu Stronnictw Politycznych. Teraz wszystko ujawniłem tak, jak było w rzeczywistości. Zobaczyłem, że idę niewłaściwą drogą i teraz poprawiam się”⁴⁶.

Pracownikom NKGB brakowało informacji o działalności polskiego uniwersytetu tajnego, którego rektorem był S. Ehrenkreutz. Minęło osiem miesięcy od momentu aresztu, a profesor wytrwale twierdził, że nic nie wie o istnieniu takiej uczelni. Podczas przesłuchania 16 kwietnia 1945 roku, na pytanie, kiedy i jakie sumy pieniężne otrzymywał od delegata rządu polskiego Z. Fedorowicza i jakim profesorem je przekazał, S. Ehrenkreutz odpowiedział: „Tego nie powiem”⁴⁷.

W toku śledztwa, już od października 1944 roku, był przesłuchiwany Zygmunt Fedorowicz, który został aresztowany 30 sierpnia⁴⁸. 16 marca odbyła się konfrontacja między Ehrenkreutzem i Fedorowiczem⁴⁹.

Były delegat rządu emigracyjnego po wyjściu z łagrów wspominał: „Prof. Ehrenkreutz był niesłychanie zaniedbany, mizerny, o chorobliwym wyrazie twarzy i niesłychanie apatyczny. Nie pamiętam, o co chodziło w tej konfrontacji, ale kiedy w pewnym momencie dopytywań oświadczyłem, że znam go jako socjalistę, ożywił się i powiedział: „A widzicie, mówiłem już, że nie mam nic wspólnego z sanacją”. O dalszych losach rektora Ehrenkreutza wiem od spotkanych później kolegów. Pobyt w więzieniu odbił się na jego stanie psychicznym. Miał rodzaj manii prześladowczej. Bał się otrucia i nie przyjmował paczek przesyłanych z domu. Pożywienia więziennego, poza chlebem, nie tykał zupełnie. Nie zdejmował

45. Generał „Wilk” – Aleksander Krzyżanowski, komendant okręgu wileńskiego AK; „Ludwik” – Lubośław Krzeszowski, zastępca komendanta.

46. Protokoł doprosa S. Ehrenkreutza 4.09.1944. LYA... L. 99-105.

47. Protokoł doprosa S. Ehrenkreutza S.P. 16.04.1945. Tamże. L. 124-127.

48. Protokoł doprosa S. Fedorowicza Z.K. 22.10.1944. Tamże. L.176.

49. Protokoł ocznej stawki między aresztowanymi: Ehrenkreutzem i Fedorowiczem Z.K. Tamże. L.128-129.

wał z siebie ubrania, nawet futra, które mu przysłano z domu. Wkrótce oblażył go wszy (tak zresztą jak nas wszystkich), a że nie walczył z insektami, więc po prostu z niego kapały⁵⁰”.

W więzieniu również widział profesora pracownik Delegatury Leon Łomacki. Dojrzał S. Ehrenkreutza podczas 15-minutowego spaceru. Szedł prowadzony przez strażnika, w podartym ubraniu, z torbą na plecach. Słaniał się na nogach, wyglądał na bardzo chorego⁵¹.

Dzień 16 marca musiał być jednym z najgorszych dla profesora. Oprócz wspomnianej konfrontacji z Z. Fedorowiczem, która rozpoczęła się o godzinie 23.30, wcześniej miał kolejne przesłuchanie. Tego dnia sformułowano mu tekst oskarżenia. To było drugie, skorygowane oskarżenie. Pierwsze było przedstawione 6 października⁵².

S. Ehrenkreutza oskarżono o to, że był „przedstawicielem klasy panującej w Polsce przed rokiem 1939 i wrogiem państwa sowieckiego, który brał aktywny udział w działalności polskiej antysowieckiej konspiracji, za co otrzymywał pieniężne wynagrodzenie od polskiego rządu emigracyjnego. Wchodził w skład Konwentu Stronnictw Politycznych, jako przedstawiciel ‘Piłsudczyków’. Od momentu wyzwolenia Litewskiej SRS od Niemców aż do aresztu, jako członek ‘Konwentu’, działał przeciwko Związkowi Sowieckiemu oraz brał udział w naradzie, podczas której został zatwierdzony program walki z władzą sowiecką i postanowiono wydrukować antysowieckie ulotki”⁵³.

Z przedstawionymi zarzutami nie zgodził się. Nie negował swego członkostwa w „Konwencie”. Jednak do końca śledztwa nie ujawnił, jakie ugrupowanie polityczne przedstawiał. Oświadczył, że „przeciwko Związkowi Sowieckiemu „Konwent” nie działał, a i on sam nie prowadził żadnej antysowieckiej działalności”⁵⁴.

50. Ostatnie chwile profesora Ehrenkreutza. Tomaszewski L. Kronika... s. 130-31.

51. Tamże.

52. Postanowienie o przedjawnieniu obwinienia S. Ehrenkreutzu 6.10.1944. LYA... L. 116.

53. Obwinielielnoje zakluczenije po sleddielu No 3270 po obwinieniju Chmaj L. M., Ehrenkreutz S.P., Kiesel W.I. Tamże. L.220-227.

54. Protokół doprosa obwiniajemoego Ehrenkreutz S.P. Tamże. L.122.

Kończąc śledztwo 28 kwietnia 1945 roku, stwierdzono, że „więzień nie przyznał się do winy, jednak potwierdził fakt swego udziału w Konwencie Stronnictw Politycznych”⁵⁵.

2 maja sprawę karną N 3270 przeciwko S. Ehrenkreutzowi, L. Chmajowi i ks. Wł. Kisielowi przekazano do rozpatrzenia Trybunałowi Wojennemu NKWD Litewskiej SRS⁵⁶. 16 czerwca profesor został przewieziony z więzienia NKGB na ulicy Ofiarnej (Auku) do więzienia NKWD na Łukiszkach. Jego stan zdrowia był nadzwyczaj ciężki, więc od razu został odizolowany od innych więźniów. S. Ehrenkreutz czuł się coraz gorzej i 19 lipca został skierowany do szpitala więziennego, gdzie dwa dni później, tj. 21 lipca, o godzinie 4 minut 30, zmarł⁵⁷.

Świadkiem zgonu profesora był Marian Gromiec, żołnierz Armii Krajowej. W styczniu 1945 r. został skazany na 8 lat łagrów, a latem ciężko zachorował i znalazł się w szpitalu więziennym. „Na tej samej sali leżał starszy człowiek – wspominał – skrajnie wyniszczony, o sino-szarej cerze i obrzękłej twarzy. Oddychał ciężko, rzęził – widać było, że znajduje się w stanie agonalnym. Przed śmiercią zdążył powiedzieć, że nazywa się Stefan Ehrenkreutz i jest profesorem USB”⁵⁸. 21 sierpnia 1945 roku, na następnym posiedzeniu Trybunału Wojennego NKWD Litewskiej SRS była rozpatrywana sprawa N 3270, gdzie obok L. Chmaja i ks. Wł. Kisiela⁵⁹, nadal figurowało nazwisko S. Ehrenkreutza⁶⁰.

Andrzej PUKSZTO

55. Protokół ob okonczanii sledstwija, 28.04.1945. Tamże. L. 218.

56. Obwinitelnoje zakluczenije po sleddiełu N 3270. Tamże. L. 220-227.

57. Akt o smierci zakluczonnogo. Tamże. L. 234.

58. Surwiłło J., Męczeński los prof. Stefana Ehrenkreutza. *Kurier Wileński*. 1990. N 157; Męczeńska śmierć prof. USB Stefana Ehrenkreutza; Surwiłło J., Rachunki nie zamknięte. Wileńskie ślady na drogach cierpień, Wilno, 1992. s. 112-115.

59. Ks. Wł. Kiesel skazany na 15 lat katorgi, zmarł w 1950 roku w Dżegastanie (południowy Kazachstan), gdzie pracował w kopalni miedzi. L. Chmaj po powrocie z łagrów w roku 1955 mieszkał w Polsce.

60. Protokół N 62/5769 podgotowitel'nogo zasiedanija Wojennogo Tribunała Wojsk NKWD LSSR. LYA... L. 232.

Kajetan BIENIECKI

RAPORTY BRYTYJSKICH LOTNIKÓW O POLSCIE*

Z postępowaniem wojny duża liczba zestrzelonych lotników brytyjskich znalazła się na terenach państw okupowanych przez Niemców. W ramach SOE¹ wyodrębniono więc specjalną siatkę organizacyjną na terytorium Europy Zachodniej, która ułatwiała zestrzelonym lotnikom ucieczkę i powrót różnymi drogami do W. Brytanii.

Siatka brytyjska nie sięgała jednak do Polski. Zestrzeleni lotnicy brytyjscy zdani byli tylko na polskie Podziemie. Nie stronili oni od konspiracji, która dawała im szansę przeżycia poza obozem jenieckim. Niektórzy z nich nauczyli się nawet języka polskiego, a sami starali się uczyć Polaków angielskiego. W ostatniej fazie wojny wrócili oni różnymi drogami do Anglii i stali się dla Brytyjczyków ważnym źródłem informacji o Polsce.

Po powrocie lotnicy składali szczegółowe raporty. Były one spisywane przy użyciu map sztabowych na maszynie, na białym kancelaryjnym papierze, szeroko używanym przez

* Artykuł oparty na materiałach Public Record Office w Londynie.

1. *Special Operations Executive* – Kierownictwo Operacji Specjalnych. Tajna organizacja brytyjska sabotażowo-dywersyjna, której celem było wywołanie działań wywrotowych w krajach zajętych przez państwa Osi.

Brytyjczyków w czasie wojny. Składały się one z dwóch części: właściwego raportu i załączników. Raport właściwy obejmował okres pobytu na terenie kraju do czasu nawiązania łączności z Podziemiem. Powielany w kilkunastu egzemplarzach rozprowadzany był, jako tajny dokument, wśród oficerów wywiadu i wyższych dowódców lotnictwa. Natomiast w załącznikach spisywano dalsze losy lotnika. Ograniczone były jednak do paru egzemplarzy i rozprowadzane tylko wśród wyższych oficerów wywiadu i SOE.

Raporty od wielu lotników dawały Brytyjczykom dokładny obraz życia pod okupacją niemiecką w różnych krajach europejskich. Pozwalały one również Brytyjczykom na stałe ulepszanie siatki organizacyjnej, wydawanie lotnikom odpowiednich instrukcji i ekwipowanie ich w najrozmaitsze przedmioty pierwszej potrzeby, jak miniaturowe kompasy, mapy na jedwabiu, pigułki wzmacniające itp.

Jak już wspomniałem, raporty te dzieliły się na dwie części. Raporty właściwe dostępne są od paru lat w Public Record Office w Londynie. Natomiast załączniki objęte były do niedawna prawną klauzulą karencji i stanowią część dokumentów SOE, które zostały odtajnione ostatnio w Public Record Office. Wybrałem szereg ciekawszych raportów właściwych i załączników i o nich będzie mowa w tym opracowaniu.

W drugiej części tego opracowania podaję odpowiedzi kilku lotników brytyjskich na pytania podane w kwestionariuszu, który wypełniali po przybyciu z Polski do W. Brytanii.

Raporty

Jednym z pierwszych lotników, który znalazł schronienie w Polsce, jest niewątpliwie Sgt John George WARD² (nr 542939) z 226 Dywizjonu RAF. Pochodził z Birmingham, był radiotelegrafistą i służył w lotnictwie zawodowo od sierpnia 1937 roku. Podczas kampanii francuskiej, startując 10 maja 1940 roku z lotniska w Reims w załodze F/O Camerona na bombardowanie mostu koło Diekirch w Luksem-

2. WO 208/3326(-)2930; HS4/256.

burgu, niedaleko granicy niemieckiej, został zestrzelony przez artylerię przeciwlotniczą. Ranny pilot palącym się samolotem wylądował w rejonie celu. Trzyosobowa załoga Fairley Battle K-9183 dostała się do niewoli. Pilot wkrótce zmarł z odniesionych ran, a 21-letni John Ward, przrzucony z obozu do obozu (Dulag Luft w Oberursel, Stalag Luft I w Barth), znalazł się w kwietniu 1941 roku na komenderówce w Polsce koło Leszna, gdzie pracował przy poszerzaniu szosy.

Uciekł stamtąd 17 kwietnia, ale w trzy dni później złapała go policja kolejowa, gdy sprawdzał w nocy, oświetlając zaparkami, nalepki na wagonach towarowych na bocznicę w Gostyniu. Osadzono go w więzieniu. Po wyważeniu krat w celi, uciekł w nocy z więzienia i nocami doszedł 27 kwietnia do Sieradza. W czasie tej ucieczki doznawał schronienia za dnia po wiejskich chałupach, gdzie go żywiono, a nocami maszerował. W Sieradzu, przy konfesjonale, poprosił księdza o pomoc w nawiązaniu łączności z organizacją podziemną. Ksiądz zaprowadził go do fryzjera, gdzie ukrywano go przez trzy dni. W międzyczasie adwokat, po kilku przesłuchaniach i stwierdzeniu jego tożsamości, dopomógł mu w otrzymaniu fałszywych dokumentów. Około 30 kwietnia Polak o pseudonimie „Janek” towarzyszył mu w podróży pociągiem do Łodzi, gdzie zamieszkał w mieszkaniu Anny przy *Adolf Hitler Strasse* [przypuszczalnie główna ulica, a więc może Piotrkowska – K.B.]. W drugiej połowie maja w towarzystwie Polaka o nieznanym imieniu przyjechał do Piotrkowa, gdzie zamieszkał w domu pewnego sędziego. Tam wyrobiono mu nowe fałszywe dokumenty i z końcem maja odwieziono go do Warszawy. W Warszawie mieszkał do końca czerwca przy ulicy Kredytowej 9 m. 56. W międzyczasie nawiązał łączność z adwokatem Ottonem Gordziałowskim i przeprowadził się do jego mieszkania, gdzie pracował na nasłuchu radiowym, notując komunikaty, nadawane przez różne stacje radiowe w języku angielskim i niemieckim. Te z kolei tłumaczone były na polski przez żonę adwokata, panią Gordziałowską i drukowane początkowo w gazecie *Dzień*, a potem *Echo*, z którego korzystały liczne redakcje prasy podziemnej. Od drugiej połowy 1943 roku do maja 1944 wyszkolił on również dla Armii Krajowej sześciu radiotelegrafistów. Działalność

jego w czasie Powstania Warszawskiego jest dość dobrze znana z szeregu publikacji³, więc nie będę jej przytaczał. Dodam tylko, że był dwa razy ranny. Raz w potyczce ulicznej w Warszawie w styczniu 1944 roku, a po raz drugi podczas Powstania pod koniec września.

Komenda Główna AK po upadku Powstania planowała przetrzymać Warda „Czwartym Mostem⁴” do Anglii, więc go skierowano w kieleckie. Samolot jednak odwołano, a Sgt Ward przydzielony został do jednego z oddziałów partyzanckich 7 Dywizji Piechoty AK. Sowieckie oddziały pancerne, które w czasie zimowej ofensywy wkroczyły 18 stycznia do Raszkowa, zastały go na melinie u p. Sikorskiego. Do tych oddziałów jednak się nie zgłosił. Oficerowie i żołnierze byli zbyt pijani, rabowali bydło i gwałcili dziewczyny, a mężczyźni, którzy próbowali bronić, strzelali. Wkrótce potem rozpoczęły się aresztowania inteligencji i działaczy podziemnych, których wywożono samochodami w nieznanym kierunku. Pod koniec stycznia do domu, w którym mieszkał, przyszedł oficer NKWD i zaczął go przesłuchiwać, bo wiedział, że Ward, czego się nie wypierał, jest Brytyjczykiem. Oficer ten zabronił mu opuszczania Raszkowa i kazał czekać na dalsze rozkazy. W parę dni po tym przesłuchaniu, gdy Ward spacerował na krańcu wsi koło lasu, padł karabinowy strzał. Kula błyknęła koło niego, więc zaczął uciekać i skrył się w lesie do zmroku. Dwa dni później, gdy był przed zagrodą, nadjechały sanki z czterema sowieckimi żołnierzami, którzy otworzyli do niego ogień z odległości około 70 metrów. Upadł więc twarzą w śnieg i zastygł w bezruchu. Żołnierze sowieccy pokrzyczeli jeszcze i odjechali. Po tym incydencie, na początku lutego pojechał końmi razem

3. Pomian Andrzej, „The Warsaw Rising”, London 1945, str. 38-53; Korboński Stefan, „W imieniu Rzeczypospolitej”, Gryf, Londyn 1964, str. 326-329; Nowak Jan, „Kurier z Warszawy”, Odnova, Londyn 1978; str. 339-341, 343, 354, 358, 366; Świdorska Hanna, „1944; Jak zdobyć ‘brytyjskie informacje’ z Polski?”, *Zeszyty Historyczne* nr 110 (1994), str. 164-168. Z pracy tej wynika, że ten sam raport Warda ma 2 sygnaturki w PRO: jeden w teczkach FO, a drugi w teczkach SOE, ostatnio odtajnionych.

4. Szerzej na ten temat: Bieniecki Kajetan, „Lotnicze wsparcie Armii Krajowej”, *Arcana*, Kraków 1994, str. 213-215.

z panią Gordziałowską do Kielc, aby nadać zakodowaną depeszę do Air Ministry. Odpowiedzi jednak nie otrzymał, bo radiostację Sowietów wykryli i aresztowali obsługę. Pod koniec lutego dotarł podwodą z panią Gordziałowską do Podkowie Leśnej, gdzie otrzymał od gen. Okulickiego datowany 10 lutego z Air Ministry rozkaz stawienia się do sowieckiego dowództwa w celu ułatwienia mu podróży do Moskwy. O tym rozkazie powiadomiona była również ambasada brytyjska i władze sowieckie w Moskwie. W Podkowie Leśnej wymienił kody z Korbońskim, który dzięki temu mógł się ewentualnie porozumieć z rządem brytyjskim.

Po wysłaniu depeszy 5 marca do Air Ministry, Ward zgłosił się 7 marca do dowódcy garnizonu sowieckiego, który skierował go do obozu w Rembertowie. W obozie tym odizolowano go od reszty obcokrajowców, poddano rewizji osobistej i przesłuchiowano go przez 12 godzin na temat Armii Krajowej. Kodów przy nim nie odnaleziono, bo ukrył je na sobie, a zeznania ograniczył do swojej działalności radiowej podczas Powstania, gdyż sądził, że Rosjanom jest ona i tak już dobrze znana. Parę dni później razem z kilkoma wyższymi oficerami amerykańskimi i osiemnastoma Brytyjczykami załadowano go do pociągu i odesłano do Odessy. W Odessie czekał na nich brytyjski statek *Duchess of Bedford*, który odpłynął 15 marca do Stambułu, gdzie nadano depeszę do Air Ministry, że Sgt Ward jest na pokładzie statku w drodze na Maltę i prosi o transport lotniczy do Anglii. Na Malcie podjęto go samolotem najpierw na Korsykę, skąd odleciał 21 marca do Anglii, gdzie przesłuchiowano go przez następne pięć dni.

Drugim z kolei lotnikiem, który też dość długo przebywał w Polsce i nauczył się języka polskiego, był Kanadyjczyk P/O Hubert BROOKS⁵ (nr J-94368), nawigator Wellingtona X-3467 „N” z kanadyjskiego 419 Dywizjonu *Moose*. W nocy z 8/9 kwietnia 1942 roku podczas lotu na bombardowanie Hamburga, przy przekraczaniu brzegu niemieckiego, Wellingtonowi zapaliły się dwa silniki. Załoga skakała z palącego się samolotu 18 km na południowy wschód od Leer

5. WO 208/3326(-)2950.

i dostała się do niewoli. Hubert Brooks najpierw przebywał w Dulag Luft w Wetzlar a następnie przeniesiono go do Stalagu VIII B w Lamsdorf (Łambinowice) na Śląsku. Tam zamienił dokumenty i mundur lotniczy na armijny z wziętym na Krecie do niewoli Nowozelandczykiem.

Na początku czerwca 1942 roku Brooks pracował w kopalni węgla na komenderówce w miejscowości Bobrek koło Bytomia. Uciekł stamtąd w czasie burzy i dotarł aż do Krakowa. Na przedmieściu niefortunnie zapukał do domu kolaboranta, który sprowadził policję. Po odbyciu kary w obozie w Lamsdorf, Brooks ponownie powziął decyzję ucieczki. Będąc na komenderówce przy naprawie torów kolejowych w Zwittan (Svitavy) w Czechosłowacji, postanowił uciec do Włoch, ale został złapany w Wiedniu, w pociągu jadącym do Triestu.

Wreszcie za trzecim razem udało mu się uciec w maju 1943 roku z komenderówki w Tost (Toszek), gdzie pracował w tartaku. Uciekł do Lublińca, a następnie, przy pomocy przypadkowo napotkanego polskiego chłopca, przez granicę w Herbach, dotarł 15 maja do Częstochowy. Nawiązał łączność z Podziemiem i przez następne trzy miesiące ukrywały go na strychu dwie starsze panie i uczyły polskiego. Porozumiewano się po francusku, gdyż starsze panie w młodości przebywały przez pewien czas w Paryżu, a 22-letni Hubert znał ten język z rodzinnego Montrealu.

Od sierpnia 1943 roku do stycznia 1945 roku Brooks walczył w szeregach 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Miał być nawet podjęty „Piątym Mostem”, ale na skutek sowieckiej zimowej ofensywy wstrzymano lot amerykańskim Dakotom z Włoch.

Brooks zgłosił się więc do sowieckich władz wojskowych, które potraktowały go jednak jako jeńca wojennego. Pomaszerował razem z Niemcami aż nad Odrę, skąd eskortowano go z powrotem na piechotę do Nowego Sącza, a po przesłuchaniu przetransportowano go najpierw do Kijowa, a następnie do Odessy. Z Odessy odpłynął 7 marca 1945 roku na pokładzie australijskiego statku *Moreton Bay* do Port Said. Z Kairu odleciał samolotem do Anglii, gdzie wylądował 19 marca. Zaraz po przyjeździe przesłuchiowano go przez długie godziny.

Pierwsze raporty zestrzelonych lotników o Polsce otrzymali Brytyjczycy niewątpliwie od załogi Halifaxa JP-224 „A” ze 148. Dywizjonu RAF. Załoga ta wystartowała z lotniska Campo Casale w południowych Włoszech 23 kwietnia 1944 roku o godz. 19.38, aby dokonać zrzutu materiałowego na placówkę „Klacz” 901, położoną 7 km na południe od Opolą na Lubelszczyźnie, w pobliżu wsi Franciszków. Do placówki jednak nie doleciało. Przegrzały się dwa lewe silniki, wyrzucono więc ładunek na dziko. Załoga skakała na spadochronach około godz. 23.45 po lewobrzeżnej stronie Sanu w okolicy Tarnogóry, a samolot spadł 15 km na południe od Rudnika.

Pilot W/O Thomas STOREY⁶ (nr 1431804) skakał z małej wysokości, więc spadochron zdążył mu się ledwo otworzyć, gdy nogami uderzył o ziemię i stracił z bólu przytomność. Po jej odzyskaniu chciał zakopać spadochron i kamizelkę ratunkową, ale w ciemnościach wpadł do rzeczki. Spadochron popłynął z prądem, Storey zakopał tylko kamizelkę i począł się skradać w kierunku pobliskich zabudowań. Przy słabo oświetlonym budynku stał na warcie przy drzwiach żołnierz niemiecki. Storey powlókł się dalej, ale daleko nie uszedł, gdyż bolały go nogi. Zanim zdążył zapukać do najbliższej chałupy, wyszedł z niej młody chłopak. Storey złapał go rękami mocno za szyję tak, aby chłopiec nie mógł krzyknąć i szepnął mu do ucha „RAF-English”. Chłopak pojął kim jest, więc zaprowadził go do następnego domu. Tam się dowiedział od gospodarza, z którym rozmawiał po niemiecku, że we wsi są Niemcy. Gospodarz posłał chłopaka po pomoc i wkrótce zebrało się sześciu mężczyzn, którzy ponieśli Storeya do pobliskiego lasu i tam go ukryli w ziemiance. Niemcy przeczesywali okolicę i użyli nawet samolotu Fieseler Storch w poszukiwaniach. Zabrali nawet 50 zakładników z okolicznych wsi.

Do ziemianki dołączył również mechanik pokładowy Sgt Charles John KEEN⁷ (nr 1608721), którego dwaj młodzi chłopcy znaleźli śpiącego w lesie. Nakarmili go i przynieśli

6. WO 208/3320(-)2012; AIR 27/996.

7. WO 208/3320(-)2014; AIR 27/996.

mu obuwiu, gdyż Keen swoje lotnicze buty stracił przy wyskoku z samolotu.

Do ziemianki wkrótce doszło jeszcze dwóch strzelców: Irlandczyk, F/S Patrick Michael STRADLING⁸ (nr 1219036) i Walijszyk, Sgt James Caradog HUGHES⁹ (nr 1317019).

W nocy z 28/29 kwietnia pod eskortą około 30 uzbrojonych partyzantów przeprowadzono tych czterech lotników na drugą stronę Sanu w okolice Ulanowa. Stamtąd skierowano ich do Puszczy Solskiej, gdzie obok oddziałów partyzanckich AK znajdowało się szereg oddziałów sowieckiej partyzantki. Na prośby lotników, przekazano ich partyzantce sowieckiej.

W nocy z 6/7 czerwca zostali oni podjęci samolotem sowieckim i razem z rannymi przewiezieni zostali do Kijowa. Z Kijowa odlecieli 12 czerwca do Moskwy, gdzie przekazano ich brytyjskiej Misji nr 30. Z Moskwy odjechali 27 czerwca pociągiem do Murmańska, a następnie morzem dopłynęli 8 lipca do Scapa Flow w Szkocji. Przesłuchiwano ich 11 i 12 lipca, po czym ustalono następujące wytyczne przy ucieczce lotników w Polsce:

1. Stosuj się do instrukcji, dawanych przy odprawie przed lotem.

2. Szukając pomocy, unikaj osiedli, bo tam są Niemcy.

3. Wybieraj pojedyncze domy i proś o nawiązanie łączności z polską partyzantką.

4. Maszerując unikaj dróg, dużych rzek i linii kolejowych, które są stale patrolowane. Po drogach jeżdżą samochody pancerne, które mogą otworzyć ogień do ciebie, zwłaszcza w nocy. Kryj się przed samolotem, bo może szukać partyzantów i będzie do ciebie strzelał. Maszerując, trzymaj się lasów i staraj się przechodzić przez mokradła, aby zatrzeć za sobą ślady, bo Niemcy przy patrolowaniu używają psów.

5. Gdy znajdziesz się w oddziale partyzanckim nie zadawaj pytań, gdyż pytania wywołują podejrzenia, zwłaszcza u Rosjan, którzy mogą cię uważać za niemieckiego szpiega.

8. WO 208/3320(-)2013; AIR 27/996.

9. WO 208/3320(-)2015; AIR 27/996.

6. Wyskakując, zabieraj ze sobą wszelką broń, koniecznie rewolwer. Nie zapominaj wyposażenia pierwszej pomocy ani też osobistej apteczki, gdyż partyzantom brak jest lekarstw.

7. Będąc w oddziale partyzanckim nie poddawaj się Niemcom. Zostaniesz poddany przez Gestapo wyrafinowanym torturom, abyś wydał tajemnice wojskowe.

8. Teren na północ od Sanu i na wschód od Wisły znany jest jako *Banditengebiet*. Okolice Ulanowa i Biłgoraja są terenami, do których należy dążyć, bo tam są liczne polskie oddziały partyzanckie i sowieckie. Sowieckie oddziały partyzanckie dostały rozkazy, aby udzielić wszelkiej pomocy brytyjskim i amerykańskim lotnikom w przedostaniu się do ZSSR.

W sierpniu 1944 roku zestrzelonych zostało w promieniu 85 km od Tarnowa 13 samolotów brytyjskich, południowoafrykańskich i polskich, a w drugiej połowie października dalsze 2 południowoafrykańskie. W rejonie tym zniżano lot, aby sprawdzić swoje położenie, gdyż szereg rzek miało tam ujście do Wisły, a one stanowiły dla lotników punkty odniesienia w nawigacji. Z tych 15 zestrzelonych samolotów poległo 83 lotników, uszło z życiem 26, z czego 16 od niewoli niemieckiej uratowała Armia Krajowa. Do nich między innymi należeli:

F/O Philip James ANDERSON¹⁰ (nr C-11369), który miał 35 lat, był Kanadyjczykiem z Toronto i nawigatorem Halifaxa JP-162 „S” ze 148 Dywizjonu RAF do specjalnych zadań. Zadaniem jego w nocy z 4/5 sierpnia 1944 roku było doprowadzenie samolotu do placówki „Kanarek” 211, położonej 13 km na północ od Miechowa w rejonie wsi Przysieka, celem dokonania tam zrzutu materiałowego. Po wykonaniu zadania Halifax został zestrzelony przez nocnego myśliwca w rejonie Wojnarowej, położonej 37 km na południe od Tarnowa.

Anderson wyskoczył z palącego się samolotu około godz. 01.30 i po wylądowaniu zakopał hełm i szelki od spadochronu. Zachował spadochron i przez dwa dni ukrywał się w okolicznym lesie. Zgłodniały poszedł do chłopskiej chałupy,

10.WO 208/3326(-)2931; AIR 27/996.

gdzie go nakarmiono i ukryto, gdyż Niemcy w okolicy szukali zbiegłych lotników. Trudno mu było się porozumieć, aż wreszcie po paru dniach przyszedł do tego domu mężczyzna należący do AK i znający słabo język angielski. Odprowadził Andersona do innego gospodarstwa, oddalonego o 8 km, gdzie ten spotkał swego bombardiera. Był nim Sgt Robert Orlando PETERSON (nr R-131742), również Kanadyjczyk, ale z Banff w prowincji Alberta.

W drugiej dekadzie września dołączył do nich radio-telegrafista Sgt Allan JOLLY (nr 1432309) i mechanik pokładowy Sgt W. Charles UNDERWOOD (nr 1623931). Trzej inni z załogi poległ w samolocie.

Wszyscy czterej zestrzeleni lotnicy dołączyli później do partyzanckiego batalionu „Barbara” 16 Pułku Piechoty AK, liczącego około 800 żołnierzy i działającego w okolicy. Wkrótce potem batalion ten został zaatakowany przez Niemców i doszło do całodziennej bitwy pod Jamną koło Ciężkowic. Oddział ten pod osłoną nocy wymknął się jednak z okrążenia, ale stale napierany był przez Niemców. Maszerowano tylko nocami a za dnia ukrywano się w lesie. Początkowe zamiary lotników przejścia przez linię frontu, oddaloną zaledwie o 30 km, stały się trudne do urzeczywistnienia, choć dowódca oddziału partyzanckiego miał rozkazy od swego przełożonego, aby im w tym dopomóc. Oddział podzielono później na mniejsze grupy, a lotników ukrywano w stodołach i dla bezpieczeństwa stale zmieniano im miejsca postoju, gdyż Niemcy patrolowali okoliczne wsie.

W drugiej połowie października Underwooda i Andersona ukryto w Tarnowie w domu, w którym mieszkał niemiecki *Treuhänder*. Wkrótce po wkroczeniu wojsk sowieckich 18 stycznia 1945 roku, zgłosili się do władz sowieckich i zostali odesłani do Odessy. Odpłynęli 6 marca i przybyli do Zjednoczonego Królestwa 24 marca. Przez następne trzy dni Anderson zdawał relacje.

Australijczyk F/L Allan Hunter HAMMET¹¹ (nr A-400754), pochodził z Red Cliffs w stanie Victoria. Mając 20

11. WO 208/3327(-3002); AIR 27/1125.

lat i będąc studentem, zgłosił się na ochotnika do RAF-u w 1940 roku. Cztery lata później jako radiotelegrafista służył w 178 Dywizjonie bombowym RAF. W nocy z 16/17 sierpnia 1944 roku Liberator jego KG-933 „P” dokonał zrzutu materiałowego na placówkę „Nida” 504, położoną 28 km na południowy wschód od Piotrkowa koło wsi Górale. Podczas powrotu do bazy w Amendoli, samolot został zestrzelony w rejonie Krakowa.

Lekko ranny Hammet wyskoczył z płonącego samolotu i wylądował koło wsi Kocmyrzów. Po schowaniu spadochronu i kamizelki ratowniczej, pomimo odniesionych ran, podjął marsz na północ, ukrywając się w lesie, a wieczorem powłókł się do najbliższej napotkanej wiejskiej chaty i poprosił o pomoc. Tam go nakarmiono, a w dwie godziny później przyszła z uzbrojonym partyzantem sanitariuszka, która opatrzyła mu rany. Porozumiał się z nimi po francusku. W nocy zabrano go furmanką do dworu w Gorzycach, gdzie lekarz usunął mu odłamki z ran. Dostarczono mu ubranie cywilne i odwieziono go końmi do Słaboszowa, gdzie pod troskliwą opieką spędził następne pięć tygodni.

Po wyleczeniu się z ran pod koniec września brał udział w wypadach oddziału partyzanckiego ze 106 Dywizji Piechoty AK do Miechowa po broń i amunicję, a także w wypadzie na cukrownię w Kazimierzy Wielkiej. W drugiej dekadzie października oddział ten walczył z ekspedycją karną własowców w okolicy Święcic, gdzie poległo 19 własowców przy stracie 9 partyzantów, w tym 2 Brytyjczyków, zbiegłych z niewoli. Oddział ten w walce z własowcami zestrzelił ogniem karabinów maszynowych patrolujący niemiecki samolot Fieseler Storch.

Wkroczenie wojsk sowieckich w styczniu 1945 roku zastało Hammeta na melinie pod Święcicami, oddalonymi o 10 km na północny zachód od Działoszyc. Po zgłoszeniu się do oddziału sowieckiego był on przierzucany z miejsca na miejsce, aż wreszcie w połowie lutego dostał się do obozu w Częstochowie, gdzie objął komendę nad około 800 jeńcami alianckimi. W tydzień później przeniesiono ich do Krakowa, gdzie do grupy dołączyło dalszych 90 jeńców. Po trzech dniach odesłano ich wszystkich transportem kolejowym do

Odessy, skąd odpłynęli do W. Brytanii około 15 marca.

Południowoafrykanin Lt. Evan COLBERT¹² (nr 102502-V) mieszkał w Johannesburgu i miał trzydzieści lat, gdy w 1940 roku zgłosił się na ochotnika do lotnictwa. W 1944 roku służył jako nawigator w 34 Dywizjonie SAAF. Zadaniem jego w nocy z 16/17 października 1944 roku było doprowadzenie Liberatora KH-152„F” do placówki „Buk” 201, położonej 9 km na południowy wschód od stacji kolejowej Radomsko w okolicy wsi Orzechów, celem zrzucenia na nią zaopatrzenia materiałowego. Liberator jednak do celu nie doleciał, gdyż przed przekroczeniem Wisły w rejonie Szczucina zapalił go niemiecki myśliwiec.

Pilot wydał rozkaz do skoku. Lt. Colbert wylądował koło wsi Czarkówka i skrył się w lesie. Rano poszedł do najbliższej zagrody i poprosił o pomoc w doprowadzeniu go do linii frontu. Nakarmiono go i doradzono, aby poczekał do nocy, bo w okolicach jest pełno Niemców. Wieczorem przyszli uzbrojeni polscy partyzanci, a jeden z nich, który mówił słabo po angielsku, poinformował go, że w szczątkach samolotu znaleziono popalone zwłoki trzech lotników w stalowo-niebieskich mundurach. Domyślił się, że to byli strzelcy i bombardier, którzy z RAF-u przydzieleni zostali do załogi południowoafrykańskiej. A koło samolotu leżały ciała dwóch pilotów w *battle dressach* koloru *khaki*, noszonych przez Południowoafrykanów. Od jednego z pilotów przyniesiono mu dokumenty. Był to log zużycia benzyny, który prowadził drugi pilot. Następnego nocy partyzanci odprowadzili Colberta do domu odległego o 5 km, gdzie przebywał drugi Południowoafrykanin, radiotelegrafista 2/Lt. G.C. DICKS (nr 313340-V). Doprowadzono ich obu później do wsi Bolesławów, gdzie ukrywano Colberta z amerykańskim sierżantem aż do wkroczenia wojsk sowieckich 16 stycznia 1945 roku. Natomiast Dicksa z oficerem amerykańskim ukrywano w pobliskiej wsi Kanna. Colbert przybył do obozu w Odessie 17 marca, skąd odpłynął do W. Brytanii.

12. WO 208/3326(-)2980; AIR 54/79.

Szef SOE Lord Selborne¹³ w memoriale z 9 stycznia 1945 roku pisał do Edena, że Polacy ukrywają 75 zestrzelonych lotników i zbiegłych z niewoli jeńców alianckich.

W marcu 1945 roku rozpoczęła się wymiana jeńców między Rosją a mocarstwami zachodnimi. Żołnierze alianccy, którzy przebywali w Polsce, po powrocie do W. Brytanii dostali od SOE do wypełnienia kwestionariusz¹⁴, przygotowany przez Foreign Office. Odpowiedzi na ten kwestionariusz udzielili:

F/L P.J. Anderson, RCAF; W/O J. Ward, RAF; P/O Brooks, RCAF; Sgt F.R. Smith, US Army; Cpl. D.G.F.B. Durston, Sussex Regt; F/L Schöffer, PAF; Lt. Col. Boughey, War Office; Col. W. Hudson, d-ca brytyjskiej misji wojskowej do AK; Polacy, przemyceni w Odessie: ppor. Luty-Lutomski, ppor. K. Zyluk, T. Siehmen, W. Wężyk i M. Lichtenstein.

Z uwagi na dużą objętość kwestionariusza i trzymając się ściśle tematu związanego z brytyjskimi lotnikami, przytaczam tylko wypowiedzi trzech zestrzelonych brytyjskich lotników: Andersona, Warda i Brooksa, którzy wypełnili ten kwestionariusz. O ich losach pisałem w części zatytułowanej „Raporty”.

W dziale „Kwestionariusz” podaję pytania, które on zawierał i zaraz potem odpowiedzi poszczególnych lotników.



KWESTIONARIUSZ

1. Nastawienie do Rządu Polskiego w Londynie i do Sprzymierzonych.

a) Opinie na temat obecnego rządu w Londynie? Polaków poza krajem jak np. Mikołajczyka, który nie zgadza się z obecną polityką rządu?

13. HS4/156.

14. HS4/211.

ANDERSON: – Polacy, bez względu na klasę społeczną, chcą tylko rządu londyńskiego. W moim przekonaniu chcą tego wszyscy. Poprzedni rząd Mikołajczyka cieszył się większym uznaniem, aniżeli obecny. Opinię tę wyraża ogół społeczeństwa.

WARD: – Polacy, z wyjątkiem partii politycznej PPR, uznają tylko rząd w Londynie. Wykazują oni kompletną lojalność w stosunku do W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Wydaje im się, że po zakończeniu wojny z Niemcami znajdą się w mocniejszej pozycji i będą mogli wyrzucić presję na Rosję i uzyskać lepsze warunki dla Polski.

BROOKS: – Blisko 90% Polaków chce rządu z Londynu. Dla nich nie odgrywa roli czy będzie to rząd Mikołajczyka, czy Arciszewskiego. Wszyscy pragną wolności bez pomocy „Lublina” albo NKWD. Wszystkie polskie partie uważają obecny rząd w Londynie za legalny i nie chcą mieć nic wspólnego z rządem w Lublinie. Rząd lubelski uznaje tylko partia PPR, która stworzona została kilka lat temu przez Rosjan. Jest ona bardzo słabą partią na terenie Polski. Niektórzy członkowie rządu lubelskiego są w Polsce w ogóle nieznani. Szereg z nich mieszkało stale w Rosji od czasu rewolucji rosyjskiej, a obecnie po to tylko wróciło, aby stworzyć nowy rząd w Lublinie.

b) Opinie na temat partii politycznych i ugrupowań, popierających rząd w Londynie?

ANDERSON: – Polacy uważają, że rząd w Londynie nie ma swoich reprezentantów w partiach obecnie powstałych w Polsce.

WARD: – Obecna sytuacja w Polsce jest tak krytyczna, że Polacy zapomnieli o swoich różnych przekonaniach politycznych, z wyjątkiem oczywiście PPR, i poprą każdego, kto im stworzy spokój i uporządkowane życie.

BROOKS: – sformułował odpowiedź w poprzednim pytaniu.

c) Opinie o W. Brytanii i Stanach Zjednoczonych oraz ich polityki?

ANDERSON: – Polacy chcieliby mieć zapewnioną przyjaźń W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Pomocy finansowej spodziewają się od Stanów Zjednoczonych, a rad politycznych od W. Brytanii.

WARD: – Panuje ogólne przekonanie, że W. Brytania i Stany Zjednoczone, pokonując Niemcy, stworzyły jeszcze większego przeciwnika – Rosję.

BROOKS: – Polacy woleliby być niewolnikami W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, aniżeli podlegać rządowi w Lublinie, który jest kontrolowany przez Rosjan. Jeśli Polak dowie się, że jesteś Brytyjczykiem, czy Amerykaninem odda ci ostatnią koszulę. Rosjanie od Polaka nic nie dostaną.

d) Opinie na temat konferencji w Jałcie, propozycji utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, o ewentualnych kandydatach do rozmów i wejścia do rządu?

ANDERSON: – Decyzje powzięte w Jałcie nie były znane w Polsce w detalach, ale Polacy wiedzieli, że rząd londyński je odrzucił. Były nie do przyjęcia i Polacy są gorzko rozczarowani. Zetknąłem się wtedy w Polsce z ludźmi z zawodami i z profesorami uniwersytetów. Uważali oni, że rząd w Londynie był nieustępliwy i dużą rolę odgrywało w nim partyjniactwo. Nawet dla tej klasy ludzi byłby raczej do zaakceptowania Mikołajczyk, aniżeli ktoś, kto jest obecnie w rządzie londyńskim.

WARD: – Wzmiankowano o Mikołajczyku, jako o ewentualnym premierze.

BROOKS: – Polacy byli bardzo rozczarowani wynikami konferencji w Jałcie. Polska straciła na rzecz Rosji połowę swych rolniczych terenów. Wielu Polaków chciałoby, aby Arciszewski, który ma ogromne uznanie wśród członków AK, stworzył ten nowy rząd prowizoryczny.

2. Współpraca sowiecka z władzami lubelskimi i z członkami polskiego Podziemia

a) Czy przeprowadzane są aresztowania, egzekucje i deportacje? Jeśli tak, to przez kogo są dokonywane? Wojsko sowieckie? NKWD? Władze lubelskie: wojsko,

milicję, policję? W jakich warunkach i okolicznościach? Gdzie aresztowani są następnie wysyłani? Do obozów koncentracyjnych w Polsce, do ZSSR? Czy odbywały się sądy przed specjalnymi trybunałami?

ANDERSON: – W Tarnowie 20 stycznia 1945 roku NKWD zaaresztowało sześciu mężczyzn, z czego dwóch później zwolniono. Byli oni z klasy ludzi z zawodami. Słyszałem z wiarygodnych źródeł, że NKWD później również aresztowało w Tarnowie szereg partyzantów. Podobne aresztowania partyzantów miały też miejsce w Krakowie. W Lublinie natomiast został zaaresztowany na ulicy jeden z arystokratów. W większości przypadków aresztowania dokonywane były jednak w domu i aresztowani umieszczani byli w więzieniach miejscowych. Sądy, jeśli miały miejsce, odbywały się przy drzwiach zamkniętych.

WARD: – Wielu moich przyjaciół, a byli to głównie oficerowie Armii Krajowej, zostało zaaresztowanych w domu w nocy. Nie widziałem, ani nie słyszałem o żadnych zbrojnych potyczkach między Polakami a Rosjanami. Wszystkie aresztowania o charakterze politycznym przeprowadzało NKWD, których ofiary po prostu znikają. I dlatego, według mnie, została zarządzona godzina policyjna od 20.00 do 05.00. Nie słyszałem, aby kogokolwiek sądzono. Milicja lubelska aresztuje tylko przestępców kryminalnych. Panuje ogólne przekonanie, że wszyscy aresztowani z powodów politycznych są wywożeni wprost do Rosji.

BROOKS: – Wielu członków AK zostało zaaresztowanych przez NKWD. W Nowym Sączu na przykład został zaaresztowany por. Tatar [Julian Zubek – K.B.], którego dobrze znałem. Rosjanie wiedzieli, że należał do AK i wzięli go przez dwa i pół tygodnia oraz starali się od niego dowiedzieć, gdzie przebywają dowódca i oficerowie 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Ofiarowano mu nawet wysoką rangę w wojsku, jeżeli tylko dopomoże Rosjanom w poszukiwaniach oficerów. Por. Tatar odmówił jednak swej pomocy. Znęcano się nad nim i nagle znikł z Nowego Sącza. Nikt nie wie, co się z nim stało. We Lwowie 25 000 ludzi wysłano do obozów koncentracyjnych. W okolicach Wilna

wszystkie piwnice stały się więzieniem żołnierzy AK. Mężczyznom, którzy odmawiają wstąpienia do wojska polskiego, grozi kara śmierci lub zsyłka na Syberię. Wiele osób, odmawiając oddania swego zegarka, zostało już zabitych.

b) Czy dawni żołnierze podziemia wstępują do: wojska ludowego, milicji lub administracji lubelskiej? Jeśli tak, to do jakiego stopnia. Czy można o nich powiedzieć że staną się „koniem trojańskim”?

ANDERSON: – Wydaje mi się, że żołnierzom AK wydano instrukcje, aby się zgłaszali do wojska. Znałem osoby, którym ofiarowano stanowisko w administracji państwowej, ale odmówiły, bo nie miały zaufania do rządu lubelskiego. W Londynie mówiono mi, że wysłane zostały do Polski instrukcje, aby korzystano z takich ofert. Przypuszczam, że w wojsku istnieje koń trojański. Oficerom AK zalecano, aby wstępowali do nowego wojska polskiego.

WARD: – Na początku tak i to na dużą skalę, ale później NKWD wyfuskiwało ich przy pomocy donosicieli z PPR.

BROOKS: – Wielu członków AK zatrudnionych jest w biurach. Wielu oficerów i żołnierzy AK za namową swych władz wstąpiło do wojska, aby w odpowiednim momencie stać się koniem trojańskim.

3. Nastawienie społeczeństwa do administracji lubelskiej.

a) Czy są jakieś oznaki, że pogodzone się z nowym reżymem i uwierzono w jego trwałość? Jakie opinie słyszał Pan na temat różnych partii i ugrupowań politycznych i przez kogo były one wypowiedane?

ANDERSON: – Nie. Nie widać oznak, aby uznawano rząd lubelski za prawowity. Dyrektor komitetu w Krakowie opowiadał mi, że nie miał żadnej władzy. Wszelkie wytyczne stale były zmieniane, brakowało jakiegokolwiek współpracy między wydziałami, więc w końcu z funkcji zrezygnował.

WARD: – Nikt nie wierzy w długotrwałość rządu lubelskiego, który reprezentuje tylko PPR. Słyszałem opinie,

że jest to rząd marionetkowy, podporządkowany całkowicie Moskwie. Tę opinię podzielali: gen. Bór-Komorowski, Delegat Rządu i prezes Stronnictwa Ludowego, obecny dowódca AK, szef polskiego wywiadu i przywódcy innych partii politycznych. Wrogość społeczeństwa przeciwko rządowi lubelskiemu stale wzrasta.

BROOKS: – Wszyscy w Polsce są przekonani, że rząd lubelski jest chwilowy i przyjedzie nowy rząd, który stworzy prawdziwą administrację. Administracja lubelska składa się głównie z Polaków, którzy większość swego życia spędzili w Rosji. Przesłano ich z Moskwy, aby stworzyli rząd w oparciu o PPR.

b) Czy reforma rolna i gospodarka pieniężna wpłynęły w jakiś widoczny sposób na uruchomienie przemysłu? Na skutek tych poczynań, społeczeństwo nabrało, czy straciło zaufanie do władz?

ANDERSON: – Reforma rolna była do zaakceptowania przez chłopów, ale nie przez warstwę urzędniczą. Ludzie odnoszą się do polityki monetarnej bardzo krytycznie, gdyż całkowicie zubożyła społeczeństwo. Nie widać oznak uruchomienia przemysłu z wyjątkiem dziedzin koniecznych dla wojska rosyjskiego. Do nich należą uruchomione młyny do mielenia mąki kierowane przez Rosjan.

WARD: – Wielu chłopów, którym na mocy nowej ustawy ofiarowano ziemię, odmówiło jej przyjęcia. Mało zrobiono dla uruchomienia przemysłu. Maszyny, które przedstawiały jakąś wartość, zostały zabrane do Rosji. Wszelkim obietnicom rządu lubelskiego społeczeństwo nie dowierza.

BROOKS: – Rolnictwo w Polsce w nadchodzącym roku będzie przeżywało kryzys. Armia rosyjska w pochodzie na zachód zabrała wszystkie konie i bydło. Rosjanie pozwolili wymienić tylko 500 starych złotych na nowe lubelskie. Za 500 złotych można kupić tylko 2,5 funta masła. Dużo sklepów nie chce przyjmować nowych pieniędzy, których wartość nie jest oparta na złocie. Panuje całkowity zastój w przemyśle. Większość maszyn wywieźli Niemcy. Sporo czasu upłynie, zanim Rosjanie uruchomią przemysł w Polsce.

c) Kogo wini społeczeństwo za upadek Powstania Warszawskiego: gen. Bora? Rosjan za brak wsparcia powstania? Brytyjczyków za brak pomocy?

ANDERSON: – Część winy za klęskę poniesioną w Warszawie przypisuje się gen. Borowi, a za powód podaje się, że nie uprzedził Rosjan o swoich planach. Większość społeczeństwa przekonana jest, że Rosjanie z wyrachowania nie przyszli z pomocą.

WARD: – Za upadek Powstania Warszawskiego winę przypisuje się Rosjanom. Społeczeństwo przekonane jest, że Rosjanie mogli oswobodzić miasto. A skoro tego nie zrobili, to przynajmniej mogli pozwolić samolotom alianckim lądować na swoich lotniskach.

BROOKS: – Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko dzisiaj w Polsce wie, że gen. Bór nie był odpowiedzialny za upadek Warszawy. Wszyscy oskarżają Rosjan, że powstrzymali swój marsz i nie wkroczyli do Warszawy. Wszyscy też wiedzą, że lotnictwo nasze gotowe było, aby przylecieć z zaopatrzeniem do Polski, ale Rosjanie nigdy nie pozwolili naszym samolotom lądować w Polsce. Wiadomo również, że gen. Bór działał w myśl instrukcji, otrzymanych z Londynu.

d) Czy władze lokalne, powołane przez administrację lubelską, przełamały lody? Do jakiego stopnia reprezentują one społeczeństwo?

ANDERSON: – Prawie wcale, chyba, że ktoś chciał odzyskać swoją ziemię, względnie nieruchomości, zabrane mu przez Niemców. Administracja lokalna wśród społeczeństwa nie ma w ogóle żadnego uznania. Ludzie uważają ją za niedoświadczoną. Stanowiska w tej administracji dostają głównie ludzie w nagrodę za zapatrywania polityczne, sympatyzujące z reżymem lubelskim.

WARD: – Z większością społeczeństwa lody nie zostały przełamane. Za współpracą może jest 10-15% społeczeństwa. W tym 4%, które reprezentuje inteligencja, ale i ona zaczyna

się wahać, gdyż straciła nadzieję na jakąkolwiek współpracę z tego rodzaju rządem.

e) Czy może Pan zacytować przykład uzależnienia administracji lubelskiej od władz sowieckich, względnie próby samodzielności tej administracji i upominania się o polskie prawa u Rosjan? Czy Polacy w administracji lubelskiej uważani są przez społeczeństwo za polskich patriotów, którzy w trudnych warunkach starają się o dobro swego kraju? Czy za agentów rosyjskich? Czy w opinii społeczeństwa Polacy, stojący na czele władz lokalnych, różnią się od Polaków, sprawujących władzę w administracji państwowej? Czy jest jakaś różnica w nastawieniu różnych klas społecznych czy różnych części kraju do administracji lubelskiej?

ANDERSON: – W granicach mego doświadczenia administracja, przynajmniej w niektórych sektorach, podlegała wyłącznie rozkazom dowódcy Armii Czerwonej. Przedstawiciele rządu w Lublinie są uważani za obcych, a administracja lubelska jest marionetkowa, wykonująca dyrektywy pochodzące z Moskwy. I to jest główną przyczyną antagonizmu.

WARD: – Grupę lubelską stanowią karierowicze i agenci Moskwy. Nikt nie uznaje ich za patriotów polskich. Warunki życia wszędzie są te same. Tylko ludzie, przynależni do PPR są lepiej traktowani.

4. Nastawienie społeczeństwa do władz sowieckich.

a) Jakie było nastawienie społeczeństwa do Rosjan w czasie lata i jesieni 1944 roku? Czy zmieniło się ono obecnie? Jeśli tak, to dlaczego?

ANDERSON: – Ofensywa rosyjska, która została zatrzymana w sierpniu 1944 roku, rozczarowała Polaków. W zamian spodziewanego wyzwolenia przez Armię Czerwoną spotkała ich nowa okupacja. W okresie po oswobodzeniu, kiedy byłem jeszcze w Polsce, niezadowolenie i antagonizm do Rosjan wzrosły.

WARD: – Nastawienie społeczeństwa do Rosji wcale się nie zmieniło.

BROOKS: – Ostatniego lata Polacy spodziewali się, że armia rosyjska ich wyzwoli. Odnosili się wtedy przyjaźnie. Po upadku Warszawy i po licznych aresztowaniach przez NKWD nastawienie ich się zmieniło. W styczniu, kiedy Rosjanie wznowili ofensywę, rozpoczęły się aresztowania Polaków i konfiskata bydła. Polacy naprawdę pragną zmiany rządu.

b) Czy uobecnia się w jakiś widoczny sposób NKWD? Czy są jakieś tarcia między NKWD, a władzami lubelskimi?

ANDERSON: – Nic nie wskazuje, aby były jakieś tarcia między NKWD, a rządem lubelskim. Donoszą jednak, że obie instytucje się wzajemnie nie lubią.

WARD: – Panuje ogólne przekonanie, że rząd lubelski ściśle wykonuje polecenia NKWD. Nie ma oznak, aby były jakieś tarcia. Przeciwnicy NKWD po prostu znikają.

BROOKS: – NKWD ma w rządzie lubelskim wszędzie swoich agentów.

c) Czy są jakieś dowody grabieży i rekwizycji, dokonywanych przez Armię Czerwoną? Jeśli tak, to do jakiego stopnia ma to wpływ na ekonomię i na rolnictwo?

ANDERSON: – Na linii frontu tak. Poza frontem, gdy tylko zapadnie zmrok, zaczynają się napady i grabieże. Myślę, że rekwizycje żywnościowe zapoczątkowane przez Niemców, a obecnie dokonywane przez Rosjan, doprowadzą do tego, że na wiosnę zabraknie zboża na zasiew.

WARD: – Żywy inwentarz, w tym konie, został zabrany z większych gospodarstw. Zabijane było zaopatrywało masowo kuchnie polowe w mięso. Chłopom mała rolnym w 80% również zabrano bydło. Rosjanie plądrowali okolice bez jakiegokolwiek sprzeciwu rządu lubelskiego. Największymi napastnikami są oficerowie i żołnierze Armii Czerwonej. Wszystko zboże zostało zarekwirowane. Wśród specjalistów

panuje przekonanie, że w Polsce tego lata będzie panował głód, jeżeli się nie sprowadzi żywności.

BROOKS: – Żołnierze frontowi konfiskowali wszystko (zegarki, ubrania i żywność).

5. Migracja Polaków zza linii Curzona.

Do jakiego stopnia emigrują Polacy ochotniczo zza linii Curzona do Polski? Czy jest jakaś organizacja, która pomaga nowym osiedleńcom? Czy rozpoczęło się już oficjalne przesiedlanie ludności? Jeśli nie, to jaki jest powód w jej opóźnieniu? Czy są jakieś dowody, że Polacy zza linii Curzona są deportowani na wschód do Rosji?

ANDERSON: – Brak mieszkań, żywności i odzieży sprawia, że sytuacja uchodźców jest godna pożałowania i szokująca. Organizacje charytatywne starają się temu zaradzić, ale ich możliwości, z braku środków materialnych, są bardzo ograniczone. Z ostatnich informacji, jakie otrzymałem w Lublinie, wynika, że Polakom nie pozwala się migrować w kierunku zachodnim i nie podaje się z jakich powodów. Zbyt dużo napływało wiadomości ze Lwowa i Wilna o aresztowaniach i deportacji na Syberię, aby je ignorować i traktować jako propagandę.

WARD: – Bardzo mało Polaków przybyło do Polski zza linii Curzona. Panuje ogólne przekonanie, że są oni wywożeni do Rosji. Pomoc społeczna w Polsce nie istnieje.

BROOKS: – Wielu Polaków uciekło do Polski zza linii Curzona, ale wielu zostało zaaresztowanych przez NKWD. Rosjanie wprawdzie przygotowali oficjalnie przesiedlenie ludności, ale nikt jednak jeszcze zza linii Curzona na zachód nie przyjechał. Wiele aresztowanych osób wywożono w kierunku wschodnim.

6. Stan ogólny

a) Żywność. Czy zaopatrzenie w żywność się poprawiło/ pogorszyło? Jest lepsze w mieście, aniżeli na wsi? Czy żywność na większą skalę zabierana jest na potrzeby wojska? Czy jest jakaś różnica pod tym względem na terenach zachodnich ostatnio wyzwolonych, aniżeli na wyzwolonych w 1944 roku?

ANDERSON: – Sytuacja żywnościowa stale się pogarszała. Żywności jest mniej w mieście, aniżeli na wsi. Żywności jest więcej obecnie na terenach zachodnich wyzwolonych w tym roku, aniżeli na wschodnich.

WARD: – Sytuacja żywnościowa jest zła. Gorsza na terenach ostatnio oswobodzonych, zwłaszcza w miastach. Żywność, której wieśniacy nie ukryli, praktycznie została zarekwirowana dla wojska.

BROOKS: – Sytuacja żywnościowa jest bardzo zła. Była ona lepsza podczas okupacji niemieckiej. Niemcy zabierali połowę plonów, a Rosjanie zabierają dwa razy więcej.

b) Transport i komunikacja. Każda informacja cenna np. Poszerzanie torów kolejowych. Stan dróg. Sprawność poczty i telegrafu?

ANDERSON: – Kolej: Tory na wschód od linii frontu ubiegłego lata były szerokie. Na zachód od tej linii są obecnie w trakcie poszerzania. Drogi: Drogi wymagają nowej nawierzchni. Niemcy dbali o główne drogi i utrzymywali je w dobrym stanie. Telegraf: Słaba organizacja armii podczas ofensywy w utrzymywaniu i dbaniu o linie telegraficzne. Po dwóch tygodniach od ofensywy ciągle było brak łączności telegraficznej między Tarnowem a Krakowem.

WARD: – Tam, gdzie biegły linie dwutorowe, jeden z torów został już poszerzony. Pojedyncze tory też zostały już poszerzone. Linie kolejowe i drogi są w bardzo złym stanie. Poczta praktycznie jeszcze nie funkcjonuje. Z telegramu może korzystać tylko administracja.

BROOKS: – Za zachód od linii Curzona tory kolejowe zostały całkowicie zniszczone. Ciągle nie można telegrafować. Z drogami jest lepiej. Armia rosyjska buduje prowizoryczne mosty.

c) Epidemie. Czy są jakieś na to dowody?

ANDERSON: – W armii sporo dezynterii. Mówi się też dużo o tyfusie.

WARD: – Obecnie jeszcze nie, ale z chwilą ocieplenia

spodziewana jest epidemia w Warszawie.

BROOKS: – Rozpoczynają się w Polsce choroby. Natychmiast należy do Polski przysłać lekarstwa.

d) Antysemityzm. Czy spotkał się Pan z tym w jakimś przypadku?

ANDERSON: – Po wyzwoleniu, sporo Żydów z Lublina przyjechało do zachodniej Polski. Polacy wyraźnie nie darzą ich sympatią.

WARD: – Z rozmów jakie przeprowadziłem z szeregiem oficerów rosyjskich, którzy uważali mnie za Polaka wywnioskowałem, że w armii rosyjskiej w dużym stopniu panuje antysemityzm.

BROOKS: – Prawie nie zauważyłem antysemityzmu wśród Polaków, gdyż Niemcy wyniszczyli prawie wszystkich Żydów, a ci którzy ocaleli, ukrywając się po lasach, otrzymywali żywność od Polaków. Bardzo mały procent Żydów wrócił na swoje dawne miejsce zamieszkania.



Jakiegokolwiek były opinie i nastawienie zestrzelonych lotników brytyjskich, przebywających przez pewien okres wojny w okupowanej Polsce, nie miały one najmniejszego wpływu na decyzję rządu brytyjskiego. W. Brytania i Stany Zjednoczone 5 lipca 1945 roku cofnęły uznanie Rządowi RP w Londynie i uznały Tymczasowy Rząd PRL w Warszawie.

Montreal, marzec 1997 r.

Kajetan BIENIECKI

Kazimierz STYŚ

„BURZA” I „DESZCZ” NA TERENIE OBWODU AK KOZIENICE

Dotychczasowe opracowania akcji Armii Krajowej opatrzonej kryptonimem „Burza” dotyczą, w przeważającej mierze, planów Komendy Głównej AK oraz dużych jednostek czy też wyższych szczebli organizacyjnych AK, jak np. okręgi. Należy tu wspomnieć o obszernej monografii historycznej „Jodła” Wojciecha Borzobohatego (Instytut Wydawniczy Pax, 1988), w którym opisuje on dzieje ZWZ-AK na terenie Okręgu Radomsko-Kieleckiego łącznie z akcją „Burza”. Brak jest natomiast wiarygodnych opracowań dotyczących niższych szczebli organizacyjnych AK – inspektoratów i obwodów. A wszak to właśnie te szczeble organizacyjne musiały dostarczyć żołnierzy i broni do akcji zaplanowanych przez KG AK i akcje te wykonać. Plany te nie zawsze brały pod uwagę lokalne trudności i możliwości. Zespół dokumentów w moim posiadaniu w miarę dokładnie obrazuje te trudności na terenie obwodu AK Kozienice właśnie w tym najbardziej aktywnym okresie od lipca 1944 r. do rozwiązania Armii Krajowej w połowie stycznia 1945 r.

Jako szef Referatu Organizacyjnego oraz kierownik kancelarii obwodu w III kwartale 1944 r. miałem dostęp do większości dokumentów. Część z nich ocalałem. Na podstawie tego zespołu dokumentów, wspomnień moich współto-

warzyszy konspiracyjnych oraz moich osobistych wspomnień, mogłem dosyć wiernie odtworzyć przebieg wydarzeń na terenie Obwodu AK Kozienice w drugiej połowie 1944 r.

LOKALIZACJA OBWODU I ZADANIA

Organizacyjnie Obwód AK Kozienice wchodził w skład Inspektoratu Radom.

Należy chociażby pokrótce wyjaśnić lokalizację obwodu oraz jego położenie geograficzne, które miały ważne znaczenie dla przebiegu działań. Otóż obwód obejmował były powiat kozienicki. Miał kształt pasa szerokości około 20 km, przylegającego wschodnim bokiem do Wisły od ujścia Pilicy do okolic Puław. Przez teren obwodu przechodziły dwie ważne arterie komunikacyjne zachód-wschód. Linia kolejowa Radom-Dęblin z mostem na Wiśle oraz szosa Radom-Puławy także z mostem na Wiśle.

Do początkowych zadań obwodu, w ramach powstania powszechnego, należały: zabezpieczenie mostów na Wiśle, ochrona Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, ochrona linii kolejowej i szosy oraz pomoc w zdobyciu lotniska w podradomskim Sadkowie. Powyższe zadania były w mocy praktycznie do końca lipca 1944 r. Działania Komendy Obwodu były nastawione na wykonanie tych zadań. Celem wykonania przewidzianych zadań obwód miał wystawić pułk piechoty.

Według zachowanego dokumentu „Etat kompanii partyzanckiej” kompania powinna liczyć 240 żołnierzy, w tym 11 oficerów, a więc obwód miał wystawić 2160 żołnierzy do zadań bojowych. Ponadto winien także zorganizować WSOP (Wojskowa Służba Ochrony Powstania), do której werbowano mężczyzn w wieku ponad 35 lat. Zadaniem WSOP miała być ochrona zdobytych obiektów.

Kilka zachowanych raportów o stanie liczbowym wykazuje, że pod rozkazami AK było zorganizowanych około 2500. Zachowany rejestr oficerów podaje pseudonimy 92 oficerów. Kilku z nich w połowie 1944 r. nie żyło lub zostało aresztowanych. Z kilkoma stracono kontakt.

Celem uzupełnienia kadry dowódczej na terenie obwodu zorganizowano 4 kursy dla podchorążych, na których prawdopodobnie przeszkolono około 30 żołnierzy. W posiadaniu autora jest dokument dotyczący turnusów III i IV podający 15 pseudonimów. Przypuszczam, że poprzednie kursy liczbowo były podobne.

Znacznie większe kłopoty sprawiało uzbrojenie pułku. Według „Etatu kompanii partyzanckiej” pułk powinien być uzbrojony w 9 ckm-ów, 36 rkm-ów, 507 karabinów, 162 pistolety maszynowe i wiele innej broni i sprzętu, łącznie z taborami, rowerami a nawet jest podana ilość busol i lornetek. Niestety planiści nie liczyli się z realiami. Jak zobaczymy poniżej, obwód w żadnym razie nie był w stanie uzbroić pułku według wymagań mimo, że należał do uprzywilejowanych w dostawach broni zrzutowej ze względu na zadania w powstaniu powszechnym.

ZRZUTY (KRYPTONIM „KOSZ”)

Na terenie obwodu wyznaczono 10 miejsc na zrzuty. Wykorzystano 8, na które dostarczono 10 zrzutów w latach 1943 i 1944, w tym 2 zrzuty były ze skoczkami. Zgodnie z celami wyznaczonymi dla obwodu w ramach powstania powszechnego, większość zrzutowej broni zmagazynowano w pobliżu obiektów, które miały być celem ataków pułku a więc przy mostach na Wiśle oraz fabryce w Pionkach. Jak się później okazało, broń zmagazynowana w pobliżu mostów była nieosiągalna w czasie „Burzy”. O przyczynach poniżej.

Ponadto zrzuty zawierały materiały minerskie (zapalniki, kable, lonty, noże itp.), sanitarne (opatrunki osobiste), sprzęt łączności (baterie, lampy zapasowe, anteny), odzież (spodnie, buty) oraz opatrunki osobiste.

Tabela wyszczególnia zawartość 8 zrzutów. Szczegółowa analiza zawartości zrzutów wykazuje, że były one bardzo podobne. Toteż aby otrzymać całość sprzętu, który obwód otrzymał, należy każdą pozycję tabeli pomnożyć przez współczynnik 1.2.

Zawartość materiałów zrzutowych w 1944 r.:

Rodzaj sprzętu	Ilość/amunicja
Steny	240/87000
Szmajtery	60/18000
Pistolety	247/15000
Granaty	815
Piat	20/192
Miny ppanc.	360
rkm-y	18/30000*
Lornetki	9
Rakiety	114
Radiostacje	10
Prądnice	10
Plastik	1261 kg
Radioodbiorniki	19
Zegarki	20

* w przybliżeniu

PRZED „BURZĄ”

Kryptonim „Burza” jest używany tu umownie. Żaden z zachowanych dokumentów nie wymienia tego terminu. W dokumentach jest mowa o powstaniu powszechnym, do końca lipca 1944 r., a następnie jest mowa o akcji „Deszcz” (Rozkazy operacyjne Nr 1/44 i Nr 2/44). W tym czasie nikt nie przypuszczał, że na terenie okręgu zaistnieje potrzeba improwizowania akcji zwanej potocznie „koncentracją”, której żaden plan nie przewidywał.

Do końca lipca 1944 r. działalność obwodu była nastawiona wyłącznie na powstanie powszechne. Dopiero Rozkaz Operacyjny nr 1/44 Komendanta Inspektoratu Radomskiego „Kostura” (mjr Zygmunt Żywocki) datowany 26 lipca 1944 r. zmienia zadania dla obwodu. Do tych zadań należy:

Zadania Pla*:

1. Niszczenie cofających się sił niem.
- 2) Niedopuszczenie do stabilizacji frontu wschodniego na terenie Pla.
- 3) Ochrona ludności polskiej przed ewakuacją i opieka podczas ewakuacji. Zwalczanie band rabunkowych, szczególnie ukraińców. (!).
- 4) Przygotowanie ujawnienia wobec bolszewików, oddziałów własnych wojsk i administracji na terenach zajętych przez nas.

Następnie „Kostur” omawia „Położenie własne” i „Położenie npla” a w akapicie „Myśl przewodnia” mówi:

Ułatwić wojskom ZSRR jak najszybsze opanowanie lewego brzegu Wisły oraz Radomia. Główny wysiłek niszczenia nieprzyjaciela na kierunkach: Kozienice-Radom, Puławy-Radom, Radom-Przysucha.

Do szczegółowych zadań obwodu należało: niedopuszczenie do zniszczenia mostów w Dęblinie i Puławach, linii kolejowej Radom-Dęblin oraz fabryki materiałów wybuchowych w Pionkach.

Wydarzenia biegły jednak szybciej niż rozkazy. Komendant Okręgu Radomsko-Kieleckiego „Ein” (płk Jan Zientarski) w „Rozkazie Szczególnym nr 2 do Rozk. op. Nr 1/44 i 2/44 (syg. Zo-Hur L.412/3074), datowanym 30 lipca 1944 r. ostrzega:

W związku ze zmieniającą się z dnia na dzień sytuacją oraz stałą dążnością doskonalenia naszego O. de B. należy być przygotowanym na rozkazy, które będą anulowały poprzednie, lub nawet stały z nimi w sprzeczności.

Zmiany te zależne od rozwoju wypadków, ustosunko-

* Pla – kryptonimem Inspektoratu w tym czasie była „Planeta”. Kryptonimem Inspektoratu Radom – „Jowisz”. Skrót Pla-Jo oznaczał Inspektorat Radom.

Uwagi:

1. W cytowanych tekstach dokumentów zachowano składnię oraz interpunkcję zgodnie z oryginałem.
2. NN – nazwisko nieznanne.
3. xxx – tekst nieczytelny.

wania się do nas ZSRR i przejścia z konspiracji do planowej akcji bojowej należy uważać za objaw normalny i nieunikniony. Wykonywać należy wszelkie czynności, które zostały wydane w czasie późniejszym, a więc oparte na najbardziej aktualnym stanie rzeczy, o ile nie towarzyszą im zarządzenia regulujące, jak postępować wobec rozkazów poprzednich. W celu usprawnienia prac przygotowawczych zapowiedzianych rozkazem op. 1/44 i 2/44, akcji oraz lepszego zrozumienia wydanych przezemnie (!) zarządzeń, wyjaśniam:

Następnie omawia zmodyfikowane zadania bojowe dla Okręgu zalecając: wejść w posiadanie większych miast i tam wystąpić jako A.K. wobec wojsko (wojsk) ZSRR.

Nie jest to jedyna wzmianka w rozkazie odnosząca się do stosunków między AK i wojskami sowieckimi. Większość rozkazu jest poświęcona zaleceniom, jak należy zachować się w stosunku do wojsk i władz sowieckich. W części rozkazu zatytułowanej „Sprawy konspiracji. Ujawnianie sztabów i oddziałów” „Ein” rozkazuje ...*podział sztabów i dowództw wszystkich szczebli na rzuty bojowy i konspiracyjny. Rzuty te mają pracować niezależnie od siebie tak, aby powrót do konspiracji był możliwy w każdej chwili.*

W dalszej części rozkazu nakazuje:

3. *Ujawniają się jedynie sztaby bojowe, a więc Dca Okręgu, Inspektorzy; Dcy Zgrupowań W.J., pułków itp. oraz odpowiadające im oddziały z wyjątkiem oddziału II Sztabów, który pozostaje w całości w konspiracji. Na ich miejsce dcy w swych sztabach przewidzą t.z. oficerów informacyjnych, którzy będą się ujawniać razem ze sztabami.*

W innych punktach rozkazu „Ein” zaleca wielką ostrożność w kontaktach z wojskami sowieckimi, a wywiad AK ma pilnie badać zamiary władz sowieckich w stosunku do AK. W zakończeniu rozkazu Komendant Okręgu przestrzega:

Rozkaz powyższy nie może się dostać w ręce ZSRR. Należy przechowywać go w specjalnie bezpiecznym miejscu, podając do wiadomości nie wyszczególnionym w rozdzielniku dowódcom, szefom i referentom bez prawa powielania. Po wykorzystaniu go – zniszczyć.

Ale i ten rozkaz nim dotarł do właściwych ogniw organizacyjnych stracił na aktualności, ponieważ 2 dni później wybuchło w Warszawie powstanie, które spowodowało ponowną modyfikację zadań dla obwodu.

Kończąc omawianie zadań dla obwodu na czas powstania powszechnego warto wspomnieć o pewnej ciekawostce związanej z zadaniami obwodu. Mieszkając po wojnie w Londynie, poznałem byłego oficera sztabu PSZ, który w czasie wojny pracował w dziale operacyjnym sztabu. Oficer ten dowiedziawszy się, że spędziłem wojnę w okolicach Radomia, wspomniał o planach użycia Brygady Spadochronowej do walk w Polsce, w ramach powstania powszechnego. Plan był następujący.

Inspektorat Radom miał opanować podradomskie lotnisko w Sadkowie, na którym miała lądować Brygada Spadochronowa wraz z ciężkim sprzętem. Następnie Brygada miała być przetransportowana koleją do Warszawy. Lotnisko Sadków miało być utrzymane przez AK i miało służyć jako baza zaopatrzeniowa w początkowej fazie powstania dla okręgów Kielce i Warszawa. Należy dodać, że w czasie wojny Niemcy lotnisko w Sadkowie rozbudowali i używali je także jako bazy dla bombowców.

Tak przedstawiały się plany dla obwodu przygotowane przez wyższe szczeble organizacyjne. Rzeczywistość narzuciła dla obwodu inne zadania, których nie przewidywały żadne plany.

W drugiej połowie czerwca na teren obwodu zaczęły napływać wojska niemieckie ze wschodu, cofające się przed napierającymi wojskami sowieckimi. W trzeciej dekadzie lipca odwrót wojsk niemieckich przemienił się na kilka dni w bezładną ucieczkę. Wielu żołnierzy niemieckich cofało się pojedynczo lub też małymi grupami po utracie kontaktu ze swymi oddziałami. W tym czasie pojawili się pierwsi niemieccy dezertery. Jednego z nich osobiście „przemieniałem” w cywila. Panowało ogólne przekonanie, że koniec Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej jest tuż, wystarczy ruszyć palcem, by ostatecznie runęła.

20 lipca 1944 r. „Marek” (ppor. Alfred Sobieski, szef referatu łączności Komendy Obwodu AK Kozienice) zarządził

stan alarmowy dla poczty na trasie Inspektorat – Komenda Obwodu. Zarządzenie to było sygnałem, że nastąpią zasadnicze zmiany w działalności obwodu. Panowało powszechne przekonanie, że wyzwolenie jest już blisko. Oddziały partyzanckie operujące na terenie obwodu wzmożyły swoją działalność nękając wycofujące się oddziały niemieckie.

Latem 1944 r. działały 3 oddziały partyzanckie na terenie obwodu liczące razem około 200 ludzi. Partyzanci usadowili się wzdłuż szos przechodzących przez obwód, rozbijając małe grupy niemieckich żołnierzy oraz atakując poszczególne samochody. W jednej z akcji zdobyto plany operacyjne dla środkowej części frontu wschodniego. W lipcu Niemcy stracili praktycznie panowanie na wiejskich terenach obwodu, trzymając jedynie silne posterunki w większych miejscowościach. W miarę upływu czasu odwrót wojsk niemieckich stawał się coraz bardziej chaotyczny, by w trzeciej dekadzie lipca zmienić się prawie w beładną ucieczkę.

Pod koniec lipca stany oddziałów partyzanckich zaczęły gwałtownie wzrastać. Między początkiem lipca a połową sierpnia stan oddziałów wzrósł z około 200 ludzi do blisko 500. Członkowie konspiracji dochodzili do wniosku, że chwila ostatecznej rozprawy z okupantem jest tuż. Każdy chciał przeżyć największą przygodę swojego życia. Jedynym czynnikiem, który hamował jeszcze większy rozwój oddziałów był brak uzbrojenia.

W trzeciej dekadzie lipca nikogo nie dziwił widok młodego człowieka w barwnej koszuli z płótna spadochronowego dźwigającego długą paczkę pod pachą. Polacy na widok takiego młodzieńca przechodzili na wszelki wypadek na drugą stronę ulicy. Niemcy zaś udawali, że nie wiedzą co paczki zawierają i kto je niesie. Niemcy w tym czasie mieli inne kłopoty na głowie.

Komenda Obwodu czyniła gorączkowe przygotowania do akcji „Deszcz”. Sztab obwodu został postawiony w stan pogotowia bojowego. Kwatera komendanta obwodu, „Brzozy” (mjr Józef Pawlak), mieściła się w leśniczówce położonej na skraju wsi Sucha. „Brzoza” „urzędował” tam od dawna. W lipcu i sierpniu przez leśniczówkę przewijało się po kilkadziesiąt osób dziennie. Zaprzesztao przestrzegac

nawet elementarnych zasad ostrożności. Tylko lojalna postawa mieszkańców wsi zapobiegła katastrofie jaką mogła spowodować karna ekspedycja okupanta.

Na początku sierpnia wojska sowieckie dotarły do Wisły na wysokości obwodu. Skorzystały z bezładnego odwrotu wojsk niemieckich i natychmiast asekurowały dwa przyczółki na południowym i północnym krańcu obwodu w okolicach Góry Puławskiej i Magnuszewa. W myśl poleceń komendanta obwodu miejscowy komendant podobwodu AK w rejonie Magnuszewa, „Helena” (kpt. Roman Siwek), zmobilizował część plutonów konspiracyjnych i włączył się do walki po stronie sowieckiej. Po zakończeniu walk dowódca sowiecki zaprosił „Helenę” na spotkanie, w czasie którego został on aresztowany. Żołnierze zaś zostali rozbrojeni i odesłani na tyły. „Helena” korzystając z nalotu niemieckiego na kwatery dywizji zdołał uciec. Oparł się dopiero w leśniczówce, gdzie – rozgoryczony – zameldował o zajściu „Brzozie”. Pamiętam doskonale przejętego „Helenę”, kiedy składał w ogrodzie leśniczówki raport o zajściu.

Wieści o przygodzie „Heleny” szybko rozeszły się między bracią partyzancką, ponieważ składał on swój raport w obecności kilkunastu osób. Wskazywało to na los jaki czeka członków AK. Nie powstrzymało to jednak gromadnego napływu ochotników do oddziałów partyzanckich. Nie bez wpływu na zaciąg były także wiadomości nadchodzące z walczącej Warszawy. Nikt nie chciał być gorszy od powstańców. Młodzież rwała się do walki. Entuzjazm do rozprawy z wrogiem, na którą czekano od początku okupacji, należało ująć w karby, aby zapobiec masakrze.

Wspomniałem powyżej, że Komendant Okręgu nakazywał ostrożność w kontaktach z wojskami sowieckimi. Wielu przypuszczało, że nakazy ostrożności są przesadzone. Dopiero bezpośrednie doświadczenia pierwszego kontaktu z wojskami sowieckimi potwierdziły najgorsze obawy Komendanta Okręgu. To też o tym zdarzeniu powiadomił nawet sztab w Londynie (patrz „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej” tom III, Armia Krajowa).

KONCENTRACJA

Tak powszechnie nazywana była ówczesnie znana akcja, na terenie Okręgu Radomsko-Kieleckiego, którą później w literaturze nazwano „Burzą”.

Na wieść o wybuchu powstania w Warszawie miejscowe oddziały partyzanckie zażądały od Komendanta Obwodu natychmiastowego marszu na pomoc powstańcom. Dowódca jednego z oddziałów, „Maria” (Ignacy Pisarski) obmyślił nawet oryginalny sposób transportu oddziału do Warszawy. Oddział miał być załadowany, z pomocą polskich kolejarzy, do zaplombowanych wagonów towarowych i jako materiał specjalnego znaczenia przetransportowany do Warszawy, gdzie z kolei polscy kolejarze mieli przetoczyć wagony na miejsce z łatwym dostępem do powstańców. „Brzoza” stanowczo sprzeciwił się temu planowi i kategorycznie zabronił czynienia jakichkolwiek kroków w tym kierunku. Jako powód podał zbyt wielkie ryzyko, oraz brak instrukcji z inspektoratu co do użycia miejscowych oddziałów.

Rozkaz wymarszu na koncentrację otrzymał „Brzoza” 16 sierpnia o godz. 22.30 (według raportu „Brzozy” dane o koncentracji 1944 r. syg. Kam., datowanego 29/11/1944 r. i sporządzonego na polecenie Komendy Okręgu). Koncentracja początkowo została zarządzona w ramach akcji „Zemsta”, której ostatecznym celem była odsiecz powstańczej Warszawie. W myśl rozkazu oddziały obwodu miały zameldować się w dniu 18 sierpnia w rejonie Nowego Miasta nad Pilicą. Nazajutrz po otrzymaniu rozkazu „Brzoza” wysłał patrol celem rozpoznania ewentualnej trasy dojścia, która miała obejść Radom od północy. Patrol jednak doniósł, że obszar ten jest obsadzony silnymi jednostkami wojsk niemieckich strzegącymi przyczółka magnuszewskiego. Natomiast trasa na południe od Radomia wyglądała na stosunkowo bezpieczną. Nim jednak rozpoznano drogi domarszu, zawiadomiono oddziały, z których tylko dwa były na pozycjach gotowych do marszu, minął 18 sierpnia, dzień w którym oddziały obwodu miały zameldować się w rejonie koncentracji. Poza tym, według obliczeń „Brzozy”, na domarsz do

Nowego Miasta potrzebne były, w istniejących warunkach, 4 doby. „Brzoza” zdecydował wstrzymać wymarsz i 19 sierpnia zameldował się osobiście w inspektoracie, przedstawiając trudności związane z wykonywaniem rozkazu. „Wujek” (inny pseudonim mjr. Z. Żywockiego, komendanta Inspektoratu Radom) wydał „Brzozie” nowy rozkaz natychmiastowego marszu do lasów w rejonie Przysuchy. Jedyne oddział „Huragana” (Kazimierz Aleksandrowicz) znajdował się na dogodnej pozycji wyjściowej, aby natychmiast wykonać rozkaz. Oddziały „Marii” (Ignacy Pisarski) i „Longina” (Jerzy Dąbkowski) miały wyruszyć 20 sierpnia. Jednocześnie „Brzoza” rozkazał, aby oddział „Tomasza” (Józef Abramczyk) stawiał się natychmiast w okolicach Suchej gotowy do marszu na koncentrację. Po powrocie z odprawy w inspektoracie „Brzoza” stwierdził, że jedynie oddział „Huragana” wykonał rozkaz. Inne oddziały przebywały na swoich dotychczasowych terenach działania. Na opóźnienie wymarszu złożyło się szereg przyczyn.

Część oddziału „Marii” odmaszerowała do strefy przyfrontowej, aby wydobyć broń z jednego z magazynów broni zrzutowej. Wydobycie broni okazało się niezbędne ze względu na duży napływ ochotników, dla których brak było broni. Oddział „Tomasza” uwikłany był w ewakuację rodzin żołnierzy. Niemcy w tym czasie zarządziли wysiedlenie ludności z terenów przyległych do Wisły. Z tego terenu pochodziło wielu żołnierzy oddziału „Tomasza”. „Brzoza” zdecydował jednak, że dłużej nie można zwlekać z wymarszem i zarządził go na wieczór 22 sierpnia z rejonu wsi Sucha, gdzie kwaterowały oddziały „Marii” i „Longina”.

Wspomniałem powyżej, że część oddziału „Marii” po-maszerowała po broń. Okazało się, że wyprawa była znacznie trudniejsza niż przewidywano, ponieważ broń trzeba było wydobyć z magazynu w bezpośredniej bliskości kwaterujących tam wojsk niemieckich. Żołnierze wrócili z wyprawy 22 sierpnia, po 30 godz. ciągłego marszu, obładowani nie tylko bronią własną ale także bronią wydobytą z magazynu. Mimo zmęczenia żołnierzy „Brzoza” zdecydował, że dłużej z wymarszem nie może zwlekać. W dniu 22 sierpnia oddziały przesunięto w okolice wsi Lipiny, skąd miał nastąpić wymarsz.

W międzyczasie uzupełniano broń, amunicję, żywność oraz zapoznawano się z nowym sprzętem i bronią. Należy pamiętać, że więcej niż połowa żołnierzy to ludzie świeżo przybyli z konspiracji. Poza tym piaty były nowością nawet dla najbardziej doświadczonych partyzantów. Zostałem mianowany dowódcą drużyny piata, 3 ludzi, i dostaliśmy 3 godziny na opanowanie tej nieznannej broni. Oczywiście odpalenie nawet jednego pocisku nie wchodziło w rachubę. Na całą wojnę nasza drużyna miała 12 pocisków. Skutki działania broni znaleźmy jedynie z opowieści szkolącego nas partyzanta, który raz, przypadkiem, wypalił z piata i trafił w sosnę, która się rozleciała. No, ale sosna to nie czołg – zauważył sceptycznie któryś z przeszkalananych partyzantów. Szkolący stwierdził, że sosna była gruba. Czołg też rozpieprzy – zapewniał. Musieliśmy uwierzyć mu na słowo. Z tą wiarą, pod dowództwem „Brzozy”, pomaszzerowaliśmy na koncentrację.

Oddział „Tomasza” miał dołączyć w późniejszym terminie po uporaniu się z ewakuacją ludności. Wymarsz nastąpił 25 sierpnia pod dowództwem „Graga” (Władysław Molenda).

Ogółem, obwód wysłał na koncentrację 438 żołnierzy oraz pluton taborowy liczący 60 Gruzinów. Opiekę lekarską sprawowało dwóch lekarzy: „Twardy” (Julian Aleksandrowicz) oraz Witold Sadownik. Poza tym w oddziale była także 1 sanitariuszka.

Jeżeli uzbrojenie można uznać za znośne, to sytuacja odzieżowa była mniej niż zadowalająca. Znaczna większość partyzantów posiadała ubrania cywilne, które nie nadawały się do warunków partyzanckich. Zgodnie z ówczesną modą, wielu modnisiów z konspiracji zjawiało się w butach zwanych oficerkami, bryczesach i długich, dwurzędowych marynarkach. Partyzantcy dandysi gorzko żałowali swego wyboru. Po pierwszej nocy wielu z nich nie było zdolnymi do dalszego marszu z powodu odparzeń. Sprawiali tylko kłopot. Obsiadali tłumnie wozy taborowe, które konie z trudem ciągnęły po polnych drogach. Wielu partyzantów nosiło koszule z jaskrawego płótna spadochronowego. Szczyt marzeń każdego partyzanta, ale także wspaniały cel dla wroga. Tylko niewielu

żołnierzy posiadało płaszcze. Większość żołnierzy była przekonana, że rozprawa z wrogiem będzie krótka, a w międzyczasie pogoda będzie sprzyjała.

Amunicja także nastroczała mnóstwo kłopotów. Wiadomo, że w warunkach partyzanckich nie zawsze można liczyć na tabory. Toteż każdy żołnierz starał się mieć ze sobą jak najwięcej amunicji. Ponieważ ładownic i magazynków było zawsze brak, amunicję ładowano luzem po kieszeniach. skutek był taki, że po kilku godzinach marszu ciała miejscami otarte było do krwi. Ale te wszystkie kłopoty to sprawa dopiero przyszłości. Na razie nastroje były wybitnie optymistyczne i pełne bojowego zapału. Toteż gdy późnym popołudniem do Lipin zajęchały dwie niemieckie ciężarówki z kilkoma niemieckimi żołnierzami w poszukiwaniu jaj i kur, bardziej krewcy, a mniej doświadczeni partyzanci, postanowili natychmiast rozprawić się z nieprzyjacielem i odnieść pierwsze zwycięstwo. Dopiero surowy zakaz „Brzozy”, który nie chciał zdradzić miejsca pobytu oddziału, ostudził nieco zapały.

W drodze na koncentrację oddział stoczył kilkugodzinną potyczkę z nieprzyjacielem w dniu 27 sierpnia w okolicach wsi Ciehostowice. W wyniku potyczki oddział stracił 3 żołnierzy, 9 zostało rannych a 64 zaginęło, z których prawie wszyscy wrócili na teren obwodu. Straty nieprzyjaciela nieznanne. Po stronie nieprzyjaciela walczyli nie tylko Niemcy ale także własowcy, używając artylerii, samochodów pancernych a nawet czołgów. Należy dziwić się, że straty własne były tak stosunkowo małe.

Oddział przemaszerował w rejon koncentracji 2 września w okolicach Końskich. W kilka dni po tym „Brzoza” został przeniesiony do konspiracji a dowództwo nad oddziałem objął „Grab”, który w międzyczasie nadciągnął w rejon koncentracji. Oddział przemianowano na I bat. 72 pp. i jako taki przetrwał do rozwiązania AK.

Jesienią 1944 r. Komenda Okręgu poleciła poszczególnym dowódcom sporządzenie sprawozdania z przebiegu koncentracji. W dokumentach zachowało się sprawozdanie „Brzozy” sporządzone w listopadzie 1944 r. Jednym z punktów sprawozdania z koncentracji była ocena nastrojów wśród

żołnierzy. Oto co „Brzoza” pisze na ten temat w raporcie: *Morale wojska słabe. Powodem tył [był] brak wiary w dojdzie do Warszawy, co było początkowym celem koncentracji.*

W dalszej części raportu, „Brzoza” ostro krytykuje brak należytej łączności między oddziałami i komórkami organizacyjnymi a potyczkę pod Ciechostowicami oraz jej wyniki przypisuje właśnie brakowi łączności.

Rzeczywiście, niezwykle ambitne plany dotyczące łączności bojowej podane w ROZKAZIE org. łączności do rozkazu op. Nr. 1 i 2/44 (syg. Zo-Hur, L xxx/3174) nie mogły być wprowadzone w życie. Wymagały one zgrania 19 radiostacji na terenie okręgu, co w ówczesnych warunkach było niezmiernie trudne. Założenia były zbyt ambitne jak na stosunki konspiracyjne, a poza tym odzwierciedlały potrzeby powstania powszechnego a nie zaistniałej sytuacji. W rezultacie, nasz oddział w marszu na koncentrację, musiał porozumiewać się z Komendą Okręgu przez... Londyn.

Wydaje mi się, że ocena moralna żołnierzy jest wysoce krzywdząca. Oczywiście, że żołnierze byli zawiedzeni. Jednak na tak krytyczną ocenę ich ducha w żadnym razie nie zasługiwali. Wydaje się, że „Brzoza” pisząc swój raport zapewne jeszcze głęboko przeżywał fakt pozbawienia go dowództwa oddziału.

W roku 1967 „Brzoza” opublikował swoje okupacyjne wspomnienia („Pięć lat w szeregach Armii Podziemnej”, Pax). Jego ocena sytuacji i żołnierzy w tych wspomnieniach jest zupełnie inna.

Od początku września oddział dzielił losy innych oddziałów na koncentracji. Działania tych oddziałów są szczegółowo opisane w monografii Borzobohatego „Jodła”.

KONSPIRACJA

„Brzoza” odchodząc na koncentrację przekazał funkcję Komendanta Obwodu swojemu zastępcy „Lucjanowi” (kpt. Władysław Komorek). „Lucjan” nie miał łatwego zadania. Najbardziej aktywni członkowie konspiracji pomaszzerowali

na koncentrację. Szereg referatów Komendy Obwodu zostało pozbawionych kierowników. Wschodnia część obwodu została praktycznie wyłączona z działalności, ponieważ była linią frontu, czy też bezpośredniego zaplecza frontowego. Coraz więcej niemieckiego wojska przybywało na teren obwodu, aby obsadzić linię frontu. Szczególnie, że na terenie obwodu znajdowały się 2 przyczółki sowieckie.

W ciągu września „Lucjan” skompletował nowy sztab Komendy Obwodu. W skład sztabu K.O. weszli: „Doktor” (Jan Tabeau), zastępca „Lucjana” oraz „Last”, odpowiedzialny za bezpieczeństwo na terenie obwodu. Poza tym w skład sztabu weszli „Bolesław” (Leszek Olszyński), zastępując spalonego szefa referatu wywiadu „Zośkę” (Czerski). Na szefa referatu organizacyjnego „Lucjan” mianował „Szarego” (Kazimierz Styś). Referatem łączności kierował w dalszym ciągu „Marek”. Referat prasy i propagandy prowadził „Roch” (W. Sękulski), który wydawał tygodnik *Reduta*. Referatem WSK kierowała początkowo „Wiara” (Marta Gołuszko) a następnie „Nadzieja” (NN). Rozbudował referat wywiadu i łączności. Wywiad miał zbierać dane o wojskach niemieckich a sprawna łączność przekazywać informacje do wyższych szczebli organizacyjnych. Ponieważ mieliśmy do czynienia z sojusznikami naszych sojuszników informacje o wojskach niemieckich na terenie obwodu szły przez Londyn, aby dotrzeć do wojsk sowieckich znajdujących się o kilka kilometrów. A informacji tych było mnóstwo i to bardzo dokładnych. Wywiad donosił o każdym niemieckim punkcie obronnym, tym prawdziwym i pozorowanym, które Niemcy stosowali bardzo powszechnie.

Wywiad był najbardziej rozbudowanym referatem Komendy Obwodu. Zachowany dokument podaje skład osobowy referatu, w którym jest wymienionych 17 osób. W tym czasie szefem referatu był „Bolesław” (Leszek Olszyński), który objął tę funkcję pod koniec października 1944 r. Wywiad zatrudniał także wiele dziewcząt do zbierania informacji i ewaluacji meldunków.

Agenci wywiadu rozlokowani byli w wielu miejscowościach obwodu, gdzie zbierali informacje o lokacji i ruchu wojsk niemieckich oraz dostawie sprzętu wojskowego

i zaopatrzenia. Meldunki terenowe były przesyłane do Ref. Wyw. gdzie były segregowane i ewaluowane. Następnie meldunki były przesyłane specjalną siatką łączności do inspektoratu. Prócz meldunków wywiad sporządzał także szkice sytuacyjne na które nanoszono stanowiska niemieckiej artylerii, gniazd karabinów maszynowych, okopane czołgi i inne punkty obronne i umocnienia. Na szkicach zaznaczano także lokacje różnego rodzaju stanowisk pozorowanych, które Niemcy w tym czasie powszechnie stosowali.

Zachowało się 8 meldunków sytuacyjnych za okres 30.10 do 14.01.45 r. Meldunki podają ruchy wojsk niemieckich, ich skład, lokację, działalność lotnictwa, przeważnie sowieckiego, oraz opisują sytuacje na terenie obwodu. Meldunki donoszą o ustawicznych łapankach i wysiedleniach. Łapanki miały na celu dostarczanie bezpłatnej siły roboczej do budowy umocnień, zaś wysiedlenia oczyszczały teren frontu z potencjalnych wrogów.

Wkrótce potem okazało się, że Komenda Obwodu musi także zapewnić ochronę ludności przed bandytami, którzy pojawili się z chwilą odejścia oddziałów na koncentrację. „Lucjan” utworzył kilkunastoosobowy oddział żandarmerii, którego zadaniem było utrzymanie porządku na terenie obwodu. Komendantem żandarmerii został „Last” (NN).

Batalion powrócił z koncentracji na teren obwodu w dniu 6 października. Wyłoniły się problemy wymagające natychmiastowego rozwiązania. Należało zapewnić opiekę lekarską dla chorych żołnierzy, co w ówczesnych warunkach nie było rzeczą łatwą, ponieważ szpitale były zajęte na potrzeby armii niemieckiej. Ludność cywilna została wyrzucona ze szpitali. Jednak dzięki ofiarności polskich lekarzy oraz personelu sanitarnego przeszkolonego przez WSK zapewniono potrzebującym należyłą opiekę.

Wojskowa Służba Kobiet (WSK) zasługuje na obszerniejsze omówienie. Mimo, iż zasadniczo spełniała rolę pomocniczą, to jak wydarzenia wykazały, ta pomoc była niezwykle istotna.

W zbiorze dokumentów zachowało się sprawozdanie z działalności WSK za miesiąc listopad. W tym czasie w WSK były zorganizowane 122 kobiety. Służba sanitarna liczyła 46

sanitariuszek, łącznikami było 15 dziewcząt, biura zatrudniały 30 kobiet. Pozostałe były przydzielone do innych funkcji łącznie z sekcją obrony przeciwlotniczej. Była taka. Stosunkowo duża liczba kobiet zatrudnionych w biurach może nasuwać podejrzenia o rozbudowanej biurokracji. W rzeczywistości pod tą niewinną funkcją kryły się kobiety zatrudnione w wywiadzie. Zbierały informacje o ruchach i lokalizacji wojsk niemieckich oraz ewaluowały nadesłane meldunki. Pracami tymi kierowała „Wiara” (Marta Gałuszko). Zespół ten składał się prawie wyłącznie z uczennic tajnych kompletów gimnazjalnych.

Inną niezmiernie ważną funkcją wykonywaną przez członkinie WSK była łączność. Jesienią 1944 r. siedzibą Inspektoratu była podradomska miejscowość Makowiec. W październiku Niemcy wprowadzili takie restrykcje poruszania się dla Polaków, że inspektorat miał trudności w dostarczaniu poczty na skrzynkę do Radomia skąd ją normalnie pobieraliśmy. Zaszła potrzeba zorganizowania bezpośredniego połączenia między obwodem a siedzibą inspektoratu. Wyprawy między Pionkami i Makowcem nie należały do bezpiecznych. Na tej trasie rozlokowanych było wiele oddziałów wojsk niemieckich wśród których było wielu tzw. Kałmuków, postrach wszystkich kobiet. Wyprawy do Makowca wymagały niesamowitej odwagi i sprytu. Mimo niebezpieczeństwa, łączniczki nigdy nie odmówiły przewiezienia poczty. Jak sobie radziły pokonując zasieki, zapory czołgowe i radząc sobie z kałmuckimi patrolami pozostanie to ich tajemnicą. Ich obowiązkowość i odwaga zasługuje na najwyższe uznanie. Wspaniałe dziewczęta!

Tę trasę obsługiwały następujące łączniczki:

„Rodek” (NN);

„Barbara” (NN);

„Aleksandra” (Janina Majewska);

„Wierna” (Stanisława Styś).

Poważnym problemem, także wymagającym rozwiązania, była sprawa zapewnienia odpowiednich kwater, wyżywienia oraz odzieży dla uczestników koncentracji. Żołnierze wrócili wyczerpani fizycznie, schorowani i obdarci. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że połowa obwodu była bezpośrednim zapleczem

frontowym nasyconym wojskiem niemieckim, to zadanie to nie było łatwe. Żołnierze oczekiwali, zupełnie słusznie, że po powrocie braki zostaną uzupełnione a oni zażyją zasłużonego odpoczynku. Niestety, sytuacja na terenie obwodu niezmiernie utrudniała spełnienie tych słusznych żądań. Tereny frontowe, które należały do najbardziej żyznych, zostały zajęte przez wojska frontowe a ludność wysiedlona. W reszcie obwodu grasowali niemieccy żołnierze, którzy uzupełniali swoje coraz mizerniejsze wyżywienie rabunkami. Obwód przyjął także sporą grupę ludności cywilnej z Warszawy, która została wygnana w rezultacie powstania. Mimo tych trudności część żołnierzy zakwaterowano za zapłatą lub też umieszczono w ziemiankach, zaś resztę urlopowano.

Początkowo stosunki między ludnością a żołnierzami układały się poprawnie. Jednak po pewnym czasie do KO zaczęły napływać skargi na żołnierzy od okolicznej ludności. Gospodarze skarżyli się, że żołnierze bezprawnie rekwirują żywność, odzież, a czasami trudnią się zwykłymi rabunkami. Sytuację komplikował fakt, że na konto żołnierzy szły także rzeczywiste napady bandyckie. W istniejących warunkach było niezmiernie trudno ustalić fakty. Żołnierze kwaterowali w małych grupach co utrudniało kontrolę. Zarówno „Lucjan” jak i „Garb”, dowódca batalionu, postanowili ukrócić samowolę żołnierzy a przy okazji zlikwidować szerzący się bandytyzm, którego wyczyny rzutowały nieprzychylnie na AK. Poza tym ludność oczekiwała od AK ochrony przed bandytami. Wzmocniono więc patrol żandarmerii obwodowej żołnierzami z batalionu. Posunięcie takie było celowe. Chodziło o złagodzenie ewentualnych antagonizmów między żandarmerią a partyzantami. Żołnierze byli pilnowani przez swoich kolegów. Do obowiązków „Lasta” doszły patrole terenów na których kwaterowali żołnierze.

Należało także rozwiązać sprawę kar za popełnione przestępstwa, które w praktyce sprowadzały się do dwóch rodzajów kar dla przestępców: chłosty albo śmierci. Pierwszą karę stosowano do przestępców młodych schwytanych pierwszy raz. W stosunku do recydywistów oraz hersztów band stosowano karę śmierci w myśl rozkazu z inspektoratu. Zachował się jeden z meldunków „Lasta” z działalności

żandarmerii za okres 15-31 grudnia 1944 r. W tym okresie żandarmeria przeprowadziła 5 akcji, w wyniku których zlikwidowano bimbrownię, melinę złodziejską, 6 złodziei skazano na karę chłosty, jednego bandytę na karę śmierci oraz wykryto sprawców napadu na młynarza.

Do zadań żandarmerii należała także likwidacja konfidentów niemieckich, których wskazywał kontrwywiad.

W ciągu listopada i grudnia stan oddziałów bojowych, ze względów wspomnianych uprzednio, ulegał systematycznemu zmniejszaniu. W grudniu, jako zwarty oddział, pozostała jedynie kompania „Tomasza”, licząca w tym czasie około 30 żołnierzy. Żołnierze ci pochodzili ze strefy frontowej i po prostu nie mieli dokąd wrócić. Oddział ten kwaterował w ziemiankach.

Jesienią 1944 r. zaopatrzenie żołnierzy było regulowane szczegółowym rozkazem kwatermistrzowskim Nr 5 L. 1017/31124 podpisanym przez Komendanta Okręgu. Część „B” rozkazu ustalała należności pieniężne dla żołnierzy liniowych. Do tej kategorii zaliczano:

- a) wszystkich żołnierzy oddziałów zwartych,
- b) urlopowanych uczestników letniej koncentracji,
- c) oddziały dywersyjne na szczeblu obwodu i inspektoratu.

Żołnierze otrzymywali dziennie:

wyżywienie	40 zł
żołd	10 zł
odzież	4 zł

Ponadto w ciągu IV kwartału żołnierze otrzymali jednorazowy zasiłek w wysokości 5000 zł na umundurowanie. Dla żołnierzy obarczonych rodzinami przysługiwał także jednorazowy zasiłek w wysokości 1500 zł.

Komenda Obwodu roztaczała także opiekę nad rodzinami poległych żołnierzy, rozstrzelanych i aresztowanych. Wspomagano także poszczególnych wysiedleńców z Warszawy, którzy znaleźli się w szczególnie ciężkiej sytuacji.

Jesienią 44 r. korzystało z zasiłków 30 rodzin żołnierzy oddziału „Graba”. Zasiłki otrzymywało także 14 rodzin rozstrzelanych członków konspiracji, lub też przebywających w obozach koncentracyjnych. Wysokość zasiłków wahała się

między 500 a 850 zł miesięcznie. Uchodźcy z Warszawy otrzymywali 500 zł miesięcznie. Sumy na ówczesne warunki skromne. Tym niemniej zasiłki te pomagały przeżyć. Pomoc ta miała także niezmiernie ważne znaczenie dla podtrzymania ducha.

Nie łatwiejsze były zadania Komendanta Obwodu na odcinku cywilnym. Wysiedlenia, napływ uchodźców, nasyce- nie terenu wojskami niemieckimi, niezmiernie trudne warunki bytowe ludności, rzutowały na nastroje, które łatwo prze- radzały się, pod wpływem emocji, w skrajnie pesymistyczne. W połowie listopada okręgowy referat BIP polecił opracować komendom obwodu sprawozdanie dotyczące oceny sytuacji politycznej w poszczególnych obwodach. W okólniku z dnia 17 listopada wyszczególnionych jest 7 punktów, na które należało zwrócić szczególną uwagę w sprawozdaniach, a mia- nowicie:

- a) działalność polityczna „wielkiej czwórki” (chodzi tu o stronnictwa konspiracyjne),
- b) ich wzajemny stosunek,
- c) stosunek do AK,
- d) działalność polityczna i propagandowa niezależnego NSZ,
- e) działalność wojskowa niezależnego NSZ,
- f) działalność PPR i innych ugrupowań,
- g) stosunek społeczeństwa niezorganizowanego do partii politycznych,
- h) organizacji wojskowych.

Sprawozdanie to opracował kierownik ref. wyw. „Bole- sław” a „Lucjan” przesłał je w dniu 24 listopada 1944 r. do inspektoratu. Dokument jest bardzo obszerny, liczy ponad 3 strony maszynopisu.

Według sprawozdania najliczniejszą partią polityczną na terenie obwodu jest Stronnictwo Ludowe (SL) i obejmuje oko- ło 65% zorganizowanych osób. PPS liczy około 15%, zaś NSZ i PPR po 10%. Najaktywniejszą partią jest PPS, która „bardzo ostro rywalizuje o wpływy z SL”. Wzajemny stosunek obu stronnictw, nieprzyjazny a nawet wrogie. SN i PPR nie przeja- wiają zbytnej aktywności, aczkolwiek ostatnia organizacja „ko- kietuje SL i obchodzi się z jego członkami bardzo delikatnie”.

Działalność PPS jest omówiona najobszerniej i zarazem najbardziej krytycznie. Autor zarzuca PPS wkraczanie w kompetencje AK – nakładanie kontrybucji, przejmowanie opieki społecznej, kradzież broni na cele partyjne. „Bolesław” także zarzuca PPS fałszywe przedstawianie sytuacji na terenie obwodu przez swoje partyjne dojścia bezpośrednio do Okręgu.

Istotnie egzekutywa partyjna na terenie Pionek powzięła szereg uchwał, które jako zarzuty są wymieniane w sprawozdaniu. Sprawozdanie jednak nie wspomina, że na tym samym posiedzeniu Rady Wykonawczej PPS powzięto także inną uchwałę stwierdzającą:

„Sprawa wojska jest sprawą K.O. Natomiast sprawę administracji miejscowej na terenie Pionek i okolicy oraz sprawę samopomocy bierzemy z całą odpowiedzialnością i wyłącznie na swoje barki. Środki potrzebne na ten cel będziemy czerpać z dobrowolnych składek i kontrybucji. (Czynności te zastrzegamy wyłącznie Radzie Wykonawczej)”.

Jednocześnie uchwała stwierdza: „Jako członków P.Z.P. obowiązuje nas i nadal ścisła współpraca z miejscowym K.O.”.

SN ma swój główny ośrodek w Kozienicach oraz mniejsze skupiska w Janowcu i Grabowie nad Pilicą. Członkowie rekrutują się z ziemiaństwa i „większej części lekarzy”. W listopadzie 1944 r. „Lucjan” doprowadził do scalenia plutonów konspiracyjnych SN z AK. Organizacja liczyła około 400 członków, z których koło 150 było w tym czasie osiągalnych.

Skupiska PPR istnieją na terenie Zwolenia, Garbatki, Janowca i Pionek. Przywódcą PPR jest Wiktor Mlastek zamieszkały na terenie Garbatki. W sierpniu 1944 r. PPR zaczęła bardzo ożywioną akcję werbunkową. W odniesieniu zaś do AL stwierdza: „Oddziałów AL na naszym terenie nie ma”.

W dalszej części „Bolesław” omawia stosunek społeczeństwa do Rządu i określa go jako „pozytywny”. Jednak kwalifikuje to następującym sformułowaniem: „...ogólnie jednak w rozmowach daje się zauważyć duży pesymizm w odniesieniu do spraw polskich”.

Sprawozdanie także stwierdza, że terror niemiecki maleje

a łapanki nie mają charakteru politycznego. Ostatnie aresztowania o charakterze politycznym miały miejsce 11 listopada 1944 r., w których aresztowano kilku członków konspiracji spośród kilkudziesięciu aresztowanych osób. Nie znaczy to, że życie było łatwiejsze. Niemieckie władze wojskowe wprowadziły bezwzględny nakaz pracy dla wszystkich mężczyzn. W ciągu dnia mężczyźni nie mogli pokazać się na ulicy bez przepustki, ważnej tylko 1 dzień, stwierdzającej, że są w sprawach związanych z pracą. W ciągu kilku dni komórka legislacyjna zdobyła odpowiednie formularze i pieczęcie, i kilku członków sztabu komendy dostawało codziennie stosowne przepustki.

Warto wspomnieć o ówczesnych realiach, kiedy to los ludzi zależał od garści mąki. Wywiad zdobył gipsowy odlew pieczęci używanej do stemplowania przepustek. Okazało się, że gipsowy odlew nie nadaje się do stemplowania przepustek. Fałszerstwo było zbyt oczywiste. O sporządzeniu gumowej pieczęci w ówczesnych warunkach nie można było nawet marzyć. Ktoś wpadł na pomysł aby użyć ciasta. Rzeczywiście pozytyw zrobiony z ciasta produkował kilka zupełnie znośnych pieczęci. Następnie proces należało powtórzyć. Problem jednak był w tym, że ciasto musiało być zrobione z dobrej pszennej mąki. A zdobycie garści pszennej mąki nie było rzeczą łatwą. Takie były ówczesne realia.

Na początku grudnia Komendant Okręgu polecił obwodom zorganizowanie „gwiazdki” dla żołnierzy, którym przyjdzie spędzić Święta Bożego Narodzenia poza domem. Organizacją „gwiazdki” zajęło się WSK. Każdy żołnierz miał otrzymać świąteczną paczkę oraz list od „matki chrzestnej”. Zachował się dokument z listą „matek chrzestnych”. Paczki i listy miały dostarczać delegatki WSK na miejsce zakwaterowania i osobiście wręczać żołnierzom. Na terenie obwodu zidentyfikowano 43 żołnierzy, którzy będą musieli spędzić Święta Bożego Narodzenia z dala od rodzin. Trzydziestu z kompanii „Tomasza” oraz 13 żandarmów. Pierwszą partię paczek delegatki WSK dostarczyły w dzień Wigilii, która w tym roku przypadała w niedzielę. Paczki dostarczyły „Sława” (NN), „Sygryd” (Janina Majewska), i „Wierna” (Stanisława Styś) do ziemianek, w których kwaterowali

żołnierze. Na uroczystość tę „Tomasz” zaprosił także „Graba” oraz dwóch przestawicieli SL, „Jesiona” (Bronisław Nować) i „Pługa” (NN). Przyjemną i serdeczną atmosferę wieczoru wigilijnego zakłóciła mowa „Tomasza”, w której niezwykle ostro zaatakował inne stronnictwa polityczne i stwierdził, że jedyna siła, która walczy z okupantem to BCh i SL, a walczą one o Polskę chłopów.

Przemówienie „Tomasza” nie tylko zaskoczyło wielu obecnych ale także skwaśniło im humory. Większość obecnych tam żołnierzy sądziło, że przez ostatnie kilka lat walczyli o Polskę – niekoniecznie z takim czy innym przymiotnikiem. Szczególnie zaambarasowany był „Grab”, który znajdował się tam w podwójnym charakterze: jako członek SL, ale w pierwszym rządzie jako dowódca jednostki wojsk polskich.

Powyższy opis wieczoru wigilijnego oparty jest na sprawozdaniu delegatek WSK przekazanym bezpośrednio po owym zdarzeniu. Opis gwiazdki podany przez Abramczyka („Tomasz”) w „Partyzanci z Kozienickiej Puszczy”, (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1971), należy „między bajki włożyć”. Ówczesna rzeczywistość była zupełnie inna niż to sugeruje Abramczyk w swoich wspomnieniach.

Następną partię paczek na kwatery żandarmerii we wsi Słupica dostarczyły w dniu 31 grudnia „Monika” (Wiesława Szostkiewicz), „Sygryd” i „Wierna”, którym towarzyszył „Szary”.

Akcja gwiazdkowa odbiła się szerokim echem nie tylko wśród obdarowanych żołnierzy, ale także pośród żołnierzy urlopowanych, jak i członków konspiracji. Wielu z nich zdawało sobie sprawę, ile zachodu wymagało zorganizowanie takiej akcji w ówczesnych warunkach. Fakt, że „góra” pamięta o żołnierzach indywidualnie a nie tylko jako o „szarej masie” miał niesłychanie dodatnie znaczenie dla morale żołnierzy. Komendantowi Okręgu, który inspirował tę akcję, należy się szczególne uznanie.

WSK przeprowadziło całą akcję tak wzorowo, że „Lucjan” złożył specjalne podziękowanie dla WSK, a w szczególności „...obywatelkom ‘Sławie’, ‘Sygryd’ i ‘Wiernej’, których praca i trud poniesiony przy organizowaniu ‘gwiazdki’ może służyć innym za przykład”.

Okres świąteczny nie przyniósł wytchnienia od terroru. Meldunki wywiadu z pierwszych dni stycznia donoszą o łapanekach w Zwoleniu i Pionkach, w których ujęto kilkaset osób. Łapanki te miały wyraźny charakter oczyszczania terenu działań wojennych z potencjalnie wrogiego elementu. W tym czasie Niemcy zaczęli wywozić resztki urządzeń przemysłowych, których nie wywieziono poprzednio. Niszczono lub wywożono także bocznice kolejowe. Zaczęto także przesuwac na zachód niektóre magazyny wojskowe. Nie ulegało wątpliwości, że Niemcy liczą się lada dzień z ofensywą sowiecką.

Niedziela 14 stycznia minęła stosunkowo spokojnie. Wydawało się, że cała strefa frontowa zamarła. Ustały nawet łapanki, które w ciągu pierwszej połowy stycznia miały miejsce niemal codziennie. Jedynie sporadyczne wybuchy pocisków artyleryjskich świadczyły, że spokój jest tylko pozorny. Około godziny 20.00 rozszalała się gwałtowna nawała artyleryjska. Wybuchy odbijały się głuchym echem od nisko wiszących, ciężkich chmur. Gwałtowna kanonada zapowiadała nadejście nawałnicy, o której mocy niszczycielskiej mieliśmy dopiero później się przekonać. Wczesnym rankiem 15 stycznia przez Zwoleń, Suchą i Pionki wycofały się w porządku, bez paniki, niemieckie wojska, niszcząc systematycznie wszystkie pozostałe urządzenia kolejowe i drogowe. Nie udało się Niemcom natomiast zniszczyć elektrowni w Pionkach. Gdy zjawił się tam niemiecki patrol saperski, zastał już nowych gospodarzy – patrol WSOP-u. Niemcy wycofali się z elektrowni bez najmniejszych pretensji. Około godziny 16.00 wjechał do Pionek, samotnie, pierwszy sowiecki żołnierz na chłopskiej furce. Przechodzący patrol niemiecki zastrzelił go a przerażone konie poniosły zrzucając ciało żołnierza z wozu na drogę. Następnego dnia okoliczni mieszkańcy pochowali miazgę pozostałą po żołnierzu, stratowanym – nie kopytami koni kolegów jak to dawniej bywało – lecz gąsienicami czołgów. Taki był los wyzwoliciela Pionek.



Powyższy tekst jest oparty na znacznie obszerniejszych i szczegółowszych przyczynkach do dziejów obwodu AK Kozienice.

Kazimierz STYŚ

Witold ANDRUSZKIEWICZ

HOLOCAUST W EJSZYSZKACH

Bezpośrednim bodźcem do napisania niniejszego opracowania – dokumentu, był artykuł prof. Yaffa Eliach z domu Sonenson pt. „Pogrom w Ejszyszkach”, który ukazał się w dniu 6 sierpnia 1996 roku w dzienniku *New York Times* i liczne relacje na ten i podobne tematy, które ukazały się w prasie amerykańskiej (*US News and World Reports* z dnia 4 kwietnia 1995 r., *New York Times* z połowy sierpnia 1996 r.) oraz w prasie polskiej (*Gazeta Wyborcza* z dnia 8 sierpnia 1996 r., *Gazeta Polska* z dnia 10 sierpnia 1996 r., *Kurier Wileński* z dnia 26 września 1996 r., *Słowo – Dziennik Katolicki* i inne).

Uważam za swój obowiązek zabranie głosu na ten temat, ponieważ urodziłem się w Ejszyszkach w 1917 roku. W miasteczku tym i w jego okolicach spędziłem moje dzieciństwo i młodość aż do 19 grudnia 1944 roku, kiedy zostałem aresztowany przez NKWD i po pobycie w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie, zesłany do łagrów sowieckich. Miasteczko zostało zajęte przez oddziały Armii Czerwonej w ciągu 2 lub 3 dni po inwazji sowieckiej na Polskę, rozpoczętej 17 września 1939 roku. Wśród 5-tysięcznej populacji miasteczka było około 3 tysiące Żydów, którzy nadawali zasadniczy ton życiu gospodarczemu. Wyrosłem w stałym kontakcie z moimi żydowskimi rówieśnikami. Miałem wśród nich wielu kolegów

i przyjaciół i znałem dość dobrze całą społeczność Ejszyszek, zarówno polską, jak też żydowską. Razem z żydowskimi kolegami i koleżankami uczyłem się w szkole powszechnej. Moja rodzina zaopatrywała się w żydowskich sklepach. Znałem sporo słów i wyrażań w języku jidisz. Łatwo orientowałem się w treści potocznej mowy, tzw. żargonu ejszyskiego. Społeczność żydowska miasteczka w swej ogromnej większości przyjęła wkraczającą do Polski Armię Czerwoną z otwartymi ramionami, aktywnie demonstrując swą radość z komunistycznego „wyzwolenia”. Żydzi też obsadzili z miejsca większość stanowisk w miejscowej administracji i władzach bezpieczeństwa. Część młodzieży żydowskiej, około 100 osób, wyjechało do Radunia, Lidy i do innych miast i miasteczek tzw. Zachodniej Białorusi, czyli na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, obsadzając bardziej eksponowane i intratne stanowiska. Była to oczywiście młodzież w pełni akceptująca okupację wschodniej Polski przez Sowiety. Jest mi również wiadomo, że przynajmniej kilkoro z moich żydowskich znajomych, m.in. Bluma Lubecka i jej narzeczony Isaak – Icek – Kowarski, zostało zesłanych przez władze sowieckie do Autonomicznej Republiki Żydowskiej w części azjatyckiej Związku Sowieckiego. Uderzenie Hitlera na Związek Sowiecki w dniu 22 czerwca 1941 roku i zajęcie niemal z marszu Ejszyszek przez wojska niemieckie, całkowicie zaskoczyło zarówno miejscową społeczność polską, jak też żydowską. Jednakże po przejściu frontu, który bardzo szybko przesunął się o kilkaset kilometrów na wschód, właściwie wojny się nie czuło. Oddziały Wehrmachtu, które ciągle przez dwa lub trzy tygodnie przejeżdżały dniem i nocą na wschód, nie interesowały się miejscowymi mieszkańcami. Mieszkańcy ci byli dla nich tłem, częścią nijakiego krajobrazu. Aż do końca lipca Niemcy nie interesowali się też miejscowymi Żydami. Dopiero w końcu lipca zorganizowano w Ejszyszkach Ostkomendanturę. Ulokowano ją w nowym, piętrowym budynku Szkoły Powszechnej, oddanej do użytku bodajże 1 września 1938 roku. W piętrowym budynku byłej poczty ulokowano oddział dyspozycyjny liczący 50-70 niemieckich żołnierzy, odpowiedzialnych za utrzymanie w należytym stanie przechodzącej przez Ejszyszki drogi bitej relacji Grodno-Wilno.

Niektórzy z tych żołnierzy pochodzili z Prus Wschodnich, posługiwali się gwarą mazurską i łatwo nawiązywali kontakt z miejscową ludnością. Szosą biegnącą z Grodna do Wilna przemieszczały się nieustannie, często w letnim skwarze, setki a może nawet tysiące czołgów i innych pojazdów opancerzonych oraz dziesiątki tysięcy samochodów ciężarowych i osobowych. Niebawem stan tej szosy był opłakany. Cierpiało na tym zaopatrzenie wojska niemieckiego. Oddział dyspozycyjny Wehrmachtu stacjonujący w budynku poczty był odpowiedzialny za utrzymanie drogi we właściwym stanie. W praktyce oznaczało to likwidowanie kolein i wybojów, posypywanie nagromadzonym w tym celu żwirem i ręczne ubijanie uszkodzonej nawierzchni szutrowej, szczególnie wrażliwej na zakrętach na gąsienice czołgów. Do pracy tej Niemcy angażowali głównie ludność żydowską, ale również, na rozkaz władz niemieckich, sołtysi zostali zmuszeni wyznaczać codziennie do zajęć Polaków. Nadzorcy, żołnierze niemieccy, organizowali spośród powołanych do pracy kolumny robocze w liczbie 100-150 ludzi z łopatami i ubijakami. Na określonych odcinkach szosy pracowały 3 lub 4 kolumny. Praca trwała 8 do 10 godzin dziennie. Każda kolumna była nadzorowana przez 5-6 uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Prace prowadzono na szosie biegnącej w kierunku Radunia i Grodna oraz Oran i Wilna. Podczas pracy stosowano 2 lub 3 kilkunastominutowe przerwy na odpoczynek i posiłek, który pracujący powinni byli zabrać ze sobą. Okoliczni mieszkańcy zostali zmuszeni do dowożenia swoimi środkami transportu, a więc furmankami, żwiru, który umieszczano w przyzmach na poboczu szosy. Oczywiście mowy nie było o wynagrodzeniu za tę niewolniczą pracę. Każdy Żyd już w tym czasie musiał nosić na swym ubraniu przyszytą gwiazdę syjonistyczną. Te poczynania władz niemieckich dały oczekiwane przez nie rezultaty. Po kilkunastu dniach wytężonych prac, szosa przybrała niemal normalny wygląd dobrej, bitej drogi. Zbędny stał się maksymalny wysiłek kolumn roboczych. Zaprzestano powoływać do pracy Polaków. Powoływano wyłącznie ludność żydowską. Zwolnione tempo pracy żołnierze niemieccy zaczęli wykorzystywać do różnych przemyślnych szykan wobec zatrudnionych. Kaza-

no im na przykład, w czasie niemożliwym do wykonania, rozwałać na tempo pryzmy nagromadzonego żwiru i natychmiast formować go na nowo w idealnie ubite pryzmy. Czas był zawsze zbyt krótki. Szykany polegały również na różnych, męczących ćwiczeniach, biegach, czołganiu się, rozbieraniu się do bielizny i znów biegach i czołganiu się. Celem dodania ochoty do zwawszych ćwiczeń, strzelano z automatów tuż nad głowami, na razie nikogo nie raniąc i nie zabijając. „Ćwiczenia” kończyła kąpiel w małej rzeczce, która przepływała tuż pod miasteczkiem. Proceder tej kąpieli można było obserwować z okien pobliskich domów lub normalnie idąc, lub jadąc drogą. A wyglądało to tak. Zmęczonych i umorusanych ludzi ustawiano wzdłuż szosy na skraju wysokich skarp nad rzeczką oddaloną o około 100-150 metrów. Wyznaczano czas kilku minut na dobiegnięcie do rzeki, rozebranie się, umycie, ponowne ubranie i stawienie się w idealnym szeregu na wyznaczonym miejscu. Zawsze było jednak coś nie tak i proceder ten powtarzano kilka lub kilkanaście razy, w zależności od nastroju strażnika. Straszne to widowisko powtarzało się przez szereg dni aż do połowy września 1941 roku. I wtedy, o ile dobrze pamiętam, doszło do pierwszych wypadków zranienia lub zabicia ludzi niezbyt ochoczo wypełniających nieludzkie zlecenia „nadludzi”. W połowie września jednostka ta gdzieś wyjechała. Po tym było kilka dni względnego spokoju. Niebawem jednakże, w niedzielę, dnia 21 września 1941 roku, zaczęło się dla Żydów prawdziwe piekło na ziemi. W niedzielę, dnia 21 września, o ile dobrze pamiętam, wybrałem się do mego kolegi Nikrewicza. Rozporządzał on lokalem przy ulicy Wileńskiej, wychodzącym na szosę relacji Grodno-Wilno. Przed wojną, a nawet pod okupacją Litwy smetonowskiej, prowadził on tam razem z żoną niedużą restaurację. Z nudów graliśmy w karty, bodajże w pokera, na nic już nie warte w tym czasie polskie przedwojenne złotówki i litewskie lity. Zmierchało, kiedy nieoczekiwanie na spokojnej, cichej zwykle ulicy, zapanował niezwykle ruch. Od strony szosy prowadzącej z Wilna pojawiły się grupki obcych ludzi i podążały ulicą Wileńską w kierunku rynku. Mieli na sobie cywilne ubrania, ale na ramionach nieśli automaty i karabiny. Ich ubrania były uszyte

przeważnie z grubej tkaniny tkanej ręcznie z owczej wełny. Różniły się one na pierwszy rzut oka od ubrań naszych wieśniaków z pobliskich wsi i zaścianków szlachty zagrodowej, zwanych tutaj „okolicami”. Tych obserwowanych przez nas grup zbrojnych, poruszających się pieszo ulicą Wileńską, było kilka, a może kilkanaście. Czuliśmy, że pojawienie się tej nowej zbrojnej formacji otwiera nowy rozdział w historii miasteczka. Zaniepokojeni, pożegnaliśmy się i wyruszyliśmy do naszych domów położonych na przeciwległych krańcach miasteczka. Mój rodzinny dom, w którym mieszkalem razem z żoną, znajdował się przy ulicy Nowy Plan, bliżej krańca miasteczka. Prawie połowa tej ulicy od strony rynku była zamieszkała przez mniej zamożną ludność żydowską. Po przybyciu do żony, zdenerwowany opowiedziałem o nowej formacji zbrojnej, która przybyła do miasteczka. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że przybysze należeli do formacji ochotników litewskich specjalizujących się w rozstrzeliwaniu Żydów. Zwano ich „szaulisami” czyli strzelcami. Szaulisi w przedwojennej Litwie stanowili paramilitarną, faszyzującą formację zbrojną. Nie wiem, czy byli to na pewno szaulisi. Bardziej prawdopodobne, że były to ochotnicze litewskie oddziały Formacji Specjalnych (*Ypatingas Burys*) szkolone specjalnie do masowych rozstrzeliwań głównie Żydów, ale również Polaków, Rosjan i Cyganów. Pełni poważnych obaw udaliśmy się z żoną późnym wieczorem dnia 21 września 1941 roku, w niedzielę, na spoczynek. Wieczór był pogodny i nic nie zapowiadało tragedii, która wydarzyła się następnego dnia, w poniedziałek, dnia 22 września 1941 roku. Tego dnia, bardzo wczesnym rankiem zbudziła nas głośna, dość bliska i chaotyczna palba z broni ręcznej. Strzelanina była tak blisko, że kazałem żonie zejść do piwnicy. Sam położyłem się blisko drzwi wejściowych, zdecydowany na stawienie oporu w razie napadu na nasz dom. Przewidywałem najgorsze. Broni palnej nie miałem. Miałem jedynie pod ręką dwa niemieckie granaty obronne, które zdobyłem i ukryłem po 22 czerwca 1941 roku. Postanowiłem bronić się i drogo sprzedać swą skórę. Miałem za sobą przeszkolenie wojskowe. W roku 1936, po ukończeniu Szkoły Handlowej w Wilnie, odbyłem również

w Wilnie nie służbę wojskową w 1. pułku artylerii lekkiej, ukończyłem szkołę podoficerską i jako plutonowy nadterminowy pełniłem nadal służbę wojskową, łącznie z kampanią wojenną 1939 roku. Do ataku na mój dom jednak nie doszło. Tragedia rozgrywała się o kilka kilometrów dalej, bliżej centrum, w części ulicy zamieszkałej, jak już wspominałem, przez biedotę żydowską. Wystrzały po godzinie, może trochę później, stawały się coraz rzadsze i wyraźniej się oddalały. Po dalszej godzinie ustały. Był już jasny poranek. Żonie pozwoliłem wyjść z piwnicy, a sam otworzyłem drzwi od sieni i wyszedłem na ulicę. Było cicho. Zauważyłem, że mężczyźni z okolicznych domów również wychylali się, żeby coś zobaczyć i dowiedzieć się o przyczynach strzelaniny. Widząc, że na naszej ulicy nic się nie dzieje, kilku mężczyzn razem ze mną zaryzykowało. Postanowiliśmy udać się w stronę rynku. Kilka domów dalej od mego domu zaczynały się domy żydowskie. Stwierdziliśmy, że nie ma w nich mieszkańców. Drzwi były otwarte na oścież, szyby powybijane, nędzny dobytek porzucony w pośpiechu. Nie było żywej duszy. W ciągu dnia wyjaśniło się, że „strzelcy” litewscy oddając strzały na postrach, wygonili całą ludność żydowską z ich domostw. Około trzech tysięcy Żydów bez różnicy wieku i płci zostało zagnanych do trzech istniejących w miasteczku synagog. Synagogi znajdowały się niedaleko od siebie przy placu zwanym Szkolnym. Świątynie te w miejscowym narzeczu nazywano bowiem „szkołami”. Reszta Żydów, która nie zmieściła się w synagogach, została zamknięta na targowicy zwierzęcej o powierzchni ponad jednego hektara. Targowica ta była otoczona wysokim, szczelnym parkiem. Zamieszkałe przez ludność żydowską ulice i rynek wyglądały niesamowicie. Były puste. Litewscy oprawcy uwięzili prawie wszystkich mieszkańców. Ocaleni tylko nieliczni. W dzielnicy żydowskiej panował zwykle od wczesnego rana do późnego wieczora duży gwar, ruch, krzątanina. Otwarte były sklepy i pracownie rzemieślnicze pełne kupujących. Podwórka domów, przyległe chodniki i wąskie zaułki, pełne były dzieci od lat kilku do kilkunastu, bawiących się w klasy, piłkę i inne dziecięce gry. Dzieci te różniły się na pierwszy rzut oka od dzieci polskich. Miały raczej ciemną cerę, czarne oczy i czarne

włosy. Ze wszystkich stron dolatywały rozmowy, czasem zawzięte dyskusje w języku jidisz. Teraz panowała pełna grozy cisza. W domostwach pozostały jedynie wygłodzone już psy i koty. Drzwi domostw były przeważnie otwarte, szyby powybijane. Wewnątrz domów panował nieład, meble były przewrócone, szafy otwarte. Na podłodze i na podwórkach widniały części garderoby i pościeli. Od placu zwanego Szkolnym czyli Synagogałnym prowadziła uliczka, na końcu której znajdował się czynny cmentarz izraelski (kirkut). Dalej za rowem melioracyjnym płynęła mała rzeczulka Wersoczka i jeszcze dalej, wśród olszowych zarośli biegła dość grząska i wąska grobla, prowadząca na pola uprawne, będące własnością polskich mieszkańców Ejszyszek. Obejmowały one obszar ponad 500 ha i były uprawiane przez około 100 gospodarzy. Obszar uprawy obejmował od 30 arów do kilku, a nawet kilkudziesięciu ha. W roku 1931 grunta te zostały scalone. Wśród tych pól za groblą zwanych popularnie „za brodem” znajdował się obszar ponad hektarowy zarosły z rzadka niskimi krzakami jałowca. Grunt ten nie należał do żadnego z polskich gospodarzy. Był to stary kirkut żydowski nieczynny od ponad 100 lat. Tylko nieliczni mieszkańcy miasteczka przypominali sobie, że ich ojcowie opowiadali o chowaniu izraelitów na tym cmentarzu. Podczas scalania gruntów w 1931 roku, główny mierniczy przeprowadzający pomiary chciał włączyć ten obszar do ogólnej powierzchni podlegającej scaleniu. Zaoponowała przeciwko temu gmina żydowska i jej starania zostały uwzględnione. Pośrodku pól ornych pozostawiono więc obszar niezagospodarowany. Zdarzało się, że sąsiadujący z dawnym kirkutem gospodarze wypasali tam bydło, zwłaszcza konie. Gmina żydowska zadbała o właściwy szacunek dla tego miejsca. Wynajęła robotników, którzy wykopali dookoła dawnego, nieczynnego już kirkuta rowy głębokie i szerokie na około 2 m. Cały obszar ogrodzono płotem z drutu kolczastego wysokim na około 2 m. Ten stary kirkut stał się miejscem holocaustu żydowskiego 22 września 1941 roku. Byłem naoczym świadkiem jak tego właśnie dnia około godziny 10 rano wyprowadzono z jednej z synagog grupę około 400-500 mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat. Wszyscy oni byli zdrowi, w pełni

sił i w większości znani polskim mieszkańcom miasteczka jako ludzie energiczni, poważni i po swojemu uczciwi. Kolumnę tę konwojowało około 80 Litwinów ubranych po cywilnemu i uzbrojonych w karabiny. Byli to na pewno ci sami szaulisi, których obserwowaliśmy w niedzielę po południu, jak wkraczali do miasteczka ulicą Wileńską. Mężczyźni żydowscy szli potulnie. Nie można było zauważyć jakiegokolwiek sprzeciwu i protestu. Myślę, że wielu z nich nie uświadamiało sobie, że idą na śmierć. Nie pomogło głośne wołanie po żydowsku niektórych polskich mieszkańców miasteczka znających jidysz: „Idziecie na śmierć. Groby są przygotowane na waszym starym cmentarzu!” Pamiętam taką scenę, kiedy podczas marszu przewodniczący miejscowej gminy żydowskiej Szwarz, który zmienił nazwisko na Czarny-Czorny rzucił w grupę polskich mężczyzn stojących 20-30 m. od konwoju, grubo wypchany portfel. Podniósł go z ziemi mieszkaniec Ejszyszek Jan Sienkiewicz o przydomku „Jac”, przyjaciel Szwarca. Obserwując ten pochód żydowski na stary kirkut nabrałem przeświadczenia i trwa ono do dzisiaj, że ludzie ci zdrowi przecież i energiczni, ulegli rozbrojeniu psychicznemu. Pogodzili się z losem i ze swoim „przeznaczeniem”. Wystarczyłaby mobilizacja kilku zaledwie mężczyzn i jeden energiczny okrzyk, żeby rzucić się na oprawców, rozbroić ich i uciec w pobliskie lasy i mokradła. Zginęłoby ich na miejscu może 10-20%, a prawdopodobnie mniej. Szaulisi wyglądali dość niepozornie. Inna rzecz, że po ucieczce czekałaby być może większość z nich poniewierka, może głód, w każdym razie los szczutych zwierząt. W moim przekonaniu ryzyko byłoby jednakże bardziej godne człowieka. Pragnę z całą odpowiedzialnością podkreślić, że wojsko niemieckie (Wehrmacht), które stacjonowało w Ostkomendanturze na przedmieściu Ejszyszek, zwanym Jurysdyką, nie było widoczne ani nie brało udziału w akcji holocaustu. Byłem jedynie świadkiem jak pod wieczór tego dnia samochód ciężarowy wiozący 20-30 żołnierzy niemieckich wjechał na rynek i po kilkuminutowym postoju zawrócił do Ostkomendantury na Jurysdyce. Byli to żołnierze z obrony przeciwlotniczej w szarych mundurach (*Flakbatterien*). Szaulisi zagarnęli w miasteczku również około 100 polskich

mężczyzn i przygnali ich pod broń na stary kirkut. Mężczyznom tym kazano pogłębiać rowy otaczające ten cmentarz. Mężczyźni ci stali się bezpośrednimi świadkami zbrodni. Po przygnaniu Żydów na miejsce kaźni kazano im się rozbierać. Większość zrzuciła ubrania i pozostała w bieliźnie. Pewna część stała nago. Nie było żadnego oporu. Skazańcy zachowywali się jak ludzie bezwolni i zahipnotyzowani. Nie było prób ucieczki ani po drodze, ani na samym kirkucie. Litwini wprowadzali do rowów otaczających kirkut grupy około 100 osób. Nagim lub prawie nagim Izraelitom kazano układać się w poprzek rowu, ciasno, jeden obok drugiego. Do tak ułożonych osób ubrani po cywilnemu oprawcy oddawali strzały z karabinów jednostrzałowych, a niektórzy z automatów. Masa półnagich ciał jeszcze drgała konwulsyjnie, kiedy oprawcy pod groźbą zastrzelenia, kazali przygnanym z miasteczka nieżydowskim mieszkańcom przysypywać zwłoki cienką warstwą ziemi, grubości 10-15 cm. Do zmierzchu rowy zostały zapełnione 6-7 warstwami zwłok zastrzelonych Żydów. Ostatnia górna warstwa została również przysypana ziemią. Do zmierzchu szaulisi spędzili na cmentarz i rozstrzelali 6 lub 7 kolumn ludności żydowskiej, mężczyzn, kobiet, straców i dzieci. Po wykonaniu tego zadania, tzn. po rozstrzelaniu około 3.000 Żydów ejszyskich, mordercy wrócili do miasteczka. Kilku młodym Żydom udało się ukryć w stercie porzuconych ubrań. Po odejściu szaulisów zaopiekowała się nimi ludność polska. Ogółem ocalało z holocaustu około 40 osób. Należeli do nich głównie ci, którzy nie dali się zamknąć w synagogach i na targowicy zwierzęcej. Zdołali uciec do swych polskich przyjaciół lub ukryli się w różnych schowkach i nie zostali odnalezieni przez Litwinów. Duża większość uratowanych Żydów przeżyła okupację niemiecką. Polska była jedynym krajem pod okupacją niemiecką, w którym władze niemieckie lub władze krajów satelitarnych za przechowywanie Żydów stosowały karę śmierci. Mimo to, wiele rodzin polskich, zwłaszcza w polskich szlacheckich zaściankach (okolicach) Żydów przechowywało. Tak np. w folwarku Liebiedniki koło Korkucian, kilka kilometrów od Ejszyszek, w domostwie Kazimierza Korkucia przechowywano przez całą okupację w przemyślnie skonstruowanej skrytce

28 Żydów. Kazimierz Korcuć był żołnierzem Armii Krajowej – dowódcą. Na podległym sobie obszarze przechował w rodzinach polskich około 70 Żydów. Żydów przechowywano też w leżących w pobliżu Ejszyszek Rynkunach, Mładziuszach i wielu innych miejscowościach. Część ocalałych Żydów przyłączyła się do partyzantki sowieckiej posiadającej swe silne bazy w położonej niedaleko Ejszyszek Puszczy Rudnickiej. Partyzantka ta odnosiła się wrogo do Polaków, a szczególnie do Armii Krajowej. Dochodziło do starć zbrojnych, w których ofiarę krwi ponosiły obie strony. Działalność litewskich, ochotniczych formacji zwanych szaulisami nie ograniczała się do Ejszyszek. Akcja w Ejszyszkach była jedną z pierwszych. Z biegiem czasu formacje te zostały umundurowane. Nosiły emblematy wojska litewskiego. Na czapkach miały herb Litwy kowieńskiej – Pogoń – rycerza na koniu. Zostały bogato zaopatrzone w broń automatyczną. Przeprowadziły one akcję likwidacji Żydów na całej Litwie etnicznej i na całej Wileńszczyźnie. W Ponarach pod Wilnem rozstrzelały około 80.000 Żydów, głównie wileńskich oraz około 30.000 Polaków, Rosjan i Cyganów. Formacje te rozstrzeliwały Żydów również na Łotwie i na Białostocczyźnie. Wchodziły w skład załogi obozu zagłady na Majdanku pod Lublinem, stacjonowały w samym Lublinie w trzech różnych ośrodkach, likwidowały Żydów z Zachodniej Europy w Trawnikach pod Lublinem, wzięły udział w roku 1943 w likwidacji getta warszawskiego, a następnie w 1944 roku w likwidacji Powstania Warszawskiego. Te ochotnicze formacje rozbudowano z biegiem czasu do monstrualnych rozmiarów. Miały one szeroki zakres ludobójczej działalności i różne, litewskie uniformy. Poza wspomnianą już Formacją Specjalną – *Ypatingas burys* (*Litauische Sonderverbände SD*) swe krwawe zadania wykonywały: litewska *Sauguma* – policja bezpieczeństwa, utożsamiająca się z Gestapo i stanowiąca razem z nią organiczną całość, *Apsaugo Batalionai* (*Schutzmannschafts-batalions*) – Litewskie Bataliony Policyjne oraz *Lietuvos Policija* – Litewska Policja razem z Policją Pomocniczą. Formacje te wyspecjalizowane w masowych mordach, miały na sumieniu również rzezie ludności polskiej. Tak np. batalion policji litewskiej stacjonujący w Maciejowie

pod Kowlem na Wołyniu, w nocy z 21 na 22 kwietnia 1943 roku, z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek, wspólnie z oddziałami UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) zajął przez zaskoczenie Janową Dolinę, wieś polską na Wołyniu, w powiecie kostopolskim i dokonał wspólnie totalnej rzezi wszystkich mieszkańców, również starców, dzieci i kobiet. Zamordowano tam według różnych źródeł od 900 do 2000 Polaków. Okupacja niemiecka stanowiła dla Polaków jednoznaczne wyzwanie do walki zbrojnej. Jako podoficer Wojska Polskiego czułem się w szczególnym obowiązku wziąć udział w tej walce. Szukałem kontaktów i znalazłem je w różnych ugrupowaniach, po to żeby ostatecznie zostać zaprzysiężonym w marcu 1942 roku jako żołnierz 5 batalionu 77 lidzkiego pułku piechoty Armii Krajowej i objąć komendę placówki AK Ejszyszki II. Nie będę tutaj omawiał mojej działalności w Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, która jest tematem innego opracowania. W każdym razie wziąłem udział w „Burzy” wileńskiej i w „Akcji Ostra Brama”, połączonym ataku Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego AK 7 lipca 1944 r. na Wilno i zajęciu jego wschodnich, południowych i północnych dzielnic. Uniknąłem aresztowania przez NKWD po zakończeniu tej Akcji i wypełniałem nadal swe żołnierskie obowiązki w ramach AK na obszarze Wileńszczyzny. Armia Czerwona w swej pogoni za ustępującymi Niemcami zajęła Ejszyszki na początku lipca 1944 r. Przyniosła ona całkowite wyzwolenie Żydom ukrywanym przez polskie rodziny, jak też Żydom należącym do partyzantki sowieckiej w Puszczy Rudnickiej i gdzie indziej. Żydzi pojawili się na ulicach Ejszyszek. Niektórzy wrócili do swoich domów. Niestety, przyjscie Armii Czerwonej nie stanowiło wyzwolenia dla Polaków. W bardzo krótkim czasie rządy w Ejszyszkach objęło NKWD. Rozpoczęły się szeroko zakrojone obławy na żołnierzy Armii Krajowej, na polską inteligencję, studentów, uczniów, rolników. W istocie rzeczy była to czystka etniczna Polaków, która objęła Wilno i całą Wileńszczyznę. Podczas jednego z moich pobytów w Ejszyszkach, spotkałem mego znajomego sprzed wojny, Mosze Sonensona. Był to niewątpliwie ojciec lub krewny prof. Yaffa Eliach z domu Sonenson, autorki wspomnianych na wstępie artykułów w prasie ame-

rykańskiej. Rodzina Sonensonów była powszechnie znana w przedwojennych Ejszyszkach. Mosze przeżył okupację, podobnie jak cała jego rodzina ukrywana przez ludność polską. Z Mosze Sonensonem jest związane największe, najbardziej wstrząsające przeżycie w moim życiu. Działo się to w Ejszyszkach, o ile mogę to dzisiaj odtworzyć, w 1944 roku, między 20 a 25 lipca. Będąc w mieście, oczywiście w cywilu razem z moimi dwoma żołnierzami, również w cywilu, natknąłem się na nieduży konwój. Żołnierz sowiecki prowadził grupę pięciu umęczonych i zrezygnowanych jeńców niemieckich. Front przebiegał wówczas około 40-50 km na zachód od Ejszyszek. Byli to przypadkowo wzięci do niewoli sowieckiej żołnierze niemieccy z różnych jednostek, w różnych uniformach. Żołnierz sowiecki prowadził ich do komendantury. Tam gromadzono ich większą ilość i przewożono do obozów jenieckich – łagrów. W tej scenarii pojawił się Mosze Sonenson. Bardzo impulsywny, zaczął wykrzykiwać w jidysz, że on Sonenson przeżył mord dokonany na Żydach i musi zemścić się na tych jeńcach. Krzyczał dosłownie: „Muszę umyć twarz i ręce w krwi niemieckiej”. Mieszkając w Ejszyszkach i stykając się z ludnością żydowską na co dzień, ucząc się w jednej klasie w szkole powszechnej razem z chłopcami i dziewczętami żydowskimi, znałem jidysz na tyle, że rozumiałem sens tego monologu. W dalszym ciągu tego wydarzenia, Mosze Sonenson przyprowadził jeszcze dwóch żołnierzy sowieckich, wynagrodził ich i kazał prowadzić tych jeńców za miasto ulicą Nowy Plan, przy której znajdował się mój dom. Towarzyszyłem tej grupie w pewnym oddaleniu. Konwój zatrzymał się poza zabudowaniami miejskimi przed polem, na którym rosło żyto. Razem z moimi żołnierzami, a było nas razem trzech, wszedłem niepostrzeżenie dla konwoju na strych domu należącego bodaj do Sawiela i stamtąd obserwowaliśmy całe wydarzenie. Opłaceni przez Sonensona sowieccy żołnierze rozstrzelali pięciu niemieckich jeńców, którzy nie stawiali oporu. Bezpośrednio po strzałach Mosze Sonenson rzucił się na drgające jeszcze zwłoki i zaczął ciepłą krwią obmywać twarz i ręce. Wyśpiewywał przy tym jakieś wersety po hebrajsku. Była to prawdopodobnie modlitwa. Sytuacja dla Polaków na Wileńszczyźnie stawała się coraz

bardziej tragiczna. NKWD nasilała represje niemal z dnia na dzień. Było coraz więcej aresztowań i deportacji. Szczególną agresję wobec Polaków wykazywał enkawudzista o nazwisku Michałowski. Był to ejszyski Żyd, który uniknął holocaustu i od 1941 do 44 r. walczył w partyzantce sowieckiej w Puszczy Rudnickiej. Michałowskiego znałem bardzo dobrze. Razem z nim odbywałem służbę wojskową w latach 1936-37 w Wilnie, w 1. pułku artylerii lekkiej legionów. Po okresie rekruckim pełnił on funkcję magazyniera w 5. baterii tego pułku. Wiadome mi jest, że krwawa działalność Michałowskiego trwała do maja 1945 r. Wówczas znikł on z Ejszyszek. Być może, iż pod zmienionym nazwiskiem został przekazany do służby w Urzędzie Bezpieczeństwa satelitarnej Polski Ludowej. Dowódca obszaru, na którym znajdowały się Ejszyski, Michał Babul ps. „Gaj” postanowił przyjść z pomocą prześladowanej ludności polskiej. W nocy z 19 na 20 października 1944 siłami AK dokonano ataku na NKWD w Ejszyskach, rozbito tę placówkę, zniszczono dokumenty i zabrano pieczęcie. W tym samym czasie żołnierze AK zaatakowali dom Sonensonów, w którym kwaterowali dwaj czołowi pracownicy miejscowego NKWD, major i sierżant. Wywiązała się ostra strzelanina. W jej efekcie obu enkawudzistów rozbrojono i wzięto do niewoli. W czasie strzelaniny zginęła gospodyni domu Sonenson, prawdopodobnie żona st. lejtnanta NKWD, Mosze Sonensona i jej mały synek. Ocalała córka Yaffa, autorka artykułów w prasie amerykańskiej. Mosze Sonensona w domu podczas tej akcji nie było. W trakcie strzelaniny została ranna w nogę również sąsiadka Sonensonów, Polka Józefa Bacewicz. Dane te, jak to dokumentuje Jarosław Wołknowski na łamach *Kuriera Wileńskiego* z 26 września 96 roku, znajdują potwierdzenie w zachowanym w Wilnie archiwum KGB. Czystą fikcją jest twierdzenie p. Yaffa Eliach z domu Sonenson na łamach *New York Times*, iż napadu dokonali polscy sąsiedzi Sonensonów: Antoni Szarawiej i Władysław Duszyński. Ludzi o takich nazwiskach nikt w Ejszyskach nie zna. Nazwiska takie nie figurują też w aktach sprawy w archiwum KGB w Wilnie. W sumie, październikowa akcja Armii Krajowej w Ejszyskach nie była wymierzona przeciwko Żydom. Była to akcja prze-

prowadzona w obronie ludności polskiej przeciwko sowieckiemu NKWD. Po tej akcji, prześladowania ludności polskiej przez NKWD nasiliły się jeszcze bardziej. 4 grudnia 1944 aresztowano dowódcę AK rejonu ejszyskiego Michała Babulę ps. „Gaj”. W kilka dni potem zgrupowanie AK dokonało ponownego zajęcia Ejszyszek, celem odbicia dowódcy. Uwolniono wówczas z więzienia kilkudziesięciu Polaków. Niestety, nie było wśród nich „Gaja”. W kolejnych obławach NKWD aresztowało większość żołnierzy AK. Czterech z nich trybunał sowiecki skazał na początku 1945 r. na karę śmierci. Byli to: Michał Babul „Gaj”, ksiądz Mikołaj Tapper „Żaba”, Józef Siniewicz „Grom” i Henryk Golmot „Grąd”. Wyroki wykonano. W ciągu miesięcy po październikowym ataku AK na Ejszyski, widziano tam jeszcze st. lejtanta NKWD, Mosze Sonensona. Nieznane są jego dalsze losy. Być może mogłaby je ujawnić Yaffa Sonenson-Eliach w USA. Ja, będąc zagrożony aresztowaniem, ukrywałem się w różnych miejscowościach Wileńszczyzny, pełniąc jednocześnie różne funkcje powierzone mi przez dowództwo Armii Krajowej. Tęskniłem bardzo za domem rodzinnym w Ejszyszkach. Postanowiłem zaryzykować i spędzić w moim domu przynajmniej jedną noc z 18 na 19 grudnia 1944. Zrealizowałem swój zamiar. W nocy mój dom otoczyło NKWD. Zostałem aresztowany. Po uwięzieniu na Łukiszkach w Wilnie deportowano mnie do łagrów sowieckich. Przeszedłem swą „Drogę Krzyżową” na „nieludzkiej ziemi” od Uchty po Karagandę w Kazachstanie. Największym przeżyciem w moim życiu pozostał jednakże widok rozstrzelanych przypadkowych jeńców niemieckich na skraju żyt-niego łąnu w Ejszyszkach w lipcu 1944 i nad nimi Mosze Sonenson, obmywający twarz i ręce ciepłą jeszcze krwią, płynącą z drgających konwulsyjnie zwłok rozstrzelanych żołnierzy. Ten widok i śpiew Mosze Sonensona towarzyszy mi przez całe życie. Niczego bardziej wstrząsającego nigdy nie przeżyłem.

Witold ANDRUSZKIEWICZ ps. „Agawa”

Przedruk z *Głosu Polskiego* w Toronto (Kanada) nr 5, 1 lutego 1997.

Longin TOMASZEWSKI

KEDYW W OKRĘGU WILEŃSKIM ARMII KRAJOWEJ

Ogromnie ważną rolę w walce polskiego podziemia niepodległościowego przeciw okupantom odgrywały działania sabotażowe i dywersyjne, rozpoczęte już na początku okupacji i prowadzone ze wzrastającym nasileniem przez cały czas jej trwania.

Dla podwyższenia efektywności i lepszej koordynacji tych działań, jesienią 1942 r. powołano przy Komendzie Głównej AK specjalny ośrodek dyspozycyjny pod nazwą Kierownictwo Walki Konspiracyjnej (KWK), podlegający bezpośrednio Dowódcy AK. KWK podporządkowano także informację i propagandę (BIP), kontrwywiad i aparat bezpieczeństwa. Na przełomie lat 1942/1943 powołano organ wykonawczy tych działań – Kierownictwo Dywersji czyli Kedyw¹. Poprzednikiem Kedywu były tak zwane Związki Odwetu, będące kontynuacją Referatu „C” Dowództwa SZP, powołanego już w październiku 1939 r. przez gen. Michała Karaszewicza-Tokarczewskiego.

1. Rozkaz KG AK z 22 I 1943 o uporządkowaniu odcinka walki czynnej i utworzeniu Kedywu („AK w dokumentach” t. VI, nr red. 1740); elementy struktury organizacyjnej Kedywu przedstawiono w meldunku organizacyjnym KG AK nr 190 z 1 III 1943 („AK w dok.” t. II, nr red. 396).

Od listopada 1941 r. istniało przy Delegaturze Rządu na Kraj Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC). Ponieważ okazało się w praktyce, że walka prowadzona siłami organizacji wojskowej zazębia się ściśle z walką cywilną, doszło w lipcu 1943 r. do scalenia KWK i KWC w jednolite Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP)².

Jesienią 1941 r. została powołana przez Komendę Główną AK wydzielona organizacja dywersyjna o kryptonimie „Wachlarz” do działań wyłącznie na okupowanych przez Niemców terenach Związku Sowieckiego, a więc za wschodnią granicą Polski. „Wachlarz” był podzielony na 5 odcinków, od pierwszego na południu, do piątego na północy. Teren operacyjny V Odcinka obejmował Dyneburg i Połock, a strefą jego zaplecza i terenem wypadowym była północna Wileńszczyzna. W samym Wilnie znajdowała się placówka zaopatrzeniowo-przerzutowa zwana „Bazą”. Na przełomie lat 1942/1943 „Wachlarz” został rozwiązany.

Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, Cywilnej i Podziemnej w Okręgu Wileńskim AK, a także „Wachlarz”, to tematy oddzielne, tutaj zajmujemy się komórkami wykonawczymi sabotażu i dywersji, które przeszły szereg faz organizacyjnych zanim stały się Kedywem.

Działania sabotażowe i dywersyjne czyli walkę bieżącą prowadzono w Wilnie już w najwcześniejszym okresie okupacji, lecz początkowo ograniczano się do likwidowania skazanych przez sąd podziemny. Brak w tym okresie innych aktów sabotażu czy dywersji wynikał przede wszystkim stąd, że decyzją rządu polskiego na emigracji organizacja ZWZ w części Wileńszczyzny wcielonej do niepodległej jeszcze Litwy mogła mieć charakter wyłącznie kadrowy i jakiegokolwiek akcje zbrojne na tym terenie były bezwzględnie zabronione³. Zresztą, gdyby nawet ograniczenie takie nie istniało, wileńskie

2. Meldunek gen. Roweckiego do NW z 12 VII 1943: scalenie KWK i KWC w jednolite Kierownictwa Walki Podziemnej („AK w dok.” t.III, nr red. 464.)

3. Uchwała Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju (KSK) z 15 XI 1939 („AK w dok.” t.I, nr red. 4, s. 7-8); Uchwała KSK z 12 XII 1939 („AK w dok.” t.I, nr red. 9, s. 26); zarządzenie KG AK z 26 II 1940 w sprawie ZWZ w Wilnie („AK w dok.” t.I, nr red. 21).

podziemie znajdowało się jeszcze w stadium organizacji i do akcji na szerszą skalę nie było przygotowane.

Przypomnijmy, że w styczniu 1940 r. dokonano dwóch zamachów: pierwszy – nieudany – skierowany był przeciwko konfidentowi Saugumy Bolesławowi Korzcycowi; w drugim – zlikwidowano agenta NKWD Henryka Chomczyńskiego vel Zygmunta Korzeniowskiego. Polecenie wykonania wyroków wydała tajna organizacja „Komisariat Rządu”. Następnym skazanym przez polskie podziemie był Jan Szablowski, pracujący dla NKWD. Zestrzelono go na Antokolu jesienią 1942 r., za drugiej okupacji sowieckiej. Wykonawcą wyroku był trzyosobowy patrol dowodzony przez Daniela Kostrowickiego-„Danka”. Patrol podlegał kpt. Antoniemu Piotrowskiemu z Kół Pułkowych, pozostającemu w dyspozycji komendanta dzielnicy „D” (Antokol, Zarzecze) mjra Władysława Zarzyckiego-„Rojana”⁴.

Na początku okupacji niemieckiej, jesienią 1941 r., utworzono przy Komendzie Okręgu komórkę sabotażowo-dywerysjną o kryptonimie „0111”. Komórka ta przeprowadzała sporadycznie akcje sabotażowe, na przykład:

– wczesną wiosną 1942 r. dokonano na Wilczej Łapie podpalenia cystern z paliwem płynnym, posługując się tak zwanymi ołówkami zapalającymi o działaniu zwłocznym; wykonawcą był Henryk Kopczyk-„Warta”;

– latem 1942 r. w okolicy Ponar porozkręcano szyny, powodując wykołajenie pociągu z amunicją;

– również latem 1942 r. grupa por. Bolesława Nowika-„Majewskiego” (późniejszego szefa Oddziału II sztabu KO) w okolicy Miednik dokonała dwukrotnie przecięcia kabla telefonicznego biegnącego z Berlina przez Kowno i Wilno do Mińska⁵.

4. Zob. Longin Tomaszewski, „Kronika wileńska 1939-1941”, wyd. III, Warszawa 1994, s. 115-116; Jarosław Wołkonowski, „Litewska okupacja Wileńszczyzny (27.10.1939-15.06.1940) – Sauguma w walce z polskim państwem podziemnym”, Mars tom 3, Warszawa-Londyn 1995, s. 70-71. Po r. 1941 dzielnicę „D” przemianowano na „C”.

5. O komórce sztabu KO AK Wilno o kryptonimie „0111” i przeprowadzonych przez nią akcjach mówi Julian Kulikowski w opracowaniu „Legalizacja konspiracyjna w latach 1939-1945”, mps, Warszawa 1970, s. 13 (arch. autora, sygn. P-10).

W akcjach sabotażowych uczestniczył między innymi Włodzimierz Leśniewski, noszący w tym czasie pseudo „Tur”. W lipcu tegoż roku został on mianowany kierownikiem Komórki Dywersyjnej i Egzekutywy i awansowany do stopnia porucznika. Odtąd nosił pseudonim „Drobinka”. Nowa komórka, utworzona w miejsce „0111”, podlegała szefowi Oddziału III (operacyjnego) sztabu KO, którym był od lipca 1942 r. kpt. dypl. Teodor Cetys-„Sław”⁶.

Początkowo podstawowym zadaniem Komórki były akcje sabotażowe na kolei. Polegały one głównie na tym, że ołówki zapalające wkładano jako zapalniki do butelek z benzyną, które następnie kolejarze umieszczali w idących na front wagonach z sianem, słomą, paliwem płynnym, amunicją. Pożar wybuchał na trasie, gdzieś w okolicy Dyneburga.

Do organizatorów komórki należał Stanisław Kiałka-„Jelonek”. To on zapoznał się w Warszawie z konstrukcją butelek zapalających i zorganizował pracownię chemiczną do ich produkcji, którą prowadził chemik Kazimierz Chmielewski, a później przejęła ją Grupa Produkcyjna „Perkun” Zygmunta Sajdaka ps. „Feniks”⁷.

Wkrótce „Drobinka” uruchomił Egzekutywę złożoną z dwóch grup: wywiadowczej i wykonawczej. Ta pierwsza nazywana była grupą „Charty”, a jej pierwszym kierownikiem był Bolesław Rutkowski-„Baret”. Kierownikiem grupy wykonawczej był Wacław Zalewski-„Biały”. Z relacji B. Rutkowskiego i H. Kopczyka wynika, że skład osobowy tych grup był następujący:

Grupa „Charty”:

Bolesław Rutkowski-„Baret” – kierownik,

Mikołaj Matulewski-„Stefan”,

6. Henryk Kopczyk, „Wspomnienia z pracy w Egzekutywie”, mps, Poznań 1993 (arch. autora, sygn. R-125); Antoni Sanojca, Jadwiga Kijewska, „Schemat organizacyjny SZP-ZWZ-AK 1939-1945” (*Dzieje Najnowsze* nr 3/1980, s. 89-101, 153-163).

7. Stanisław Kiałka, „Ostra Brama”, mps, Wrocław 1973, s. 5 (arch. autora, sygn. R-101); Julian Kulikowski *op.cit.*, s. 7-10; Zygmunt Sajdak, „Grupa produkcyjna ‘Perkun’”, mps, Wrocław 1970 (arch. autora, sygn. P-134).

Edward Rutkowski-„Adam”,
Waleria Matulewska-„Mała”,
Wilhelm Cienowicz,
„Belfer”, nazwisko nieznane,
Henryk Kopczyk-„Warta” (przyszedł z grupy wykonaw-
czej).

Grupa wykonawcza

Wacław Zalewski-„Biały”, kierownik,
Sergiusz Zyndram-Kościakowski-„Lech”,
Kazimierz Rutkowski-„Kurzawa”,
Witold Milwid-„T-5”,
Jerzy Urbankiewicz-„Jurek” (od jesieni 1942 r.),
Stanisław Szyszkiewicz-„Czaruś” (przyszedł z grupy
„Charty”),
Jarosław Skrodzki-„Zeks”,
Henryk Kopczyk-„Warta” (tylko na początku, później w
grupie „Charty”⁸).

Z początkiem 1943 r., gdy wileńską „Bazę” rozwiązano V Odcinka „Wachlarza” przejęła Komenda Okręgu Wileńskiego AK (o czym jest mowa dalej), w zakresie jej działania znalazły się akcje sabotażowe wokół wileńskiego węzła kolejowego, prowadzone dotąd przez ludzi „Drobinki”. Dotychczasowa Komórka Dywersyjna i Egzekutywa były odąd faktycznie już tylko Egzekutywą⁹.

Prawdopodobnie w tym samym mniej więcej czasie Komenda Okręgu zaczęła korzystać ze współpracy Sergiusza Piaseckiego, autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”, postaci niesłychanie barwnej, o awanturnicznym charakterze i życiorysie. Był agent polskiego wywiadu, przemytnik i sprawca napadu z bronią w rękę, a więc ekspert od dywersji i „mokrej roboty”, stał się doradcą i instruktorem Egzekutywy oraz

8. Henryk Kopczyk *op. cit.*, s. 3; Bolesław Rutkowski, „Wspomnienia z pracy w Kedywie i BIP-ie”, mps, Bydgoszcz 1971 (arch. autora, sygn. R-94).

9. Bronisław Krzyżanowski, „Historia Oddziału ‘Baza’ Wileńskiego Okręgu AK” (*Wileński Przekaz* nr 7/19, Gdańsk 1992, s. 26).

organizatorem i uczestnikiem niektórych akcji, przybierając pseudonim „Kondor”. Będąc zdecydowanym antykomunistą, nie miał Piasecki najlepszego zdania o polityce wschodniej Armii Krajowej i formalnie do niej nie przystąpił.

Jedną z pierwszych akcji Egzekutywy była próba wykonania wyroku na Danucie Wyleżyńskiej. Zdumienie musi budzić fakt, że skazana za zdradę i współpracę z Gestapo pochodziła ze znanej i zasłużonej dla Wilna rodziny. Jej ojciec, Adam Wyleżyński, dyrektor Konserwatorium Muzycznego i dyrygent orkiestry symfonicznej, ceniony pedagog i działacz kultury, należał do tutejszej elity artystycznej i intelektualnej.

Działo się to zimą, w końcu 1942 lub na początku 1943 r. Udział w zamachu wzięli Henryk Kopczyk-„Warta” jako wykonawca, i „Belfer” o nieznanym nazwisku, jako ubezpieczający, który też przeprowadził uprzednio szczegółowy wywiad i rozpoznanie. Zamachowcy czekali na Wyleżyńską przy słupach dawnej rogatki miejskiej, gdzie Wielka Pohulanka przechodzi w Legionową. Do jadącej dość szybko jednokonnymi saniami strzelił „Warta”, lecz spudłował, więc „Belfer” strzelił drugi, też niecelnie, przy tym o mało nie postrzelił „Warty”. Akcja ta nie była dotąd znana, a opisał ją niedawno po raz pierwszy Henryk Kopczyk, jej uczestnik¹⁰.

Drugą, spektakularną akcją, było wykonanie w marcu 1943 r. wyroku na redaktorze *Gońca Codziennego* Czesławie Ancerewiczu. „Warta” przeprowadził rutynowy wywiad, w ramach którego miał sposobność rozmawiać w redakcji z samym Ancerewiczem. Dowiedział się, że zasadniczym motywem, dla którego podjął się on redagowania *Gońca*, była chęć odplacenia się bolszewikom za deportację w głąb Rosji żony i nieletniego syna. Jak wspomina „Warta”:

Ancerewicz mówił przekonująco i po tym, jak obserwowałem wywózkę moich przyjaciół Sołtyziewskich w 1941 r., prawie mu uwierzyłem i naprawdę pomyślałem, że wyrok na niego mógł być jakąś pomyłką. Było mi cholernie głupio. Zameldowałem o wszystkim Włodkowi Leśniewskiemu, ale ten powiedział, że jest rozkaz i trzeba Ancerewicza sprzątnąć (...). Prosiłem, żeby mnie do tego nie wyznaczał, ale nie zgodził się. Utargowałem, że nie będę

10. Henryk Kopczyk *op. cit.*, s. 3-4.

do Ancerewicza strzelał, a tylko będę ubezpieczał „Antka” (takie pseudo miał teraz Kościółkowski)¹¹.

Wyśledzono, że Ancerewicz po drodze z redakcji do domu przy ul. Wileńskiej w pobliżu Niemieckiej wstępował zawsze na krótko do kościoła św. Katarzyny. Tam, w kruchcie – zgodnie z planem ustalonym przez „Kondora” – wykonano wyrok. Strzelał „Lech” (czy – jak chce Kopczyk – „Antek”), współdziałał „T-5”, ubezpieczali zaś – od strony ulicy Żeligowskiego „Jurek”, od strony ulicy Niemieckiej „Warta”¹². Wspomina on, że po akcji wrócił do domu z uczuciem dużego niesmaku, bez przekonania, że ta śmierć była potrzebna. Wątpliwość taką można mieć i dziś, ponieważ likwidacja Ancerewicza nie dała praktycznie żadnego efektu. Zastąpił go nowy redaktor i *Goniec* wychodził nieprzerwanie aż do końca okupacji niemieckiej, i to w dużym nakładzie.

Po rozwiązaniu „Wachlarza”, aktywna i znaczna część kadry V Odcinka została przed Bożym Narodzeniem 1942 r. przekazana do dyspozycji Komendanta Okręgu Wileńskiego, „Wilka”. Dowódca V Odcinka, mjr Leon Koplewski-„Bezmian” został komendantem garnizonu miasta Wilna czyli „Dworu”, zmieniając pseudo na „Skarbek”. Wśród przekazanych ludzi „Wachlarza” znalazł się por. Adam Boryczka-„Brona”, cichoziemny. Przeszedł on pod rozkazy Komendanta Okręgu i pełnił początkowo funkcję kuriera do Warszawy¹³. „Baza”, kierowana sprawnie przez Bronisława Krzyżanowskiego-„Bałtruka”, kontynuowała swą dotychczasową działalność, zajmując się zdobywaniem broni, a także dywersją kolejową, z tą różnicą, że odpadło ograniczenie terenowe obowiązujące w „Wachlarzu”. Już 27 grudnia 1942 r. trójosobowy patrol dywersyjny dokonał cięcia torów kolejowych na linii Wilno-Kowno, teraz już po polskiej stronie granicy, niestety bez powodzenia¹⁴.

11. *Ditto*, s. 4.

12. Jerzy Urbankiewicz, „Kedyw-Egzekutywa” (*Zeszyty Historyczne Wina*, z. 1, s. 22-23); Henryk Kopczyk, *op. cit.*, s. 4.

13. Wincenty Borodziejewicz, „Szósta Wileńska Brygada AK”, Warszawa 1992, s. 268; Stanisław Steckiewicz, „Kedyw Komendy Okręgu Wileńskiego AK” (*Wileński Przekaz* nr 7/19, 1992, s. 12-15).

14. Cezary Chlebowski, „Wachlarz”, Warszawa 1985, s. 287; Bronisław Krzyżanowski, „Wileński matecznik”, Paryż 1979, s. 134.

Wobec wyczerpania się materiału wybuchowego pozostawionego przez „Wachlarz” i przy braku dostaw z centrali, ważnym i pilnym zadaniem stało się zdobywanie go własnymi siłami „Bazy”. Nieocenione okazało się współdziałanie z „Bazą” Eliasza Barana-„Edypa”, brygadzysty grupy Żydów zatrudnionych w niemieckich magazynach zdobyczy wojennych. Był Żydem nietypowym – miał wybitnie aryjskie rysy, blond włosy i niebieskie oczy, mówił nienaganną polszczyzną. Równie nietypowa była jego pełna zaangażowania współpraca z Armią Krajową. Z inicjatywy „Edypa” 13 lutego 1943 r. dokonano skutecznego włamania do jednego z bunkrów amunicyjnych w Beutesammelstelle Burbiszki. Łupem padło 123 kg trotylu, z których można było wyprodukować znaczną liczbę min dla potrzeb „Bazy” i ośrodków dywersyjnych w terenie.

Z akcji przeprowadzonych przed formalnym utworzeniem Kedywu można jeszcze wymienić kierowane przez „Bronę”, w przerwie między kolejnymi wyprawami do Warszawy, włamanie do stojącego na stacji towarowej w Wilnie *Bauzug*'u stanowiącego magazyn. Zdobyto mundury kolejarskie, które później dobrze służyły kurierom, ale także były wykorzystywane w różnych działaniach dywersyjnych na kolei.

W końcu marca 1943 r. „Brona” otrzymał zadanie zorganizowania w Okręgu Wileńskim Kedywu w miejsce dotychczasowej struktury organizacyjnej¹⁵. Zgodnie z zarządzeniem KG AK z 13 marca 1943 r.¹⁶ kierunki i zadania działalności bojowej Kedywu ujęte były w sześciu głównych tezach:

1. Dywersja na linie kolejowe, drogi, telekomunikację, przemysł wojenny, urzędy, magazyny wojskowe.

2. Sabotaż na kolejach, poczcie, w przemyśle wojennym, w administracji.

3. Terror w stosunku do Niemców, *Volksdeutsch*'ów i wszystkich współpracujących z okupantem; w szczególności atakować Gestapo, policję, SS, nie stosować jednak takich akcji wobec Wehrmachtu.

15. Bronisław Krzyżanowski, *op.cit.*, s. 143-154.

16. Zarządzenie KG AK nr 252 z 13 III 1943 cytowane przez J.J. Tereja „Na rozstajach dróg”, Warszawa 1980, s. 255.

4. Odwet za wysiedlanie, łapanki, egzekucje, represje.

5. Samoobrona polegająca na uwalnianiu aresztowanych przez akcje bojowe z zewnątrz na transporty, więzienia, obozy i miejsca straceń.

6. Partyzantka.

Zadania były więc bardzo szerokie i ambitne, a zasadniczym *novum* w stosunku do sytuacji dotychczasowej było podporządkowanie Kedywowi partyzantki. Do kompetencji Komendanta Okręgu należało planowanie tych zadań odpowiednio do specyficznych warunków wileńskich i dysponowanie ich realizacją w miarę posiadanych możliwości.

Nowo mianowany szef Kedywu przejął w całości dotychczasową komórkę „Drobinki”, ograniczoną praktycznie do Egzekutywy, otrzymał „Bazę” po rozwiązaniu „Wachlarza”, ponadto miały mu podlegać organizowane od początku 1943 r. oddziały i patrole dywersyjne (ODK), a następnie oddziały partyzanckie (OPK)¹⁷. Poza strukturą wileńskiego Kedywu pozostawały Ośrodki Dywersyjne (OD) tworzące siatkę terenową i podlegające inspektorom rejonowym.

O działaniach w terenie oddziałów i patroli dywersyjnych Kedywu brak jest danych w dostępnych źródłach. Jedyną informację o nich zawiera raport Komendy Okręgu Wileńskiego AK z 27 kwietnia 1943 r., będący sprawozdaniem za okres po rozwiązaniu „Wachlarza”, sygnowany przez KG AK numerem 915¹⁸.

Raport wymienia 8 oddziałów dywersyjnych i określa stan ich gotowości. I tak, stan gotowości „dobry” posiada tylko jeden oddział oznaczony jako ODK-1, czyli oddział działający w ramach „Bazy”. Dwa dalsze oddziały, na odcinku Wilno-Bieniakonie (ODK-6) i Nowa Wilejka-Podbrodzie (ODK-4) mają stan gotowości „niewystarczający”. Stan gotowości pozostałych pięciu oddziałów określono jako „żaden”. Jak się wydaje, oddziały te, z wyjątkiem jednego, to jest „Bazy”, nie wyszły poza wstępną fazę organizacji i w póź-

17. Adam Boryczka, Notatka z rozmowy 9 III 1987 (arch. autora, sygn. R-292).

18. Raport KO AK Wilno nr 915 z 27 IV 1943 dot. Kedywu (kserokopia w arch. autora, sygn. D-127).

niejszym okresie Komendant Okręgu zaniechał ich rozwijania, skupiając siły i środki na organizowaniu oddziałów partyzanckich, mogących skutecznie realizować zarówno zadania bojowe, jak i dywersyjne. Załączkami oddziałów partyzanckich, przysłanych brygad, stały się Ośrodki Dywersyjne (OD) w poszczególnych obwodach AK.

Raport mówi o oddziale partyzanckim OPK-22, pod którym to krytonimem kryje się zawiązek Oddziału „Kmicica” w rejonie świrskim. Dalej mowa jest jedynie o widokach na zorganizowanie dwóch dalszych oddziałów partyzanckich Kedywu: OPK-1 w Puszczy Rudnickiej i OPK-11 w Puszczy Nalibockiej. Doczeka się realizacji OPK-1 jako Oddział „Brony”-„Tońka”, nie jest natomiast zrozumiałe ulokowanie OPK-11 w Puszczy Nalibockiej, skoro leży ona w Okręgu Nowogródzkim. Oddział „Kmicica”, który działał od marca 1943 r. bez kontaktów organizacyjnych z kierownictwem Kedywu, przestał istnieć pół roku później, zlikwidowany podstępnie przez partyzantkę sowiecką.

Od maja 1943 r. „Baza” znacznie wzmogła akcje dywersyjne dla zdobycia uzbrojenia i materiałów wybuchowych. Z inicjatywy Andrzeja Świącickiego-„Frycza”, działającego w patrolach „Bazy” już od jesieni 1942 r., i przy niezawodnej pomocy „Edypa”, zaczęto „eksploatować” nowo założone niemieckie magazyny zdobyczy wojennej koło Jaszun. Położone w lesie, niedbale pilnowane przez litewskich strażników, stały się obiektem szeregu udanych włamań. Poczynając od 15 maja przez niemal rok „Frycz” przeprowadził 17 wypraw, zdobywając łącznie 4 tony bomb lotniczych (co dało tonę trotylu), kilkanaście tysięcy sztuk amunicji karabinowej i 7 tysięcy sztuk amunicji pistoletowej¹⁹. Z uzyskanego trotylu produkowano kostki na miny kolejowe. Produkcja odbywała się w zakonspirowanym lokalu zwanym „Pustelnią”, położonym naprzeciwko Grzegorzewa, po drugiej stronie Wilii. Była to druga tego rodzaju wytwórnia po Grupie Produkcyjnej „Perkun”. Pracowali w „Pustelni” dwaj chemicy – Jan Wojciechowski-„Kolarz” i Józef Szczerbiński-„Bąk”.

19. Andrzej Świącicki-„Frycz”, „Oddział terenowy Bazy Miód Kedywu Okręgu Wileńskiego” (*Wileński Przekaz* nr 7/19, 1992, s. 27-28).

Wyprodukowane ładunki używano do cięć szkoleniowych na podwileńskich liniach kolejowych, a także przekazywano je do innych oddziałów według rozdzielnika Komendy Okręgu, obejmującego zresztą i inną zdobycz, na ogół znacznie przekraczającą potrzeby własne „Bazy”²⁰. Instruktorami dywersji kolejowej przyjętymi na wiosnę przez „Bronę” byli dwaj oficerowie cichociemni: por. Jan Wiącek-„Kanarek” w kwietniu i por. Piotr Paweł Motylewicz-„Krzemień” w maju. „Krzemienia”, który przyszedł ze zlikwidowanego IV Odcinka „Wachlarza”, mianował „Bronę” swoim zastępcą. Już w końcu maja dowodzony przez niego patrol szkolny dokonał cięcia na linii Wilno-Dyneburg w okolicy Podbrodzia, powodując wykołowanie pociągu z amunicją artyleryjską²¹.

Z przyjściem „Brony” nastąpiło ożywienie Egzekutywy. Jak wynika z jego wypowiedzi, w maju dokonano likwidacji kilku osób skazanych przez Wojskowy Sąd Specjalny: 11 maja zlikwidowano Władysława Buzałłę, byłego starszego sierżanta 77 pp., pracującego najpierw dla NKWD, później dla Gestapo; 20 maja zastrzelono dwóch gestapowców na ulicy Zawalnej; 21 maja – policjanta litewskiego na ulicy Ludwisarskiej; 23 maja – agenta Saugumy na Antokolu²².

Były też akcje nieudane. W końcu maja, po raz drugi z kolei usiłowano zlikwidować Wyleżyńską. „Biały” i „Lech” strzelali do niej o 7 wieczorem, gdy wychodziła z koleżanką z kawiarni J. Hejbera przy ulicy Mickiewicza. Została tylko lekko ranna z winy zawilgoconej amunicji i byle jakich pistoletów, które wydobyli sami z ziemi czy innych kryjówek i doprowadzili we własnym zakresie do jako takiej używalności. Widziano ją następnego dnia na mieście z obandażowanym czołem, w towarzystwie matki²³.

Następną chybioną akcją był zamach na braci Niewiarowiczów, młodych ludzi z Litwy Kowieńskiej, pracujących dla Gestapo. Zamachowcy w osobach „Białego” i „Jurka” byli uzbrojeni w jeden pistolet 6 mm z urwanym pazurem, la-

20. Bronisław Krzyżanowski, „Historia Oddziału ‘Baza’...” *op.cit.* s. 33.

21. Wincenty Borodziewicz, *op.cit.*, s. 272, 275.

22. Adam Boryczka, *op.cit.*

23. Bolesław Rutkowski, *op.cit.*, s.1.

tarzę, która nie zawsze chciała świecić, oraz siekierkę. W akcji przeprowadzonej wieczorem w ciemnej sieni domu przy ulicy Szopena, gdzie bracia mieszkali, udało się tylko jednego z nich niegroźnie zranić.

„Brona”, zdegustowany ostatnimi niepowodzeniami Egzekutywy, postanowił sam wkroczyć do akcji. Za pierwszy cel ataku obrał Wyleżyńską, której sprawa przeciągała się zbyt długo. Po ustaleniu rozkładu dnia delikwentki, „Brona” w towarzystwie „Krzemienia” oczekiwał na nią 24 czerwca przy ulicy Wielkiej róg Sawicz. Do przechodzącej tędy o godzinie 13.30 strzelił „Brona”, raniąc ją tylko w twarz. Jako drugi usiłował strzelić „Krzemień”, lecz zaciął mu się pistolet. Wyleżyńska, której – jak widać – kule się nie imały, i tym razem uszła z życiem²⁵.

Dwa dni później, 26 czerwca, został zastrzelony na Karolinkach agent Gestapo Leon Kazimierz Kiełbowski. Wykonawcą wyroku, tym razem skutecznym, był znów „Brona”, a towarzyszyli mu dwaj doświadczeni ludzie „Bazy”: Jerzy Zahorski-„Fostowicz”, zastępca „Bałtruka”, i ppor. Henryk Mészczyski-„Podróżnik”, uczestnik wielu śmiałych akcji. Następnym agentem zlikwidowanym wkrótce po tym przez „Bronę” był niejaki Kotłow.

Po trzech nieudanych zamachach zakrawających na ponurą groteskę, udało się Wyleżyńską zgładzić za czwartym podejściem, a stało się to 7 lipca przed południem przy Ostrej Bramie. Wykonawcą był „Lech”, ubezpieczał „Jurek” od strony ulicy Bazyliańskiej. „Lech” strzelił do Wyleżyńskiej trzykrotnie z bliska, gdy wchodziła z matką do sieni domu przylegającego do Ostrej Bramy. Zamachowcy wycofali się szczęśliwie z miejsca akcji²⁶.

Dzień 7 lipca, mimo udanego zadziałania Egzekutywy, okazał się ostatecznie dla Kedywu dniem klęski. W dniu tym „Brona” i „Fostowicz” gościli w mieszkaniu „Podróżnika” przy ulicy Bankowej, gdy niespodziewanie zjawili się tam dwaj gestapowcy – Niemiec w mundurze i Litwin po cywil-

24. J. Urbankiewicz, *op.cit.*, s. 21-22.

25. Adam Boryczka, *op.cit.*

26. Jerzy Urbankiewicz, *op.cit.*, s. 19-21.

nemu. Podczas rewizji wykryli walizkę z bronią, a gdy Litwin wyszedł po pomoc, „Brona” zniemacka zaatakował Niemca, lecz w czasie szamotaniny został postrzelony w lewe płuco. Niemca ogłuszono, po czym „Fostowicz” i krwawiący „Brona” wybiegli na ulicę. Ucieczka udała się „Bronie”, „Fostowicz” został pojmany przez wracającego właśnie Litwina. Gospodarz mieszkania, „Podróżnik”, zdołał niepostrzeżenie wymknąć się wcześniej, opuszczając w krytycznym momencie kolegów.

Ciężko ranny „Brona” przebywał początkowo parę dni u znajomych na Zarzeczcu, gdzie otrzymał pierwszą pomoc lekarską, następnie ukrywał się dwa tygodnie w mieszkaniu „Kondora” przy ulicy Wiosennej. Tu przeszedł intensywne leczenie, po czym udał się na rekonwalescencję do majątku Kamionka koło Małych Solecznik²⁷.

Do czasu znalezienia na miejsce spalonego „Brony” nowego szefa, którym ze względu na wagę zadań musiał być doświadczony oficer zawodowy, Komenda Okręgu powierzyła pełnienie tych obowiązków z dniem 19 lipca „Bałtrukowi”, nie obciążając go jednak sprawami Egzekutywy. Pełnił je do pierwszych dni września, kierując przy tym nadal „Bazą”. Pomagał mu nowy zastępca Jan Nasutto-„Grad”²⁸.

Nominację na nowego szefa Kedywu otrzymał major artylerii Kazimierz Radzikowski-„Dąbek”, poprzednio inspektor broni i oficer operacyjny „Dworu”. Na tym ostatnim stanowisku odpowiadał za sprawy wyszkoleniowe i organizacyjne rejonów. Był także autorem planu opanowania w mieście, na wypadek „Burzy”, z góry wyznaczonych obiektów, jak dworzec kolejowy, poczta główna, elektrownia, stacja pomp, gmach Gestapo itp. Obowiązki zastępcy mjr. Radzikowskiego pełnił początkowo „Bałtruk”, zaś na początku grudnia 1943 r. został zwolniony z tej funkcji, a przejął ją kpt. Jan Bolesław Polak-„Kostek” (używający też przykrywkowego nazwiska Piotr Zielonkiewicz), dotychczasowy referent

27. Wincenty Borodziewicz, *op.cit.*, s. 269; Bronisław Krzyżanowski, „Wileński matecznik”, *op.cit.*, s.174-180; Stanisław Steckiewicz, *op.cit.*, s. 9-10.

28. Stanisław Steckiewicz, *op.cit.*, s. 9-10.

dywersyjno-sabotażowy Kedywu, a w latach trzydziestych podkomendny mjr. Radzikowski ze służby w 29 pal. Grodno.

„Dąbek” wspomina, że w chwili objęcia przez niego Kedywu, Egzekutywa stanowiła „luźno sformowaną komórkę, nie mającą zdecydowanego kierunku”. Świadczy to, niestety, o zaniedbaniach organizacyjnych ze strony Oddziału III sztabu KO, odpowiedzialnego za Egzekutywę. Dodajmy do tego zadziwiający fakt, że komórka ta nie była przez KO zaopatrywana w broń, podstawowe przecież narzędzie jej działania, lecz musiała zdobywać ją sama sobie. Jaki był tego efekt, widzieliśmy na przykładach akcji, które się nie powiodły z powodu braku porządnej broni.

Zastaną sytuację starał się naprawić „Dąbek”, dokonując zmian organizacyjnych i przesunięć osobowych. Utworzył dwie równorzędne komórki Egzekutywy, wyznaczając na kierownika jednej „Jurka” (Jerzego Urbankiewicza), na kierownika drugiej – „Zeksa” (Jarosława Skrodzkiego). Każda komórka składała się, jak za kadencji „Drobinki”, z dwóch sekcji – wywiadowczej i wykonawczej. Wyroki WSS otrzymane ze sztabu KO, przekazywał „Dąbek” jednej z dwu sekcji do wykonania²⁹.

Nie są dokładnie znane składy osobowe obydwu komórek, wiadomo jednak na pewno, że działali tam: „Adam”, „Biały”, „Czaruś”, „Kurzawa”, „T-5” oraz „Aktorka”-„Niura” (Hanka Skarżanka). Ubytki z Egzekutywy: „Baret” po zamachu na Ancerewicza przeszedł do BIP-u; „Warta” przeszedł do konspiracji we „Dworze”; „Drobinka” wycofał się chyba po nieudanej akcji przeciw Niewiarowiczom. Kierownikiem sekcji wywiadowczej u „Jurka” został „Adam”, nie wiemy natomiast, kto nią kierował u „Zeksa”.

Egzekutywa miała do odnotowania jeszcze szereg zamachów, udanych i nieudanych. Do udanych należało na przykład zastrzelenie na ulicy Stefana Artura Mauera, byłego policjanta, teraz prowadzącego biuro podań i pracującego dla Gestapo³⁰; do nieudanych – próba wykonania wyroku (jak

29. Kazimierz Radzikowski, „Relacja szefa Kedywu KO AK Wilno”, mps. b.m.r.w. s. 1-2 (arch. autora, sygn. R-72).

30. Marian Świącicki, „Życie na wulkanie”, Nowy Jork 1984, s. 62-63.

się później okazało – niesłusznego) na znanym bokserze Stanisławie Lendzinie³¹ na Karolinkach. Byli i tacy, którym udało się wymknąć z rąk sprawiedliwości, jak znani oprawcy – Cesnulis i Kelbšas.

Tymczasem „Brona” po odbyciu rekonwalescencji otrzymał zadanie zorganizowania w Puszczy Rudnickiej oddziału partyzanckiego Kedywu, którego głównym zadaniem było zniszczenie mostu kolejowego na rzece Ule (między Oranami i Marcinkańcami) na sygnał radiowy nadany z Londynu. Akcja ta nosiła kryptonim „Roma”.

Pod koniec sierpnia wyruszył w pole, jako załęczek oddziału, siedmioosobowy patrol dywersyjny Kedywu z Kolonii Wileńskiej, dowodzony przez Jerzego Tymana-„Jerrego”. Dołączył „Brona”, zabierając ze sobą z bazy trzech oficerów: „Krzemienia” (później używającego pseudonimu „Szczepcio”), „Kanarka” („Rakoczego”) i „Podróżnika” („Dziewica”).

Wkrótce „Brona” zaczął używać pseudonimu „Tońko”, jednak jego oddział był nadal notowany przez Komendę Okręgu jako oddział „Brony”. Świadczy o tym chociażby zachowany rozdzielnik materiałów zdobytych przez „Bazę” z 3 lutego 1944 r., w którym zapisano przydział dla „Brony” 15 kg sowieckiego trotylu³².

W końcu września 1943 r. oddział liczył 20 ludzi, w grudniu około 30 i wówczas została mu nadana nazwa „6 Brygada Partyzancka AK”. Z dniem 19 marca do oddziału „Brony”-„Tońka”, liczącego już 150 żołnierzy, przyłączono oddział „Błyskawica”. Dowódcą powiększonej 6 Brygady został mjr Franciszek Koprowski-„Konar”, zaś „Tońko” – jego zastępcą³³.

Należy zaznaczyć, że „Dąbek” jako szef Kedywu, oprócz sprawowania kierownictwa nad własnymi oddziałami party-

31. Roman Korab-Żebryk, „Oświadczenie w sprawie tragicznej śmierci Stanisława Lendzina ps. „Zwierz”, żołnierza 1 Brygady AK”; Wacław Sawicz, „Notatka z rozmowy 28 VI 1986” dot. Stanisława Lendzina i Anatolia Rymaszewskiego (arch. autora, sygn. D-276 i R-310).

32. Kserokopia rozdzielnika w archiwum autora, sygn. D-291.

33. Adam Boryczka, *op.cit.*; Stanisław Steckiewicz, „‘Roma’ – zamknięta akcja dywersyjna w Okręgu Wileńskim AK” (*Wileński Przekaz* nr 1/20, 1993, s. 2-9).

zanckimi (6 Brygada, później oddział „Frycza”), był z ramienia Komendy Okręgu Koordynatorem działań oddziałów podległych inspektorom terenowym (później dowódcom zgrupowań). Dokonał kilkakrotnie inspekcji 3 Brygady „Szczerbca” i 5 Brygady „Łupaszi”, a także towarzyszył zawsze „Wilkowi” przy odwiedzaniu innych brygad³⁴.

„Dąbek” objął Kedyw na początku września 1943 r., a już wkrótce miało miejsce wydarzenie, które wstrząsnęło polskim społeczeństwem Wilna. Oto 14 września wieczorem z wyroku WSS zastrzelono agenta Gestapo o nazwisku Łabuński (Labunskis); strzelał „Jurek”, ubezpieczał „Lech”. Już następnego dnia rano został zlikwidowany przez „Czarusia” i „Białego” następny funkcjonariusz Gestapo – Marian Padaba (pisownia nazwiska jak w oficjalnym niemieckim komunikacie, ogłoszonym 18 września w *Gońcu Codziennym*, a więc nie Podoba ani Podabas, jak chcą niektórzy³⁵).

Zastrzelenie Padaby wywołało niespodziewanie ostrą i tragiczną w skutkach reakcję Niemców. W nocy z 16 na 17 września aresztowano stu zakładników, z których dziesięciu rozstrzelano w godzinach rannych 17 września. Byli to:

1. Kazimierz Pelczar, prodziekan Wydziału Lekarskiego USB, profesor patologii ogólnej, wybitny onkolog;
2. Mieczysław Gutkowski, profesor skarbowości i prawa skarbowego na USB;
3. Mieczysław Engiel, adwokat, przewodniczący Stowarzyszenia Chrześcijańskich Związków Zawodowych, członek zarządu Akcji Katolickiej, wybitny i zasłużony działacz społeczny;
4. Kazimierz Antuszewicz, inżynier;

34. Kazimierz Radzikowski, *op.cit.*, s. 3-4.

35. Dość często spotykane twierdzenie, jakoby nazwiska litewskie (lub zlitewszczone) rodzaju męskiego musiały mieć końcówkę -as, -is, -ys lub -us, wynika z nieznamomości języka litewskiego. Twierdzeniu temu przeczą chociażby nazwiska takich znanych Litwinów, jak Antanas Smetona, Petras Cvirka, Kazys Škirpa, T. Venclova czy Mykolas Biržiška. Dotyczy to również nazwiska Padaba, które to nazwisko niektórzy autorzy usiłują uczynić „bardziej litewskim”, zmieniając je na Podabas. Wypada podkreślić, że Padaba nie był ani Białorusinem, ani Polakiem, lecz wileńskim Litwinem i przed wojną uczęszczał do litewskiego gimnazjum.

5. Eugeniusz Biłgorajski, kapitan, pracownik RKU Wilno;

6. Stanisław Gryniewicz, chemik;

7. Kazimierz Iwanowski, porucznik rezerwy;

8. Tadeusz Lothe, aktor;

9. Władysław Manrik, biuralista;

10. Aleksander Orłowski, robotnik³⁶.

Pozostałych zakładników, wśród których znaleźli się „Bałtruk”, „Podróżnik” i „Drobinka”, wywieziono do obozu w Prowieniszkach na Litwie. Po drodze zbiegł „Bałtruk”, „Podróżnik” uciekł z obozu, „Drobinka” został później zwolniony.

Żaden z zastrzelonych przez Egzekutywę nie był w Gestapo jakąś znaczącą figurą, przeciwnie – obaj należeli do setki im podobnych trybików zbrodniczej machiny. Mija się ze stanem faktycznym spotykane w niektórych opracowaniach twierdzenie, jakoby Padaba był kierownikiem sekcji czy referatu do spraw polskich. Sprawami polskimi zajmował się w Gestapo Wydział IV E, a jego kierownikiem, a równocześnie zastępcą szefa Gestapo, był Litwin Antanas Babravičius, i to on, a nie Padaba odpowiadał za działalność aparatu terroru skierowaną przeciw Polakom³⁷. Przetrwiał on na tym stanowisku cały i zdrowy do końca niemieckiej okupacji i bynajmniej nie złagodził – pod wpływem polskiej akcji – swej zbrodniczej działalności, wręcz przeciwnie, od tego czasu jeszcze ją wzmógł. Wśród wileńskiego społeczeństwa, wstrząśniętego nową niemiecką zbrodnią, pojawiało się coraz więcej głosów podważających sens zabicia Padaby za tak olbrzymią cenę. Kierownictwo Walki Podziemnej, zaniepokojone nieprzychylną reakcją Wilnian i pragnąc zachować twarz, ogłosiło w najbliższym numerze *Niepodległości* (nr 19 z 1 X 1943 r.) komunikat, w którym wyparło się wykonania wyroku na Padabie, podało natomiast, że zgładzili go sami Niemcy, ponieważ jako notoryczny pijak i awanturnik, a ponadto podejrzany o szukanie kontaktów z polskim podzie-

36. Bronisław Krzyżanowski, „Wileński matecznik”, *op.cit.*, s. 188-197; *Goniec Codzienny* z 18 IX 1943.

37. Witold Świerzewski, „Relacja II”, mps, Warszawa 1987, s. 16.

miem, stał się dla Niemców niewygodny i niebezpieczny; zabijając go, kamraci z Gestapo jakoby znaleźli jednocześnie pretekst do drakońskiego aktu terroru wobec Polaków. W komunikacie napisano między innymi:

Polskie Siły Zbrojne w Kraju walczą uczciwie, czego nie mogą zrozumieć zbrodniarze niemieccy i litewscy. Z wyjątkiem walk orężnych, Polacy nie zwykli zabijać nikogo bez wyroku, a wyrok na Padabę nie był wydany.

Że jednak wyrok był wydany, stwierdza w swych wspomnieniach sam Jerzy Urbankiewicz-„Jurek”, dowódca grupy Egzekutywy, której ludzie wyrok wykonali. Jak opowiada, w następstwie aresztowania i zamordowania zakładników, Egzekutywa otrzymała od „Dąbka” rozkaz zaniechania wykonywania wyroków, przerzuciła się więc na dywersję kolejową. Konieczne szkolenie minerskie prowadził por. Eugeniusz Chyliński-„Frez”, cichociemny, we wrześniu przydzielony przez KO do Kedywu wobec odejścia do lasu obydwu dotychczasowych instruktorów – „Kanarka” i „Krzemienia”. Po przeszkoleniu pięcioosobowa grupa Egzekutywy dowodzona przez „Jurka” przeprowadziła na wiosnę 1944 r. akcję dywersyjną na linii Wilno-Landwarów, zakładając na torach minę, na którą najechał niemiecki pociąg. Dowódca akcji wspomina o jej powodzeniu („był to wspaniały wojenny fajerwerk”), podczas gdy zachowana „Kronika Bazy” w zapisie z 26 marca stwierdza lakonicznie: „Wiadomość o nieudanym cięciu ‘Freza’ z Egzekutywą”³⁸.

Obok rozszerzenia działań Egzekutywy starał się „Dąbek” rozwinąć „Bazę” przez położenie większego nacisku na dywersję, nie zaniedbując przy tym spraw zaopatrzeniowych, skupionych głównie na wykradaniu materiałów z magazynów jasuńskich.

Dzięki napływowi nowych ludzi, „Baza” utworzyła wkrótce 10 kilkusobowych patroli dywersyjnych, których

38. Wykonanie wyroku na Padabie na rozkaz Komendy Okręgu opisuje Jerzy Urbankiewicz w książce „Szabla zardzewiała” (Warszawa 1991, s. 164-165). O przerzuceniu się Egzekutywy na dywersję kolejową mowa jest w opracowaniu „Kedyw-Egzekutywa” (*op.cit.* s. 31-32). Nieudane cięcie odnotowano w „Kronice Bazy” (IH PAN, sygn. A-337/66).

wspólnym zadaniem miało być unieruchomienie wileńskiego węzła kolejowego od Nowej Wilejki po Landwarów. Równocześnie zaniechano rozwijania patroli dywersyjnych Kedywu (ODK) na dalszym terenie, przekazując je ostatecznie pod koniec 1943 r. Ośrodkom Dywersyjnym (OD) podległym inspektorom rejonowym³⁹.

Prowadzone przez „Frycza” wyprawy jaszuckie przebiegały na ogół bez strat, aż 24 października doszło do tragicznego wydarzenia. Po udanym nocnym włamaniu, którego łupem padły 4 duże bomby, ludzie biorący udział w akcji rozjechali się i rozeszli w swoje strony. Sześćoosobowa grupa wileńska, w której był „Edyp”, jadąca rowerami, natknęła się w gęstej mgłę na litewski patrol policyjny. W krytycznej sytuacji współtowarzysze, nie próbując obrony, szybko się oddalili opuszczając „Edypa”, który sam jeden został aresztowany. Na domiar złego, miał w bagażniku pistolet. W śledztwie podał się za członka partyzantki sowieckiej, swoich związków z AK nie ujawnił i nikogo nie wydał – a wiedział dużo. Został rozstrzelany na Ponarach 4 listopada 1943 r. Jak się wyraził „Bałtruk”, jego śmierć była dla „Bazy” więcej niż stratą wybitnego człowieka – była stratą moralną⁴⁰.

Wypada dodać, że dla „Bazy” pracowało jeszcze kilku Żydów, zaangażowanych zresztą przez „Edypa”. Byli wśród nich dwaj bracia Gordonowie, robotnicy w niemieckich magazynach. Chcąc uniknąć zagłady w getcie uciekli do Puszczy Rudnickiej, lecz właśnie tu dosięgła ich śmierć: zginęli w szeregach sowieckiej partyzantki. Był jeszcze mechanik pracujący w garażach wileńskiego Gestapo – Ajzyk Brancowski o pseudonimie „Asfalt”. Dostarczał on dla Kedywu informacji o tym, co się dzieje w gmachu przy ulicy Ofiarnej, między innymi o losie więzionych tam Polaków. Współpraca z nim urwała się, gdy 6 sierpnia 1943 r. został wywieziony z większą grupą Żydów do Estonii⁴¹.

W styczniu 1944 r. został przyjęty do „Bazy” lekarz więzienia na Łukiszkach Szczepan Ławcewicz-„Koń”, Polak

39. Bronisław Krzyżanowski, „Historia Oddziału Bazy...”, *op.cit.*, s. 32.

40. *Ibidem*, s. 31.

41. Cezary Chlebowski, *op.cit.*, s. 250, 273, 290.

z Litwy Kowieńskiej, członek AK. Uzyskano cenny kontakt, którego nie omieszkało wykorzystać. Zaplanowano odbicie „Fostowicza”, którego „Koń” zabrał do szpitala więziennego. Tu symulował jakąś ostrą chorobę, która wymagała operacji w pobliskim szpitalu św. Jakuba. Akcję tę postanowiono przeprowadzić w czasie przenoszenia „Fostowicza”, zaplanowanego – staraniem „Konia” – na Wielki Piątek 7 kwietnia. Nieoczekiwanie, na dwa dni przed terminem, 5 kwietnia, został „Fostowicz” wywieziony z grupą więźniów i rozstrzelany na Ponarach⁴².

Sukcesem zakończyło się natomiast odbicie instruktora dywersji „Freza”, aresztowanego przypadkowo 19 kwietnia. Powtórzono z powodzeniem scenariusz przygotowany dla „Fostowicza”: symulacja ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego, przeniesienie „chorego” na operację do św. Jakuba. Akcję przeprowadzili bezbłędnie 16 maja „Jurek” i „Zeks” przy udziale „Bałtruka”.

Zaraz po odbiciu „Freza” został aresztowany „Koń”, a wkrótce po nim, 27 maja, „Puchała”. „Puchale” udało się brawurowa ucieczka z Gestapo w biały dzień. Mimo upadku z drugiego piętra przy próbie spuszczenia się po kablu elektrycznym i doznania ciężkich obrażeń, zdołał szczęśliwie oddalić się z miejsca upadku i schronić w znajomym mieszkaniu. „Koń” po ciężkim śledztwie został rozstrzelany 4 lipca, tuż przed rozpoczęciem walk o Wilno⁴³.

Z nastaniem wiosny 1944 r. rozwijał się żywiołowo ruch partyzancki. Kto żyw opuszczał Wilno i wyruszał do lasu. Szykowano się do bliskiej już, ostatecznej rozprawy z Niemcami. W połowie kwietnia „Dąbek” został odwołany ze stanowiska szefa Kedywu i mianowany szefem Oddziału IV (kwartmistrzowskiego) nowo powstałego Dowództwa Oddziałów AK w Polu. Formalnie zastąpił go „Kostek”, jednak „Dąbek” do momentu wyruszenia w teren, co nastąpiło 7 czerwca, zajmował się jeszcze sprawami zredukowanego w Wilnie do

42. Bronisław Krzyżanowski, „Historia Oddziału Bazy...”, *op.cit.*, s. 35.

43. Tadeusz Cywiński, „O tym jak zostałem aresztowany przez Gestapo i jak uciekłem”, rkps, Warszawa 1972 (arch. autora sygn. R-204).

minimum Kedywu. To on polecił „Jurkowi” i „Zeksowi” włączenie się do akcji odbicia „Freza”⁴⁴.

17 kwietnia wyruszył z Wilna w teren oddział „Frycza”. Otrzymał on w akcji „Roma” zadanie pomocnicze na korzyść 6 Brygady, polegające na dokonaniu we właściwym momencie cięć na linii kolejowej Wilno-Grodno w rejonie Rudziszek. W oddziale „Frycza” znalazł się także „Bałtruk”⁴⁵.

Egzekutywa przestała ostatecznie funkcjonować na przełomie maja i czerwca. „Jurek” został mianowany zastępcą dowódcy Oddziału Rozpoznawczego Komendy Okręgu (ORKO), zmieniając pseudonim na „Zawada”. Również pozostali członkowie obydwu komórek Egzekutywy znaleźli się w brygadach partyzanckich⁴⁶.

Na początku czerwca powstał w terenie Oddział Dyspozycyjny Kedywu, zwany też Plutonem „S”. Składał się on z ludzi wydzielonych z drużyn pionierów (saperów) różnych brygad. Przewidziany był do działań saperskich (niszczenie zasieków z drutów kolczastych, wysadzanie bunkrów i obiektów kolejowych) w ramach zaplanowanego uderzenia na Wilno, a tymczasem przechodził intensywne szkolenie, które prowadził przysłany z Wilna por. „Frez”. Dowódcą Oddziału Dyspozycyjnego liczącego około 70 żołnierzy był por. Florian Perepeczko-„Promień”, poprzednio zastępca dowódcy 9 Brygady „Małego”⁴⁷.

Tymczasem gdy na początku r. 1944 działalność Kedywu na terenie miasta uległa bardzo znacznemu ograniczeniu, KO postanowiła sformować miejski oddział dywersyjny podporządkowany komendantowi „Dworu”, mjr. „Skarbkowi”. Na organizatora i dowódcę oddziału, nazwanego umownie Małym Kedywem, bo obejmował wyłącznie miasto Wilno, wyznaczono rtm. Zygmunta Augustowskiego-„Huberta”, byłego kwatermistrza V Odcinka „Wachlarza”, podkomendnego „Bezmiana” czyli „Skarbka”. „Hubert”, który po rozwiązaniu

44. Kazimierz Radzikowski, *op.cit.*, s. 4.

45. Andrzej Święcicki-„Frycz”, *op.cit.*, s. 45.

46. Jerzy Urbankiewicz, *op.cit.*, s. 32.

47. Wiktor Sadowski, „Relacja o Oddziale Dyspozycyjnym Kedywu KO Wilno-„Plutonie S””, mps. Ruciane-Nida 1987 (arch. autora, sygn. P-184/2).

„Wachlarza” pozostał w terenie do końca 1943 r. jako dowódca Ośrodka Dywersyjnego Turmonty, wrócił do Wilna 6 stycznia 1944 r. i przystąpił do pracy organizacyjnej zmierzającej do uruchomienia dywersji w obrębie miasta. Egzekutywy nie odtwarzano.

W połowie kwietnia, w ramach prowadzonych przez KO zmian organizacyjnych wynikających z przygotowań do planu „Burza” i przyjęcia koncepcji samodzielnego opanowania Wilna przez AK w chwili zbliżania się frontu, przydzielone Małemu Kedywowi zadania zostały zasadniczo zmienione: zamiast wykonywania zwykłych zadań dywersyjnych, miał on włączyć się do działań bojowych wewnątrz miasta, wspomagając oddziały garnizonu. Wykonując nowe polecenie, „Hubert” zdołał do lipca zmontować oddział w sile trzech plutonów. Ich dowódcami zostali: ppor. Rydzewski-„Dzik”, ppor. Witold Tymiński-„Newada” i ppor. Jerzy Niesiołowski-„Susel”; kwatermistrem został ppor. Antoni Malewski-„Hrabia”⁴⁸.

Zbliżał się czas „Burzy” i walki o Wilno, której nadano kryptonim „Ostra Brama”. Po okresie intensywnych działań partyzanckich 6 Brygada i Oddział „Frycza” znalazły się w rejonie planowanej akcji „Roma”, prowadząc nasłuch radiowy. Ponieważ sygnał nie został ostatecznie nadany z powodu zaniechania akcji przez KG AK, 6 Brygada rozkazem do operacji „Ostra Brama” z dnia 3 lipca została skierowana pod Wilno i 7 lipca miała wziąć udział w natarciu w charakterze odwodu komendanta „Wilka”⁴⁹. Oddział „Frycza” znajdował się w tym czasie w rejonie Suderwy, prowadząc walki z cofającymi się oddziałami niemieckimi. Został włączony do Zgrupowania AK mjr. „Jaremy”. Do akcji bezpośredniej, mimo dobrego przygotowania technicznego, nie został użyty⁵⁰.

Oddział Małego Kedywu „Huberta” otrzymał w operacji „Ostra Brama” zadanie tyle śmiałe, co trudne do realizacji:

48. Zygmunt Augustowski, „Mały Kedyw, relacja”, mps. Warszawa 1978, (arch. autora, sygn. R-97/1a).

49. Z powodu zbyt późnego otrzymania rozkazu 6 Brygada spóźniła się pod Wilno i udziału w operacji nie wzięła.

50. Andrzej Święcicki, *op.cit.*, s. 46; Wiktor Sadowski, *op.cit.*

miał uderzyć na plac Katedralny i zniszczyć stanowisko artylerii w Cielętniku oraz opanować plac Orzeszkowej.

Pierwsze zadanie miał wykonać pluton dowodzony przez Rydzewskiego, lecz przed akcją został wykryty przez Niemców w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Skopówka; zginął dowódca i łącznik o pseudonimie „Motyl”.

Do wykonania drugiego zadania wyznaczono dwa pozostałe plutony, Tymińskiego i Niesiołowskiego, których jednak nie udało się w pełni zmobilizować, tak że w krytycznym dniu 7 lipca liczyły zaledwie około trzydziestu ludzi. Miejsce postoju plutonu Tymińskiego znajdowało się przy ulicy Żeligowskiego 5, w mieszkaniu jego ojca dr. Józefa Tymińskiego, naczelnego lekarza szpitala na Wilczej Łapie, obecnie członka AK. Tu również kwaterował „Hubert”. Niesiołowski ze swymi ludźmi miał lokal konspiracyjny gdzieś w pobliżu.

Gdy przejście w kierunku placu Orzeszkowej okazało się niemożliwe wobec silnego pokrycia ulicy Wileńskiej ogniem z Kasyna Garnizonowego, a później – wzmocnienia niemieckiej załogi przez desant spadochronowy, plutony obsadziły jeden z domów przy ulicy Wileńskiej z wyjściem na Jagiellońską i tu przebywały parę dni, aż do nadejścia czołówki wojsk sowieckich. Sukcesem bojowym żołnierzy plutonu ppor. Tymińskiego było zniszczenie w tym rejonie niemieckiego wozu pancernego za pomocą butelek zapalających.

„Hubert” rozmawiał z sowieckim majorem w sprawie współdziałania w walkach, jednak spotkał się z odmową, więc wycofał swoich ludzi do opuszczonego tymczasem przez Niemców budynku byłego Starostwa Grodzkiego, dawnego pałacu Oskierków, przy Żeligowskiego 4, sam zaś przedostał się do klasztoru benedyktynek, miejsca postoju dowództwa dzielnicy „D”. Zastał tam komendanta garnizonu „Skarbka” i zameldował mu o sytuacji swego oddziału, który nie miał możliwości czynnego włączenia się do walk. Uzyskał informację, że w sytuacji biernych uczestników wydarzeń znalazły się także inne oddziały miejskie AK z jedynym wyjątkiem dzielnicy Kalwaryjskiej, gdzie zaistniały szczególnie sprzyjające warunki wskutek wycofania się stamtąd wojsk niemieckich. Gdy 13 lipca walki w Wilnie ustały, „Hubert” pozostał w

mieście oczekując dalszych dyspozycji⁵¹.

„Kostek” przestał pełnić obowiązki szefa Kedywu i otrzymał nominację na komendanta kwatery polowej „Wilka”, zmieniając przy tym pseudonim na „Ostoja”. Dotychczasowy komendant, por. Kazimierz Druet, miał być dowódcą plutonu regulacji ruchu w pułku pancerno-motorowym, formowanym zgodnie z „umową” między „Generałem Wilkiem” a sowieckim generałem Czerniachowskim⁵².

Sytuacja uległa dramatycznej zmianie już 17 lipca, gdy dzięki owej „umowie” udało się bolszewikom bez jednego wystrzału rozbroić wielotysięczną wileńską Armię Krajową i uwięzić jej dowódców z „Wilkiem” na czele.

Nieliczni oficerowie, którzy nie zostali aresztowani, przystąpili do odtwarzania struktur niepodległościowego podziemia w warunkach kolejnej sowieckiej okupacji. Decyzją nowego, trzeciego z kolei, komendanta Okręgu Wileńskiego, ppłk. dypl. Juliana Kulikowskiego-„Ryngrafa”, w końcu sierpnia został reaktywowany Kedyw Komendy Okręgu, jak i Mały Kedyw, przy czym ten ostatni był odtąd nazywany Oddziałem Specjalnym „Dworu”. Dowódcą Kedywu KO został ponownie kpt. Polak, który wrócił do pseudonimu „Kostek”, dowództwo nad Oddziałem Specjalnym sprawował „Hubert”. Komórka dywersyjna Kedywu KO zachowała nazwę „Baza”, z tym że zasięgiem swej działalności miała objąć teren Wileńszczyzny poza Wilnem.

Oddział Specjalny poza zadaniem głównym, jakim było wykonywanie wyroków, pełnił jeszcze funkcje ochronne na rzecz innych komórek organizacyjnych, zajmując się na przykład ubezpieczaniem przetrzutu materiałów i broni na zlecenie komórki kwatermistrzowskiej. W ramach takiego działania wykradzono z drukarni archidiecezjalnej maszynę drukarską typu „bostonka” i dostarczono ją do zakonspirowanego lokalu BIP.

51. Zygmunt Augustowski, *op.cit.*

52. Akta sądowe KGB LSSR z maja 1945 w sprawie J. Kulikowskiego, S. Heilmana, A. Kokocińskiego i innych, sygn. SD nr 2595, arch. nr 9269/3 (Archiwum Centrum Dokumentacji Ludobójstwa, Wilno); Zbigniew Brodzikowski, Franciszek Koprowski, „Odtwarzanie Sił Zbrojnych. Obsada personalna dowództwa i sztabu Wileńskiego Korpusu AK oraz jednostek podległych, lipiec 1944”, mps, Warszawa 1965 (arch. autora, sygn. P-16/3).

Oddział Specjalny liczył kilkanaście osób, spośród których znani są z nazwisk i pseudonimów: Antoni Adamkiewicz-„Longis”, dowódca grupy wykonawczej; Waldemar Butkiewicz-„Rolandzik”, „Waldek”; Leon Wajcht-„Bicz”; Witold Wałuto-„Robert”, Czesław Sławiński-„Wróbel”. Z pseudonimów znani są: „Feliński”, „Głos”, „Biały”, „Czarny”, „Strażak”. Łączniczkami były: Anna i Zofia Jasiukiewiczówny, Eugenia Luftowa i Irena Pelikan.

Jesienią 1944 r. „Skarbek” przestał pełnić funkcję szefa „Dworu” i został mianowany inspektorem nowo utworzonego Inspektoratu „AF” w miejsce dwóch Inspektoratów „A” i „F”. Szefem „Dworu” został mjr Władysław Zarzycki-„Rojan”⁵³.

Rozkazy wykonania wyroków otrzymane z Komendy Okręgu przekazywał „Hubert” dowódcy grupy wykonawczej „Longisowi”. Wśród osób skazanych przez WSS byli zarówno funkcjonariusze NKWD, jak i Polacy uznani przez kierownictwo Walki Podziemnej za zdrajców wysługujących się sowieckim okupantom, szkodliwych dla sprawy polskiej. Za takich uważano między innymi członków kierownictwa i aktywistów czynnego wówczas w Wilnie Związku Patriotów Polskich. Dla ich zwalczania zarządził „Ryngraf” akcję o kryptonimie „Modrzew”⁵⁴.

Znane są dwa przypadki zlikwidowania działaczy ZPP w ramach tej akcji: poety Teodora Bujnickiego i lekarza Stanisława Wiśniewskiego. O Bujnickim pisałem szerzej w innym miejscu, tu przypomnę tylko, że ciążył na nim wyrok wydany jeszcze w roku 1941, w okresie drugiej sowieckiej okupacji. W roku 1944, po powrocie do Wilna ze Świącian, gdzie ukrywał się podczas okupacji niemieckiej, stał się Bujnicki aktywnym działaczem ZPP, tak więc do jego starych grzechów doszedł nowy. To zdecydowało o wykonaniu wyroku. Zastrzelony został 28 listopada 1944 roku w mieszkaniu przy

53. Akta sądowe KGB LSSR z maja 1945 w sprawie W. Zarzyckiego, W. Roszkowskiego i L. Koplewskiego, sygn. SD nr 161, arch. nr 22490/3 (ACDL Wilno).

54. Zygmunt Augustowski, „Notatka z rozmowy 7 III 1996”, mps arch. autora, sygn. R-97/3); Witold Wałuto, „Relacja i życiorys”, mps, Warszawa 1991 (arch. autora, sygn. R-294).

ulicy Podgórznej 5, na oczach żony. Wykonawcą był Waldemar Butkiewicz-„Rolandzik”, któremu towarzyszył „Strażak” o nieustalonym nazwisku. Sprawa Teodora Bujnickiego była od samego początku i jest nadal wielce kontrowersyjna.

O doktorze Stanisławie Wiśniewskim, pediatrze, wiadomo tylko tyle, że należał do działaczy wileńskiego oddziału ZPP, i że został zastrzelony z wyroku podziemia, nie ma natomiast danych o nim samym, o jego działalności i okolicznościach wykonania wyroku⁵⁵.

Brak jest również wiarygodnych informacji o dalszych wyrokach wykonanych na polskich konfidentach NKWD, jak i na członkach sowieckiej służby bezpieczeństwa, wiadomo tylko, że miały one miejsce. Działania te nie mogły, rzecz oczywista, uchronić polskiego podziemia przed sowiecką inwigilacją, a w konsekwencji – przed rozbiciem. Już wczesną jesienią rozpoczęły się aresztowania członków kierownictwa AK i Delegatury, a ich największe nasilenie przypadło na miesiące zimowe 1944/1945. Z osób, o których była mowa, aresztowano kolejno: 20 grudnia – komendanta „Dworu” mjr. Władysława Zarzyckiego-„Rojana” i inspektora „AF” mjr. Leona Koplewskiego-„Skarbka”; 28 grudnia – szefa Kedywu kpt. Jana Polaka-„Kostka”; 12 stycznia – komendanta Okręgu Wileńskiego ppłk. Juliana Kulikowskiego-„Ryngrafa”; w styczniu kapr. Antoniego Adamkiewicza-„Longisa”⁵⁶.

„Kostek” wpadł w ręce NKWD zanim zdążył skompletować „Bazę” i uruchomić działalność dywersyjną; aresztowanie „Longisa” sparaliżowało Oddział Specjalny. Wobec zagrożenia pełną dekonspiracją i dalszymi aresztowaniami, zarówno Kedyw Komendy Okręgu, jak i Oddział Specjalny „Dworu” zaprzestały swej działalności⁵⁷. Zbiegło się to w czasie z rozwiązaniem Armii Krajowej: 19 stycznia 1945 r. rozkaz o rozwiązaniu wydał Dowódca AK gen. Leopold

55. Akta sądowe KGB LSSR, sygn. SD nr 2595, arch. nr 9269/3, *op.cit.*

56. Akta sądowe KGB LSSR sygn. SD nr 2595, arch. nr 9269/3 i SD nr 161, arch. nr 22490/3, *op.cit.*

57. Zygmunt Augustowski, „Notatka z rozmowy...”, *op.cit.*

Okulicki-„Niedźwiadek”, a miesiąc później, 18 lutego, rozkaz wykonawczy dla Okręgu Wileńskiego – mjr dypl. Stanisław Heilman-„Tomasz”, „Wileńczyk”, następca „Ryngra”⁵⁸.

Po formalnym rozwiązaniu AK na Wileńszczyźnie, w okresie likwidacyjnym, członkowie Oddziału Specjalnego włączyli się pod kierownictwem „Huberta” do akcji pomocy spalonym ludziom podziemia. Zajęli się organizowaniem kwater i zaopatrywaniem w lewe dokumenty sporządzone przez czynną nadal komórkę legalizacyjną AK. Dla ułatwienia ewakuacji osób zmuszonych do opuszczenia Wilna, na polecenie „Huberta”, Leon Wajcht-„Bicz” zatrudnił się u Pełnomocnika PKWN do spraw Ewakuacji w charakterze kierownika pociągu⁵⁹. Ponieważ pracował już tam jako kierownik Wydziału Transportu por. Franciszek Stal- „Chabina” z OD Ignalino, także wtyczka AK, przerzut akowców do Polski centralnej przebiegał sprawnie i na ogół bez wpadek⁶⁰. Na połowę kwietnia 1945 r. Witold Wałuto-„Robert” przygotował organizacyjnie wyjazd grupy ludzi z kierownictwa podziemia. W grupie tej znalazł się on sam oraz „Hubert”⁶¹.

Białystok stał się pierwszym miejscem postoju „Huberta” i jego ludzi po wyjeździe z Wilna. Tu doszło 10 maja 1945 r. do ostatniego w historii wileńskiego Kedywu wykonania wyroku. Chodziło tym razem o funkcjonariusza UB pochodzącego z Wilna, byłego akowca, niebezpiecznego ze względu na znajomość członków wileńskiej konspiracji, między innymi „Huberta”. Wykonawcą wyroku był znów „Rolandzik”, ubezpieczał go „Jadzin” (Stanisław Szostak). Delikwenta zastrzelił na ulicy, naprzeciwko Urzędu Wojewódzkiego, w samo południe. Podczas ucieczki z miejsca zamachu „Rolandzik” został zastrzelony przez sowiecki patrol, który przechodził przypadkowo w pobliżu. „Jadzinowi” udało się ująć cało⁶².

58. Materiały dot. sytuacji w Wilnie 1944-1945, Dz. Rkp.B.UW, materiały nie skatalogowane.

59. Witold Wałuto, *op.cit.*

60. Franciszek Stal, „Wspomnienia II” (arch. autora, sygn. R-283).

61. Witold Wałuto, *op.cit.*

62. Stanisław Szostak, „Relacja” (arch. autora, sygn. R-06).

W lipcu, na polecenie ostatniego komendanta Okręgu Wileńskiego w likwidacji, mjra dypl. Antoniego Olechnowicza-„Krzysztofa” przebywającego od czerwca w Polsce centralnej („Tomasz”, jego poprzednik, został aresztowany w kwietniu), „Hubert” i „Robert” udali się jako kurierzy do Wilna. Zawieźli rozkazy dla szefa Komendy Okręgu, mjr. Wincentego Chrząszczewskiego-„Kruka”, dokonującego ostatnich czynności likwidacyjnych⁶³. Zadania tego nie zdążył doprowadzić do końca – 18 lipca wpadł w ręce wszechobecnego NKWD⁶⁴.

Po powrocie z Wilna „Hubert” zamieszkał na Wybrzeżu, gdzie włączył się do działalności podziemnej organizacji niepodległościowej, skupiającej byłych członków Okręgu Wileńskiego AK, nazwanej później Ośrodkiem Mobilizacyjnym Okręgu Wileńskiego AK (OMOWAK). Ale to już inna historia.

12 VII 1996

Longin TOMASZEWSKI

63. Witold Wałuto, *op.cit.*

64. L. Tomaszewski, „Wincenty Chrząszczewski”, w: „Słownik Polski Walczącej na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej”, Bydgoszcz 1995, s. 126-129.

WSPOMNIENIA

Romuald CZYŻEWSKI

OBÓZ PRACY „DORA”

Romuald Czyżewski, urodzony w 1918 r. w Warszawie. W czasie okupacji brał udział w pracach konspiracyjnych: nasłuch radiowy dla *Biuletynu Informacyjnego*, kolportaż prasy podziemnej. W powstaniu był wyznaczony na placówkę na Ochocie, aresztowany przez Niemców 12 sierpnia był w obozie w Buchenwaldzie a potem przeniesiony do Dory. Po uwolnieniu prowadził pracę kulturalno-oświatową na terenie polskich obozów D.P. w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Emigrował potem do Stanów Zjednoczonych gdzie pracował w Chicago jako kreślarz i narzędziowiec. Obecnie na emeryturze. Zamieszczony opis pobytu w obozie Dora jest fragmentem jego pamiętników obejmujących okres 1938-1945.



Plac apelowy w Buchenwaldzie, 30 września 1944 rok.

Wystąpiłem z szeregu. Kapo końcem trzymanej w rękę pałki, popchnął mnie w kierunku ustawionej z boku kolumny transportu do Dory.

Po zabranii z baraku koca i miski, przeszliśmy dezynfekcję w parówce i łaźni, po czym, po raporcie przy bramie, wymaszerowaliśmy z Buchenwaldu. Było nas ok. 600.

Różne myśli kłębiły mi się w głowie. Przeważał niepokój i pytanie: Czyż tam może być gorzej, jak tutaj? Chyba to jest

niemożliwe. Jedno było pewne, że tam będę znowu tym najpodlejszym gatunkiem więźnia – *zugangiem*.

Na rampie długo czekaliśmy na pociąg. Nadszedł wreszcie. Załadowali nas do węglarek i ruszyliśmy na północ. Droga do Dory zajęła dużo czasu, bo często stawaliśmy na małych stacyjkach lub w polu. Pod wieczór wyładowano nas na pustej rampie wśród lasu, skąd pomaszerowaliśmy bitą drogą przez las i pola. Doszliśmy do zabudowań ogrodzonych naelektryzowanym drutem. Za bramą stanęliśmy przed wysokim budynkiem z pruskiego muru (ścianę stanowi drewniany szkielet wypełniony murem z cegieł). Ustawieni w długich szeregach, po przeliczeniu nas przez jednego z konwojentów, czekamy.

Achtung! Mützen ab! Zjawili się dwaj oficerowie SS. Po meldunku i sprawdzeniu liczenia, jeden z nich rozpoczął przemowę.

Trwała ona długo, ponieważ każde zdanie było tłumaczone na rosyjski, polski i francuski (funkcjnisi tłumacze przyszłi z budynku, przed którym staliśmy).

Sens przemowy był taki:

Jesteście w obozie pracy Dora-Mittelbau, komando Ellrich. Spotyka was zaszczyt służenia Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Pracą waszą przyczynicie się do osiągnięcia wspaniałej przyszłości dla Niemiec i innych narodów. Aby dojść do tego celu, wasz wysiłek w pracy musicie wyczerpać do najwyższych granic. Opieszałość i każde zaniedbanie tego obowiązku będzie uważane za zdradę i surowo karane.

Potem podzielono nas na dwie części. Jedna część pomaszerowała dalej, druga, w której byłem, weszła do budynku.

Znalazłem się w ogromnej, pustej hali. Betonowa podłoga, okna wysoko pod dachem.

Jak się później dowiedziałem, była tu kiedyś fabryka gipsu. Pozostały same mury. Budynek nie posiadał żadnych urządzeń sanitarnych, dopływu wody ani światła. Latryną była prowizoryczna buda pod ścianą, na zewnątrz. Oświetleniem były lampy karbidowe. Doprowadzona w skąpych ilościach woda, zimą zamarzała.

Za tym budynkiem stało kilka baraków, w których więźniowie mieli przynajmniej prycze do spania i latryny.

Ustawieni w szeregi wysłuchaliśmy teraz przemówienia blokowego. Był to wysoki Niemiec, lat ok. 30, z czarnym trójkątem. W ręku trzymał calowej grubości gumową pałkę, której jedno uderzenie mogło zabić.

Domyślaliśmy się, że mówił o obowiązujących tutaj rygorach i przedstawił porządek dnia. Jak później poznałem wyglądał on następująco: Po powrocie z pracy odbieramy naszą porcję żywności, po zjedzeniu której, należy spod ściany gdzie są ułożone sienniki i koce, zabrać koc i jeden siennik na dwóch, po czym ułożyć jeden przy drugim na podłodze, i spać. Na głos pobudki – *Aufstehen*, należy ułożyć sienniki pod ścianą, oraz obok, złożone równo koce, następnie odebrać kawę. Po kawie jest apel przed budynkiem i wymarsz do pracy.

Po przemówieniu blokowego, towarzyszący mu pomocnik-sztubowy, popędził nas w kierunku kotłów, gdzie czekała na nas zimna zupa i kawałki chleba. Wrzaskiem i uderzeniami pałki wyrównywał tworzące się kolejki.

Odchodząc ze swoją porcją od kotła zobaczyłem, że wszystkie sienniki zostały już zabrane spod ściany i zajęte. Okazało się, że sienników było za mało, nawet przy podziale jednego na dwóch ludzi.

Siennikiem był worek, do połowy wypełniony wiórami drzewnymi, które zbijały się w nierówne, twarde węzły. Nie było to wygodne pośłanie i z trudem mieściło się na nim dwóch ludzi, ale zawsze lepsze, niż goły beton.

Przykucnąłem pod ścianą, żeby zjeść swoją porcję. Zupą była taka sama gorzka woda z pływającymi w niej kawałkami liści, jak w Buchenwaldzie. Chleba, nie wiem czy było 20 dag (7 uncji).

Owinięty podwójnie złożonym kocem położyłem się na podłodze. Odwrócona do góry dnem miska służyła mi za poduszkę. Pomimo niewygody natychmiast usnąłem.

Z głębokiego snu wyrwał mnie nagle okrzyk *Aufstehen!* Była czwarta godzina rano. Z trudnością poruszałem obolałymi mięśniami.

Z miejsca przekonałem się o panujących tutaj regułach. Ciągły pośpiech i ciągle towarzyszące mu bicie było normalnym trybem tutejszego bytu. Bicie i krzyk było obowiązującym

jącym sposobem komunikacji władzy z więźniem.

Po złożeniu sienników i kocy pod ścianą ustawiliśmy się w kolejce po kawę. Należało ją szybko wypić i wybiegać na dwór. Stojący przy drzwiach blokowy liczył nas pomagając sobie pałką. Wolno było iść wtedy do latryny. Została natychmiast oblężona tłumem potrzebujących. Nie było mowy o myciu; nie było na to ani miejsca, ani czasu. Miszkę ukryłem pod bluzą.

Po chwili nadeszła kolumna mieszkańców baraków. Okrzyk blokowego przywołał wszystkich naszych, z latryny, chociaż tylko część zdążyła z niej skorzystać.

Odbył się apel z obliczeniem i meldunkiem. Było nas wtedy na placu apelowym 4000 ludzi, połowa całego stanu komanda Ellrich. Druga połowa pracowała w tym czasie w tunelu, na nocnej zmianie.

Zjawiała się eskorta. Broń gotowa do strzału, psy na smyczach. Szybkim marszem, prawie biegiem, wyszliśmy za bramę do rampy kolejowej gdzie czekały na nas odkryte wagony.

Nastąpiło ładowanie. Istne piekło. Wrzaski SS-manów i kapo, wściekłe ujadania psów mieszały się z okrzykami bólu bitych kolbami i pałkami, kąsanymi przez psy, które wyrwały strzępy ubrania i raniły nogi więźniów. Wszystko w szalonym pośpiechu. Bili kogo popadło, ale najczęściej dostawało się tym najsłabszym, którzy nie mogli nadążyć za innymi i trudno im było wspiąć się na wysoką platformę.

Po przejechaniu 7 km, w pobliżu wylotu tunelu, wyładowanie. Ustawione szeregi zostają ponownie przeliczone, po czym następuje podział na mniejsze lub większe grupy robocze.

W tym czasie z tunelu wychodzi nocna zmiana. Ustawiają się naprzeciw nas. Na końcu idą muzulmanie i chorzy; niosą zwłoki tych, którzy zakończyli przy pracy swoje życie. Na pół umarli niosą umarłych; układają ich na ziemi przy końcu szeregów.

Prowadzeni przez kapo i *forarbeiterów* (przodownicy grupy roboczej) wchodzimy do tunelu. Ogarnia nas wilgotny chłód. W miarę posuwania się wгłęb, powietrze staje się coraz bardziej przesycone drażniącą nos, gardło i oczy, substancją.

Skręcamy do bocznej sztolni, na przodzie której mamy uprzętać teren po odstrzale, przed dalszym wierceniem ściany. Tutaj pył skalny jest zmieszany z dymem spalonego w wybuchu trotylu. Leżą pozostawione dla nas łopaty i oskardy.

Zaczynam odrzucać łopatą gruz i kamienie spod ściany na środek, skąd buldożer zgarnia je na szufłę, wywozi w kierunku tunelu i wysypuje do wagonów.

Swoją miskę ukryłem w szczelinie między kamieniami, ale później spostrzegłem, że niektórzy mają swoje miski jakoś przytwierdzone pod bluzą. Teraz zrozumiałem po co moja miska ma przy brzegu wywierconą małą dziurkę. To poprzedni jej właściciel ją wywiercił. Wśród kamieni przewracały się kawałki cienkiego drutu, resztki przewodników od ładunków. Takim drutem przymocowałem miskę pod bluzą. Robiłem to ukradkiem w ciągu krótkich chwil wolnych od obserwacji.

Obolałe ciało przypominało mi noc spędzoną na betonie i głód coraz bardziej skręcał mi wewnątrz. Czas dłużył się straszliwie. Staram się oszczędzać siły, niewiele nabierając na łopatę, tylko wciąż mam napiętą uwagę i kątem oka obserwuję, czy nie nadchodzi SS-man lub jakiś jego pomocnik. To odciąża moje myśli od głodu, ale trudno jest o nim zapomnieć. Pracuję przez długie godziny wciąż myśląc, że to już chyba zaraz będzie koniec dnia.

Przyszli *forarbeiter* i kapo. Przez chwilę obserwowali nas po kolei, po czym wybrali ok. 10 i zabrali ich ze sobą. Powrócili niosąc pneumatyczne wiertarki, wiertła i przyciągnęli węże sprężonego powietrza. Przybyły z nimi cywilny Niemiec (*minier*), wyznaczył miejsca gdzie mają być wiercone dziury, podłączył węże do wiertarek i pokazał jak je obsługiwać.

Pneumatyczne wiertarki są to bardzo ciężkie narzędzia, podobne do pneumatycznych młotów używanych do rozbijania betonu i asfaltu na ulicach. Samo utrzymanie tego narzędzia w ręku wymaga dużej siły, a co mówić o utrzymaniu go w ruchu. Silnym wstrząsam towarzyszy okropny hałas. Wewnątrz wiertła jest mały otwór, przez który w czasie wiercenia powietrze wydmuchuje pył (inaczej nastąpiłoby zatkanie) wprost na pracującego.

Dziury są wiercone na różnych wysokościach. Im wyżej,

tym trudniej je wiercić. Przy wierceniu wysoko położonych dziur trzeba trzymać wiertło ponad głową. Wkrótce pył okrywa twarz, ubranie wiertacza i coraz gęściej wypełnia powietrze dokoła.

Wdychane powietrze przyprawia o mdłości i zawrót głowy. Jest tym gorsze, że więźniowie, którzy rano nie zdążyli w obozie dostać się do latryny, teraz ukradkiem załatwiali się w ciemnych zakamarkach komory (za co, w razie przyłapania groziła im kara chłosty, 25 razów).

Z wysiłkiem poruszam mięśniami przerzucając łopatą kamienie. Dzień wydaje się trwać wiecznie. Nagle, ponad hałas pracujących koło mnie wiertarek przebija się straszny huk. Był to odstrzał nowej ściany w sąsiedniej komorze. Wybuch był tak silny, iż zdawało się, że góra się na nas wali. Od wstrząsu spadały luźne odłamy skały i gruz sypał się na głowy. Powietrze zgęstniało jeszcze bardziej, dotarł do nas swąd spalonego trotylu. Tych, którzy ze strachu porzucili pracę, razy pałek przywróciły do porządku.

Teraz zrozumiałem skąd było tylu zabitych i rannych towarzyszących nocnej zmianie wychodzącej rano z tunelu. Byli to nie tylko zakatowani przez oprawców, ale i ofiary spadających skał.

Śmierć więźnia nie miała żadnego znaczenia; nowy *zgang* przychodził na jego miejsce.

Czuję się coraz słabszy. Kiedy już wydawało mi się, że za chwilę padnę, kazano nam wreszcie porzucić narzędzia i wychodzić. Po ustawieniu w tunelu, wyszliśmy na zewnątrz. Zacząłem powoli, głęboko oddychać. Otrzeźwiałem trochę, tylko hałas wiertarek jak karabin maszynowy wstrząsał moim mózgiem jeszcze przez długie godziny.

Ustawiliśmy się na placu przed wejściem do tunelu, gdzie teraz weszła nocna zmiana. Wciąż jeszcze wychodzili stamtąd muzułmanie i wynoszono zabitych i ciężko rannych. Rozpoczęło się chaotyczne liczenie obecnych, początkowo bez udziału SS-manów. Pilnowały nas tylko rozstawione dokoła strażę konwojentów z psami. Liczyli nas *szrajberzy* (pisarze) z pomocą kapo, którzy bezustannie bijąc kogo popadło, ustawiali szeregi.

Tuż koło tunelu był barak wartowni. Dochodziły

stamtąd okrzyki i jęki bitych ludzi. Była to chłosta wyznaczona za przewinienia w czasie pracy (np. powolność). Ich numery zapisywali kapowie albo *forarbeiterzy* a często też cywilni majstrowie. Tutaj karano tylko za drobne przewinienia; poważniejsze były karane na wieczornym apelu w obozie.

Jak się później przekonałem kara chłosty była stosowana regulaminowo. Bez niej, nie mógł się obejść żaden apel po pracy. Najłagodniejszym wymiarem było 10 razów, ale rzadko stosowanym, bo przeważnie wyznaczano więcej. Wymierzanych było nawet po 120 razów, których żaden więzień nie przeżył. Biło wtedy kilku SS-manów albo kapo, na zmianę. Bito drewnianym kijem, albo gumowym kablem ze zwojami drutu w środku. Za próbę ucieczki lub sabotaż wtrącano najpierw do bunkra na kilkudniowe tortury, po czym wieszano. Tego rodzaju przestępstwo musiało być meldowane w centrali i stamtąd przychodziło zatwierdzenie wyroku śmierci. Tysiące innych, popełnianych na terenie obozu morderstw, było meldowane jako śmierć naturalna.

Teraz zrozumiałem co znaczyły spojrzenia i milczenie starych więźniów Buchenwaldu na wspomnienie Dory i przypomniałem sobie słowa Witolda: Dora... to śmierć.

Liczenie i czekanie na wymarsz trwało ok. dwóch godzin (często bywa dłuższe). Kiedy doliczyli się wreszcie, po sprawdzeniu wszystkiego i meldunkach, ruszyliśmy do wagonów. Na ostatnią platformę zostały rzucone zwłoki zmarłych.

W obozie odbył się apel wieczorny całej dziennej zmiany. Było znowu czekanie i liczenie, i dalej czekanie, i znowu liczenie. Wydawało się, że nie będzie temu końca. Wreszcie, po jakichś trzech godzinach weszliśmy do budynku. Stojąc na apelu zastanawiałem się co mogę zrobić, żeby znowu nie spędzić nocy na betonie. Jeśli zaraz po wejściu zdobęde siennik i koc, to nie mogę iść po jedzenie. Jeśli pójdę najpierw po jedzenie, to nie będzie już dla mnie siennika ani koca. Postanowiłem najpierw przynajmniej złapać koc i z nim iść po jedzenie. Później zobaczę co będzie z siennikiem. Tak też zrobiłem.

Kiedy wracałem z miską zupy i chlebem w rękach, i

kocem pod pachą, pod ścianą nie było już ani jednego siennika ani koca. Szukałem miejsca żeby przysiąść, gdy nagle poczułem szarpnięcie. Wielki Rusek o mongolskiej twarzy wyrwał mi koc spod pachy i spokojnie odszedł. W tym momencie z najbliższego siennika poderwał się młody chłopak, doskoczył z tyłu do Ruska i odebrał mu mój koc, lżąc go wulgarnie po rosyjsku. Tamten chciał rzucić się na niego, ale nadchodził akurat blokowy. Rusek poszedł do swoich, a chłopak oddał mi koc i powiedział po polsku, że mogę z nim spać na sienniku. Był Polakiem, miał 18 lat, na imię Józek. Po kilku słowach poznałem, że jest Warszawiakiem i to pewnie z Powiśla. Powiedział, że pamięta mnie z Buchenwaldu.

Rzeczywiście był chłopakiem z Powiśla. Nie wiem czy skończył szkołę podstawową, ale był bardzo bystry i obrotny, a przede wszystkim był pewny tego, że doczeka dnia, kiedy będzie Niemcom podrzynał gardła. Trzymaliśmy się odtąd razem. Umówiliśmy się, że codziennie, na zmianę będziemy biegli jeden po zupeł, drugi po siennik i koc.

Powszechnym zwyczajem wśród więźniów było mówienie do siebie „ty”, ale Józek uparcie zwracał się do mnie *per* „pan”.

Druga noc spędzona na sienniku wydała się luksusem w porównaniu z pierwszą. Następnego dnia w tunelu zaczynał się jak poprzedni, ale koło południa odbył się w naszej komorze odstrzał. Przyszło dwóch minierów ze skrzynią ładunków. Do wywierconych w ścianie otworów powsuwali laski dynamitu z przyłączonym do nich cienkim drutem przewodnika. Te cienkie, kolorowe druty łączyły się w kabel prowadzący do ukrytej za zakrętem skrzynki wybuchu. Po pozbieraniu narzędzi i zdjęciu zawieszonych na drutach żarówek, ukryliśmy się za rogiem.

Nastąpił wybuch. Skóra ścierpła mi na grzbiecie. Tym razem zadrżała nad nami góra i posypały się odłamy skały i kamieni, mocniej niż wczoraj. Tuman pyłu zmieszany z dymem spalonego dynamitu wypełnił komorę, tak że światło lamp karbidowych, jakie mieli minierzy, ledwie było widoczne. Poczułem jak wchodzi mi do gardła, do płuc i oslepią oczy. Otwarte węże sprężonego powietrza niewiele pomagały.

Natychmiast zapędzono nas do pracy. Nadjechał buldożer, zbierał większe bryły skały, mniejsze przerzucaliśmy łopatami.

Z głową ciężką, jak z ołowiu, chwiejąc się na nogach poruszałem wolno łopatą i czekałem. A czas włókł się niemiłosiernie. Po wyjściu z tunelu byłem na pół przytomny, wszystko dokoła widziałem z daleka i jak we mgle. Głodu nie czułem; chciałem tylko spać. W obozie jakoś przetrwałem apel i natychmiast rzuciłem się na siennik. Józek siłą wypchnął mnie po jedzenie. Spałem bardzo niespokojnie, jakieś zjawy rozszarpały moje ciało.

Rano, na apelu i w drodze, męka oczekiwania na nowy dzień w tunelu. Jakoś jednak dzień ten przetrzymałem. Nie wiem, czy był on nie tak straszny jak wczorajszy, czy też zaczynam się przyzwyczajać, jak mówią starzy więźniowie, ale wieczorem doznałem wstrząsającego przeżycia.

Uderzyło we mnie jak piorun.

W ciągu pracy kilkakrotnie poczułem swędzące ukłucia na ciele. Nie zwróciłem na to wiele uwagi, ale wieczorem, przed snem postanowiłem odnaleźć przyczynę. Na koszuli zobaczyłem dwa szare poruszające się punkty. Wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia i strachu; zobaczyłem śmierć. Krzyknąłem z przerażeniem: „wszy!”.

Z sąsiedniego siennika odezwał się głos: „Cóż to takiego? Wszyscy tutaj mają wszy. Przyzwyczaisz się do nich”. A drugi dodał: „Będziesz się cieszył, że jeszcze są z tobą, bo kiedy od ciebie uciekną, będzie znaczyło, że umierasz”. Wziąłem to za niemądry żart i pomyślałem: Przecież my cały czas powoli umieramy.

Przyzwyczałem się.

Czasami było przeprowadzane w obozie odwszanie, ale to nic nie pomagało. Wszy były nie tylko na nas, ale w siennikach, wszędzie.

Dnie ciągnęły się nieskończenie w fizycznej męce, w głodzie i ciągłym lęku. Lęk nie odstępował nas na chwilę. Lęk przed tym co wiemy, że nadejdzie, jak: męka apelu, marszu do pracy i męka pracy w tunelu. A także lęk przed nieznanym, co nas niespodziewanie każdej chwili może spotkać:

uderzenie pałki, strzał pistoletu SS-mana albo atak jego psa, spadająca na głowę skała, lub nagła choroba.

Coraz bardziej upodobniam się do szkieletu. Nie jestem jeszcze muzułmaninem, ale mogę już policzyć swoje zębra i wyczuć na twarzy wystające kości policzkowe. Racje żywnościowe wciąż maleją i maleje ich wartość odżywcza. Jest szczęściem, kiedy na dnie miski znajdzie się kawałek ziemniaka lub brukwi, a znalezienie kawałka mięsa zdarzyło mi się wszystkiego tylko kilka razy. Czasami, jako dodatek do zupy dają w czapkę dwa ugotowane w łupinach, niewielkie ziemniaki, ale zdarza się to bardzo rzadko.



Pewnego wieczora, po przejściu bramy obozu zobaczyliśmy dwóch więźniów. Stali przy słupach, z wykręconymi do tyłu rękami, związanymi drutem.

Na apelu komendant obozu oświadczył, że dwóch więźniów, którzy zostali schwytani przy próbie ucieczki, zostało skazanych na śmierć. Wyrok zostanie wykonany po zatwierdzeniu przez centralne władze w Oranienburgu, a wszyscy więźniowie zostają ukarani stójką trwającą tego wieczora do odwołania. Przemówienie zostało przetłumaczone na trzy języki: francuski, polski i rosyjski.

Staliśmy do bardzo późnej nocy.

Rano, w czasie opuszczania obozu nie widzieliśmy skazańców. Byli wtrąceni do bunkra na dalsze tortury.

Po powrocie z pracy zastaliśmy przygotowaną koło drutów ogrodzenia, podwójną szubienicę. Koło niej stali skazańcy. W ustach każdego z nich tkwił kawałek drewna, którego końce były przywiązane drutem do tyłu głowy.

Odbył się normalny apel, po którym komendant odczytał wyrok. Nazwisko jednego ze skazanych brzmiało po polsku.

Dwóch niemieckich zbirów z czarnymi trójkątami, postawiło skazańców pod szubienicą na drewnianych skrzynkach. Założyli im stryczki na szyje i wykopali spod nóg skrzynki.

Kolumny odmaszerowały do swoich pomieszczeń, leżące

zwłoki zostały wrzucone na lory i odwiezione do krematorium. Plac apelowy opustoszał.



Zbliżała się zima, a z nią nowe udręczenie – zimno.

Jak dotąd, zwykle trzy- czy czterogodzinne stanie na apelu było udręką, a co będzie jak przyjdzie ślota, śnieg i mróz?

W końcu listopada, funkcyjni i niektórzy uprzywilejowani starzy więźniowie otrzymali coś w rodzaju płaszczy. Były one z tego samego materiału w pasy, co bluzy, tylko od nich dłuższe. My, *zugangi* zostaliśmy tylko w tych samych pasiakach co zawsze. Niektórzy Francuzi i Belgowie dostali w paczkach z domu swetry.

Zimne wiatry i śloty zaczęły coraz bardziej dawać się we znaki. Nawet w tunelu zapanowało przejmujące zimno. Z początkiem grudnia zimno stawało się coraz trudniejsze do zniesienia i szukano jakiegoś ratunku. W kątach tunelu często leżały porzucone puste torby po cemencie. Papier z tych toreb zaczęto wkładać pod koszule, jako ochronę przed zimnem. Niemcy traktowali to jako sabotaż i przyłapani więźniowie byli karani chłostą.

Było coraz zimniej. Lodowaty wiatr przeszywał ciała ludzi stojących godzinami na apelu. Czułem, że tego mój organizm nie przetrzyma. Ze znalezionej torby wyrwałem dwa podwójne płaty papieru i włożyłem pod koszulę z przodu i na plecy. Chociaż w niewielkim stopniu, ale pomogło. Przybył tylko jeden lęk więcej. W podświadomości czułem, że to szczęście, które mi zawsze w życiu towarzyszyło, jednak i teraz mnie nie opuści.

Na zakończenie każdego apelu czekało się jak na zbawienie. Drżący ludzie starali się pobudzić krążenie krwi w zmarzniętym ciele przez poruszanie ramionami, tupanie, zacieranie rąk i twarzy. Szeregi ścieśniały się, każdy chciał być bliżej drugiego.

Pilnujący nas strażnicy byli w grubych płaszcach, rękawicach i zimowych czapkach. Kapo i ważniejsi funkcyjni kryli się z SS-manami na wartowni.

Po dłuższym czekaniu szeregi się przerzedzały; co chwilę padał ktoś na ziemię nieprzytomny.



Dzień w połowie grudnia nie był bardzo mroźny, ale zimno było straszliwe. Lodowaty wiatr zaciął mokrymi płatami śniegu; zimno przenikało ciało na wylot.

Apel wieczorny w Ellrichu rozpoczął się ok. godz. 7-ej. Po przeliczeniu i raporcie, komendant obozu w krótkiej przemowie oświadczył, że na oddziale produkcyjnym zakładów Dory, zostały odkryte działania sabotażowe. Winne jednostki zostaną odpowiednio ukarane, a wszyscy więźniowie obozu, jako karę mają wyznaczoną stójkę, do odwołania.

Stójka trwała siedem godzin.

Trudno mi jest opisać co przeżyłem w ciągu tego czasu.

Na początku czułem spływające po ciele, od głowy do stóp, strugi lodu. Papier na piersiach i plecach stał się lodowatym pancerzem. Cały się trzęsłem, ale próbowałem poruszać ramionami i kończynami. Później stopniowo zimno wchodziło coraz głębiej, aż w końcu doszło do najdalszej tkanki organizmu, sparaliżowało mózg do tego stopnia, że przestał funkcjonować. Przestałem widzieć i słyszeć. Żadne wrażenia nie dochodziły do świadomości, tylko zimno.

Nic nie pamiętam, ani o zakończeniu apelu, ani o tym co się później ze mną działo.

Oprzytomniałem, gdy poczułem szarpanie i usłyszałem krzyk sztubowego – *Aufstehen!* Tak bardzo chciałem chociaż przez chwilę jeszcze poleżeć, zdawałem sobie jednak sprawę, że muszę wstać i iść.

Wypitą kawę, zaraz po wyjściu zwymiotowałem.

Pogoda się poprawiła; przestało padać i wiać.

Byłem bardzo słaby. Dzień w tunelu przetrwałem, przeważnie beczynn timer, oparty na łopacie. Jakimś cudem nikt mnie na tym nie przyłapał. Wieczorny apel był normalny. Zupę i chleb zjadłem bez apetytu, nie czułem się głodny. W nocy prawie nie spałem, czułem kłujący ból w piersiach i rano dostałem biegunkę. W pracy byłem coraz słabszy i na czoło występował mi zimny pot. Czas włókł się niemiłosiernie.

Było już chyba dobrze po południu kiedy poczułem jak nogi się pode mną uginają. Rozejrzałem się czy nie ma któregoś z bandytów i wcisnąłem się do ciemnego kąta, żeby chociaż na chwilę usiąść.

Obudziło mnie wołanie. Był to głos Józka. Z trudem wyszedłem z ukrycia. Wzburzony Józek powiedział, że wszyscy się już zbrali przy wyjściu i zaczyna się liczenie. On, widząc, że mnie nie ma, poszedł mnie szukać. Z jego pomocą dowlokłem się do grupy. Powiedział *forarbeitrowi*, że jestem chory. Ten popatrzył na mnie. Musiałem bardzo źle wyglądać, bo kazał Józkowi stanąć ze mną na końcu.

Wyszliśmy z tunelu. Bezwładnie stawiałem kroki. Koło mnie wlokło się więcej takich jak ja. Stanęliśmy na końcu kolumny; obok nas rzucano na ziemię wyniesione z tunelu zwłoki. Wydawało mi się, że liczenie nigdy się nie skończy, ale było pewnie takie jak zwykle. W głowie miałem zamęt, czułem jak pali mnie gorączka. Niewiele wiedziałem co się koło mnie dzieje. Oprzytomniałem trochę kiedy ktoś pomagał mi zejść z wagonu przy obozie. Na apelu znów staliśmy na końcu kolumny. W czasie obliczania zapisano nasze numery. Po apelu, kiedy zwłoki załadowano na lory, kilku z nas mogło przysiąść na brzegu, obok stosu przeznaczonego do krematorium. Zeszliśmy koło rewiru (obozowy szpital). Rewir mieścił się w kilku barakach. Wszystkie były przepełnione.

W długiej izbie, po obu stronach przejścia znajdowały się ustawione blisko siebie, proste żelazne łóżka. Dokoła słychać było jęki i wołania. Między łózkami uwijali się *flegerzy* (pielęgniarze). Jeden z nich podprowadził mnie do łóżka, na którym leżał jakiś chory z obandażowaną głową. Obok niego było moje miejsce. Pomógł mi zdjąć ubranie dając w zamian szarą koszulę. Zapisał mój numer na tablicy przytwierdzonej w nogach łóżka i poszedł.

Długo leżałem czekając. Nikt do mnie nie przychodził, chociaż wciąż biegali dokoła *flegerzy*. Nagle usłyszałem francuski. Przechodzący koło mnie dwaj *flegerzy* mówili coś do siebie. Zawołałem do nich po francusku, że potrzebuję pomocy. Jeden z nich zbliżył się do mnie.

Byli to bracia, Luksemburczycy. Oni się mną zaopiekowali i uratowali moje życie. Zajęli się mną tak, jakbym był

ich trzecim bratem. Pierre zmierzył mi gorączkę i przyprowadził zaraz lekarza (Czecha). Okazało się, że mam zapalenie płuc.

Odtąd, bez mojego wołania, albo Pierre, albo Jean przychodzili do mnie z pomocą. Nie wiem jaki był tego powód, ale wyróżniali mnie spośród innych chorych. A chorych w tym czasie było tak dużo, jak jeszcze nigdy przedtem. Było mnóstwo rannych w wypadkach przy pracy w tunelu albo w fabryce, poszarpanych przez psy, postrzelonych, pobitych, poparzonych albo zatrutych pyłem. Byli chorzy na gruźlicę, tyfus, influencję, z wrzodami albo z gangreną, i wielu innych.

Na sali widziałem zawsze kilkunastu *flegerów* (w pasiakach, z opaską na ramieniu), oraz paru lekarzy-funkcyjnych, z numerem i trójkątem przyszytymi na szarej bluzie. Lekarzy SS widywało się rzadziej.

Naczelnym lekarzem rewiru był wysokiej rangi oficer SS. Co parę dni, z rana był apel chorych. Była to wybiórka cięższych chorych, do krematorium. Pierre i Jean byli bardzo niespokojni o mnie, ale tego nie okazywali. Później przyznali, że byłem prawie pewnym kandydatem do komina. Przygotowywali mnie do apelu, tłumacząc dokładnie jak mam się zachowywać.

Ok. 9-ej rano wszedł na salę kapo rewiru i zawołał głośno *Aufstehen!* Każdy chory musiał stanąć przy łóżku, koło przejścia. Kilku chorych, którzy nie mogli się poruszać, pozostało na łózkach. Po chwili wszedł naczelnny. Był wysokim, przystojnym mężczyzną w średnim wieku, w eleganckim mundurze. W ręku trzymał szpicrutę.

Energicznym krokiem przeszedł przez całą salę. Za nim szli kapo i *szeiber*. Stanął naprzeciw ostatniego więźnia, przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, po czym przeszedł do następnego, i dalej. Na niektórych wskazywał szpicrutą. Wskazany musiał wystąpić jeden krok naprzód. *Szeiber* zapisywał jego numer.

Stałem w połowie sali. Wg wskazówek moich opiekunów, stałem wyprostowany na baczność, z podniesioną głową. Miałem, kiedy przyjdzie do mnie, spokojnie patrzeć mu w oczy.

Powoli zbliżał się. Niedaleko ktoś wystąpił z szeregu. Serce biło mi coraz mocniej, zaczęły mi drżeć kolana.

Staął przede mną.

Podniosłem wyżej głowę, patrzyłem na zawieszony na piersi Żelazny Krzyż, na gładko wygoloną twarz, wąskie usta i zimne oczy.

Serce podeszło mi do gardła, czułem, jak drżą mi nogi. Sekundy były godzinami. Wciąż patrzył na mnie uważnie.

Kiedy obraz przed moimi oczami zaczął zasnuwać się mgłą, wiedziałem, że za chwilę upadnę. W tym momencie odszedł.

Opartem się bokiem o tył łóżka. Niedaleko, znów jakiś chory wystąpił z szeregu.

Po obejrzeniu wszystkich, wyszedł. Kapo zarządził powrót do łóżek. Wyznaczeni spośród leżących, zostali wyniesieni, a ci, którzy wystąpili, wyprowadzeni przez drzwi, którym wyszedł doktor. Tam, po rozebraniu się do naga dostawali od jednego z niemieckich lekarzy zastrzyk fenolu, który działał natychmiastowo. Na piersiach zmarłego pisano jego numer. Dwaj *Totentragerzy* wynosili zwłoki i wrzucali na czekającą lorę (platforma na czterech kołach, ciągniona przez więźniów). Po napełnieniu lory, ciągniono ją do krematorium.

Krematorium było obsługiwane przez kilku więźniów, kryminalistów z czarnymi trójkątami. Dozorowani byli przez kapo i SS-mana.

Zanim zwłoki wsunięto na specjalnym wózku, do pieca, kapo zapisywał numer a SS-man sprawdzał czy w ustach zmarłego nie ma złotych zębów. Jeśli były, wrywano je obcę-gami.

Jednego rana przyniesiono więźnia poszarpanego przez psy. Po założeniu na rany opatrunków, zabrano go wieczorem na egzekucję.

Od czeskiego lekarza dostawałem jakieś proszki. Bracia przynosili mi zupę, jakiej jeszcze nigdy nie próbowałem. Były tam nie tylko ziemniaki, ale nawet marchew i mięso. Skończyło się moje głodowanie. Poczuję się silniejszy, gorączka spadła.

Po tygodniu mojego pobytu zbadał mnie niemiecki

lekarz. Minęły jeszcze dwa dni, kiedy Pierre powiedział mi, że już w żaden sposób nie mogą mnie przetrzymywać dłużej w szpitalu. Będę musiał wracać do pracy. Dreszcz mną wstrząsnął na myśl o powrocie do tunelu i staniu na apelach. Nie było jednak na to żadnej rady. Miałem być gotów następnego dnia, kiedy zabierze mnie wóz jadący do obozu.

Przynieśli mi moje ubranie. Znalazłem tam, oprócz mojej, drugą koszulę. Przy pożegnaniu podziękowałem im jak umiałem. Powiedzieli, że zrobili tylko to, co do nich należało.

Nie znam ich nazwiska, ani adresu.

Przysiadłem się na wóz załadowany skrzyniami i workami. Więzień powoził, przy nim siedział żołnierz.

Jechaliśmy jakąś nieznaną mi drogą i w końcu zobaczyłem za drutami baraki. Nigdy tutaj nie byłem. Był to Harzung, miejsce w którym obok Ellrichu, mieszkali ludzie zatrudnieni przy budowie nowego tunelu. Miał on też bardzo złą sławę, ale trochę lepszą, niż Ellrich.

Ogólnie znaną zasadą Niemców było, że nie przenosili więźniów z miejsca na miejsce. W wyznaczonym miejscu mieszkania i pracy pozostawał zwykle na zawsze. Sądziłem więc, że zatrzymaliśmy się tutaj tylko przejazdem, ale okazało się, że mam tutaj pozostać.

Stał się cud, nie wracam do Ellrichu. Nie mogłem tego zrozumieć.

Później dowiedziałem się, że działała tu podziemna organizacja wzajemnej pomocy więźniów. Załatwili to jakoś funkcyjni pracujący w biurach ewidencji obozu, oczywiście za sprawą Luksemburczyków.

Po przejściu przepisowej łaźni i parówki, wyznaczono mi miejsce na drugim piętrze pryczy w jednym z baraków, podobnie jak w Buchenwaldzie. W baraku tym było też dużo Polaków.

Od mojego sąsiada na pryczy dowiedziałem się, że praca w tunelu jest podobna do tej, jaką miałem w Ellrichu, a najgorszą męczarnią jest brak dostatecznej ilości snu i droga do pracy. Ponieważ Harzung jest oddalony od tunelu o 4 km, a drogę tę odbywa się pieszo, to do 12 godzin pracy dochodzi czas na przejście drogi w obie strony, kosztem snu. Przy przedłużającym się przeważnie apelu, na sen pozostaje 3 do

4 godzin, a nieraz mniej. To co zdarzało się w Ellrichu czasami, tutaj było regułą.

Zapytałem o wszy. Robią tutaj dość często odwszanie, po którym jakiś czas ich nie ma, ale wciąż powracają.

Blokowym był tutaj Niemiec z różowym trójkątem, wyrafinowana bestia. Znęcał się nad więźniami przy każdej nadarżającej się okazji, a przeważnie bez żadnej. Sztubowym był młody Francuz, także z różowym trójkątem. Miał on wytatuowane powieki, co miało imitować makijaż. Nie był takim sadystą jak jego mąż (czy też żona), ale bił ludzi raczej z obowiązku.

Panuje tu też oczywiście wieczny głód.

Moim towarzyszem na pryczy był Edward Klimczak. Był starszy ode mnie o dwa lata. Walczył w Powstaniu na Woli. Cudem uniknął wtedy śmierci. Z zawodu był drukarzem. Żonaty, nic nie wiedział o losach żony i dziecka.

W tunelu wróciłem do takiej samej pracy jaką miałem poprzednio, tylko w innej komorze.

Zima stawała się coraz ostrzejsza. Marsz do pracy i z pracy, w śniegu, zimnie i wietrze, oraz długie apele przypominały mi moją ostatnią stójkę w Ellrichu. Mimo dwóch koszul, jakie miałem na sobie, zimno było nie do wytrzymania. Włożyłem między koszule, na piersi i plecy kilka warstw papieru. Była to pewna śmierć w razie przyłapania, ale nie miałem innego wyjścia.

Trzeci wieczór po moim przyjeździe do Harzunga był wieczorem wigilijnym, 24-go grudnia 1944 roku. Kiedy po długim apelu, późno położyliśmy się na prycze do snu, skąs z ciemności odezwał się głos: „Teraz jest w Polsce Wigilia”. Po chwili: „To już po Wigilii, bo jest noc”, dodał drugi.

Zaległa cisza. Musimy spać, bo za chwilę wstaniemy do pracy.

Nie wiedziałem jaki dzień jest dzisiaj; straciłem rachubę czasu.

Pomimo straszliwego zmęczenia długo nie mogłem usnąć tej nocy.

Siły, jakich trochę nabyłem pod opieką Luksembur-

czyków, szybko straciłem, a brak snu i zimno stawały się z każdym dniem gorszą męczarnią. Zimno dawało się nam we znaki nie tylko na dworze i w tunelu ale też i w czasie snu w baraku. Ciepło z żelaznego pieca, który stał w pierwszej izbie, nie dochodziło do prycz, a był tylko jeden koc na dwóch ludzi. O koce była ciągła walka z Ruskami. Niejednej nocy, kiedy blokowy i sztabowy byli zajęci sobą, dochodziło na pryczach do okropnych scen, nawet zabójstw. Rusczy siłą zabierali innym koce. Jeżeli któryś z Francuzów dostał z domu paczkę, to nie mógł nic sobie zostawić na później, bo mu Rusczy odebrali.

Styczeń był bardzo mroźny. Szeptane wśród więźniów wiadomości mówiły o niemieckich klęskach na wschodzie. Obydwa fronty, wschodni i zachodni zbliżały się do niemieckich granic. Podnosiło to nas na duchu.

Obóz oświęcimski został ewakuowany do Niemiec przy 16-to stopniowym mrozie (C.). Połowa więźniów zamarzała. W Buchenwaldzie nie mogli nadażyć z paleniem zwłok, przysłali więc część do Dory. W Dorze też krematorium pracowało przez 24 godziny na dobę zajęte paleniem swoich, więc stopy zwłok palono na placu koło krematorium.

Śwąd palonych ciał wiatr roznosił po okolicy.

Przybyli z Oświęcimia strażnicy wzmocnili naszą załogę.

Kiedy rano budzi mnie okrzyk sztabowego *Aufstehen*, w głowie mam zamęt. Trudno mi zebrać jakiegokolwiek myśli. Czuję tylko jedno, że muszę spać. Nic innego nie robić tylko spać. W końcu, jak przez mgłę dochodzi do mnie świadomość rzeczywistości. Poruszam się na pół przytomny. Z innymi idę po kawę, wychodzę, stoję na apelu i... śpię. Poza najbliższymi koło mnie ludźmi, nic nie widzę. Do pracy idziemy kolumną, jeden blisko drugiego, trzymając się za ręce, stawiając automatycznie kroki. Powieki są tak ciężkie, że w żaden sposób nie można przez dłuższą chwilę utrzymać otwartych oczu. Zapadamy w krótki sen, żeby za chwilę ocknąć się dla zachowania równowagi. Idąc, śpimy, a jest to możliwe dlatego, że te ocknięcia i zapadanie w sen nie są u wszystkich w szeregu równoczesne.

Jest to pochód cmentarnych widm.

Najgorsze było przejście drogi do pracy. Przy dochodzeniu do tunelu pomału przychodziło otrzeźwienie. Nie wiem, czy przez ruch, czy przejmujące nas zimno.

Po dojściu na plac przed tunelem, wyznaczone uprzednio komanda rozchodziły się zwykle na swoje miejsca pracy, ale przedtem zawsze wywoływano kilkunastu więźniów, po numerach. Oddzielną grupą wprowadzał ich strażnik do tunelu. Było to karne komando sztolni „H”. Sztolnia ta została nazwana przez więźniów „Sztolnią śmierci”, ponieważ ludzie tam zatrudnieni, po bardzo krótkim czasie znikali, a na ich miejsce wciąż przychodzili nowi. Nikt nic więcej o tej sztolni nie wiedział. Nie była ona podobna do innych. Wszystkie były oznaczone numerami, ta jedna literą. Poza tym wszystkie sztolnie były wydrążonymi w głąb, korytarzami, sztolnia „H” była tylko na kilkanaście metrów głęboka. W bocznej ścianie znajdował się niewielki otwór, przez który wchodził robotnicy.

Powoli ciągnęły się dni i tygodnie zimy.

O zbliżającej się klęsce Niemiec świadczyły coraz częstsze naloty bombowe.

Wciąż nadchodziły transporty deportowanych ze wschodu więźniów. W pobliskim Nordhausen pobudowano dla nich prowizoryczne baraki, w których były straszne warunki sanitarne. Silniejsi byli przywożeni do Dory dla dopełnienia coraz szybciej niszczących załóg zatrudnionych w fabryce i przy budowie tuneli, reszta pozostawała w barakach skazana na powolną śmierć.

W miarę pogarszania się sytuacji na frontach, warunki obozowego bytu pogarszały się coraz bardziej i coraz bardziej wzrastał terror.

Szpital i cele bunkra były przepełnione do niemożliwości. Pod koniec lutego śmiertelność wśród więźniów doszła do szczytu. Racje żywnościowe wciąż stopniowo malały.

Biorąc na zdrowy rozum wydawałoby się, że żadna żywa istota nie może przetrwać w takich warunkach. Okazuje się, że moc ludzkiej nadziei, pragnienie życia i siła woli, są niewymierne.

Trwają, chociaż nic wiążąca ich z życiem jest cieńsza od włosa.

Kto tracił nadzieję natychmiast ginął.

Byli tacy, co psychicznie nie wytrzymywali męczarni, popełniali samobójstwa, wieszali się, albo rzucali na naelektryzowane druty ogrodzenia. Wielu wpadało w obłęd; tacy po pierwszym apelu na rewirze, szli do krematorium.

Niektórzy w ostatecznej desperacji próbowali ucieczki. Podobno były udane wypadki, ale przeważnie bywali schwytani i zabijani na miejscu, albo sprowadzani do obozu i po kilku dniach tortur, wieszani.



Pracując w sztolni starałem się zawsze zajmować miejsce bliżej wejścia, gdyż tutaj powietrze było mniej zagęszczone pyłem z wiertarek. Omal nie przypląciłem tego życiem.

Pewnego popołudnia (było pewnie już koło czwartej), jak zwykle odrzucałem łopatą kamienie, kiedy nagle wpadł jakiś nie znany mi kapo. Mnie i pracującemu koło mnie Francuzowi wytrącił z rąk łopaty i popchnął nas do wyjścia. Zdrętwiałem; pod koszulą obłożony byłem papierem. Koło wyjścia ze sztolni czekała na nas grupka pięciu więźniów, pilnowana przez SS-mana z karabinem skierowanym w ich stronę. Prawie biegiem ruszyliśmy tunelem. Zatrzymaliśmy się niedaleko. Była to sztolnia „H”. Z boku było wejście jakby do małego korytarza. Tam nas zapędzono. Stojący przy wejściu *szreiber* zapisywał nasze numery. Kapo poganiał uderzeniami pałki.

W momencie, kiedy byłem blisko wejścia, dostałem mocne uderzenie w plecy. Skoczyłem naprzód. Znalazłem się na dnie słabo oświetlonej studni. Ściany zbudowane były z bardzo grubych drewnianych bali, ułożonych w kwadrat o boku ok. 2 metrów. Do jednej ze ścian przytwierdzona była pionowa drabina, o grubych, rzadko rozstawionych szczeblach. Zawieszona na drucie żarówka oświetlała wnętrze. Spojrzałem w górę. Po stopniach wspinali się moi poprzednicy. Bardzo wysoko w górze widziałem słabe światło. Zacząłem się wspinać. Nie liczyłem stopni, ale musiało ich

być bardzo dużo; pod koniec omdlały mi zupełnie mięśnie rąk i nóg. Świeciła tutaj też żarówka. Po wydostaniu się ze studni stanąłem na skalnym rumowisku. Początkowo nic nie widziałem; znalazłem się w gęstej, żółtawo-białej mgłę, ogłuszającym huku wiertarek z syczeniem sprężonego powietrza. Pierwszy oddech mnie zadławił. Powietrze było przesycone jakąś żrącą substancją. (Teraz wiem, że był to anhydryt siarczanu wapnia). Czułem jak drażni mi nos, gardło i oczy. Później dojrzałem niewyraźne szczegóły otoczenia. Pierwsze, co rozpoznałem, to leżący blisko w kącie koło studni, stos trupów. Później zarysowały się postacie pracujących wiertaczy i robotników z łopatami i oskardami. Tylko jeden z nich miał na twarzy maskę, był to *forarbeiter*. Znajdowałem się w okrągłej komorze o średnicy ok. 15 m. Owalne sklepienie było na środku ok. 2,5 m. wysokie. Wylot studni był w pobliżu obwodu. Oświetleniem było kilka żarówek zawieszonych na drutach podpartych kijami. Od studni prowadziły węże sprężonego powietrza do komory i wiertarek.

Odrzucaliśmy z kątów skalne bryły w pobliże studni, żeby później mogły być zrzucone na dół.

Nie upłynęło dużo czasu jak wydechana trucizna zaczęła działać. W skroniach poczułem szybsze pulsowanie krwi. Do głowy napływały i odpływały fale gorąca. Było mi mdło. Na czoło wystąpiły krople zimnego potu. Po pewnym czasie wszystko zaczęło wirować dokoła i oparty na łopacie stałem niezdolny do żadnego ruchu.

Nie wiem jak długo to trwało. Nagle rozległy się szybkie, przerywane sygnały sprężonego powietrza. Był to przysłany z dołu sygnał zakończenia pracy dla naszej zmiany.

Nie byłem w stanie się ruszyć, bałem się, że upadnę. Pomyślałem wtedy, że przecież jak stąd zaraz nie wyjdę, to zginę. Zdołałem wydobyć skądś na tyle siły, że dojrzałem do studni i powoli zacząłem schodzić. Drżącą nogą długo szukałem każdego szczebla, wciąż bojąc się, że spadnę. Kiedy znalazłem się na dole, strugi potu spływały po mnie.

Później szedłem i stałem na apelu jak pijany. W baraku położyłem się natychmiast. Po jedzeniu nie poszedłem; nie miałem siły i wiedziałem, że i tak nie będę mógł tego zjeść.

Muszę tylko spać. Muszę też rano się obudzić, bo ja przecież chcę żyć. Ja muszę żyć. To już niedługo będzie koniec naszej męki... Usnąłem.

Rano obudziło mnie zwykłe *Aufstehen*. Zrazu nie mogłem zebrać myśli, dopiero po chwili przypomniałem sobie wczorajszy dzień, kiedy poczułem żelazną obręcz ściskającą moją głowę. Uprzytomniłem sobie, że jeżeli teraz pójdę do sztolni „H”, to żywy z niej już nie wrócę.

Pogoda tego dnia nie była najgorsza. Wciąż oszołomiony i bardzo słaby przestałem apel i doszedłem do tunelu.

Zaczął się jak zwykle, od wywoływania numerów oddziału do sztolni „H”. Ze świadomością, że ja przecież do nich należę, spadła na mnie trwoga.

SS-man z towarzyszącymi mu *sreiberem* i kapo, wywołuje numery. Na boku tworzy się grupka skazańców; jest ich już około tuzina.

Serce bije mi coraz mocniej i szybciej. Czuję skurczony żołądek. Przestaje wywoływać; mówi coś do *sreibera*; patrzy na listę. Woła dalej. Robi mi się okropnie słabo i gorąco.

Jeszcze kilka numerów i cisza.

Rozglądam się dokoła z niedowierzaniem, czy to nie sen.

Mojego numeru nie wołał.

Powoli przychodzi do siebie. Śmierć nie jest mi jeszcze pisana. Ogarnia mnie otucha i radość. Później przyszło zastanowienie: jak to się mogło stać? Było pewne, że Niemcy nigdy nikogo, kto wszedł do sztolni „H”, żywcem nie wypuścili. Rozmyślałem nad tym długo i mi to trochę psuło moją radość.

Aż w końcu przypomniałem sobie moment wchodzenia do studni. Kapo uderzył mnie pałką w plecy. Skurczyłem się pod ciosem i skoczyłem do przodu. *Sreiber* nie zdążył zapisać mojego numeru.

W ciągu dnia powoli przechodziło zatrucie.

Poznałem tajemnicę sztolni „H”. Budowano tam wyrzutnię rakiet V-2. Otwór tej wyrzutni, zamaskowany wśród lasu był prawie niemożliwy do wykrycia przez lotnictwo alianckie.

W powojennym piśmiennictwie jest bardzo mało opisów

Dory (powody tego uprzednio wyjaśniłem), ale w tych co są, nie ma najmniejszej wzmianki o pionowym drążeniu wyrzutni raketowych w górach Harzu.

Czyżbym był jedynym świadkiem, który wy dostał się żywy z grobowca, jakim była sztolnia „H”?

Według moich przypuszczeń, ta wyrzutnia była budowana w ten sposób, że z powstałej po wystrzale warstwy, wyrzucano przez studnię tyle tylko pokruszonej skały, żeby było wystarczająco miejsca na nowe wiercenie. W ten sposób żłobiono skałę w górę, aż do przebicia na wylot. Po czym, zsuwając się własnym ciężarem pokruszoną skałę, można od dołu wybierać i wywozić.



Mija marzec. Dnie ciągną się powoli; każdy z nich odbiera nam coś z reszty pozostałych w nas sił. Rano nikt nie wie czy dożyje wieczora, a wieczorem, kiedy kładzie się spać, nie wie czy się obudzi.

Widzę już wyraźnie, że powoli staję się muzulmaninem. Nie ma już na mnie ciała, pozostały tylko skóra i kości. Opadłem zupełnie z sił. Męczy mnie ranny i wieczorny marsz, z trudem poruszam łopatą. W dodatku, od rozpadających się drewniaków, które przywiązuję do nóg drutem, porobiły mi się na stopach rany. (Ten drut, którego kawałki znajdowaliśmy wśród kamieni po odstrzale, był dla nas bardzo przydatny. Był to cienki drucik owinięty kolorową izolacją, mocny a elastyczny i nie łamliwy. Używaliśmy go do podtrzymywania spodni, jako sznurowadła, do zszywania rozdartego ubrania, przyszywania guzików itp. Niemcy traktowali używanie przez nas tego drutu, jako sabotaż. Rusek, który opasał się tym drutem na wierzchu bluzy, został przez SS-mana zastrzelony).

Rany na nogach utrudniały mi chodzenie, a biegać nie mogłem zupełnie. Raz, w czasie wybiegania z baraku na apel, nagle zobaczyłem gwiazdy. To blokowy zdzielił mnie pałką w głowę. Upadłem i biegnący za mną Edek pomógł mi wstać.

Na apelu, po zdjęciu czapki, wyczułem spływającą po głowie krew. Uderzenie było tak silne, że rozcięło mi skórę.

Być może już bym nie żył, gdyby nie czapka. W ciągu dnia rana mi zaschła i później pomału jakoś się zagoiła. Pozostała mi tylko na głowie szrama.

Pojawiły się znowu wszy, ale o odwyszaniu nic nie słysząc.

Wśród więźniów krążą pogłoski, że od zachodu są już niedaleko wojska alianckie, a od wschodu zbliżają się Rosjanie. Coraz częstsze są naloty i coraz silniejsze. Niemcy stają się coraz bardziej nerwowi i okrutni. Widać wyraźnie, że się boją i wiedzą, że zbliża się ich koniec, ale apele, praca i tortury trwają bez żadnych zmian.

Chmura dymu nad krematorium unosi się ogromna, jakiej jeszcze nigdy nie było.

Jednego z ostatnich dni marca, w czasie marszu do pracy, dały się słyszeć od zachodu odgłosy nadciągającej burzy. W czasie powrotnej drogi wieczorem, odgłosy te były bliższe i wyraźniejsze. To nie była jednak burza, ale zbliżający się do nas front.

Tego wieczora obóz nie przedstawiał zwykłego obrazu. Widać było, że Niemców ogarnęła panika. Biegali w różne strony jak opętani. Jedni wynosili z biur jakieś pudła i przewozili w stronę krematorium, drudzy myśleli już tylko o ucieczce i rabowali magazyny, w czym do SS dołączyli kapo i blokowi. Tego wieczora apel był krótszy niż zwykle.

Rano był 2-gi kwietnia.

Z posterunków na wieżach strażniczych zniknęli SS-mani, ich miejsca zajęli żołnierze Wehrmachtu. Tamci pewnie zostali wysłani na front. Poranny apel też nie był taki jak zwykle, odbył się w wielkim pośpiechu. Najpierw wezwano wszystkich Rosjan do wystąpienia. (Nie wszyscy jednak wystąpili). Kiedy po przejściu bramy pomaszerowaliśmy zwykłą drogą w kierunku tunelu, Rosjan skierowano w kierunku przeciwnym. Mówiono, że zostali wyznaczeni do budowy fortyfikacji.

Po dojściu do tunelu, wprowadzono nas tam natychmiast, bez zwykłego rozdzielania na grupy robocze. Ku naszemu zdziwieniu zastaliśmy tam nocną zmianę. Powiedzieli nam, że tej nocy nie pracowali. Cywilni majstrowie nie przyszli do pracy, niewielu też było kapo i *forarbeiterów*. Kazano im siedzieć na miejscu pracy w sztolniach. Nie wolno było wychodzić z tunelu.

Minęło kilka godzin. Od wejścia do tunelu doszły nas jakieś krzyki i zamieszanie. Okazało się, że opanowany panicznym strachem tłum cywilnych Niemców, kobiet, dzieci i starców, wdarł się do tunelu. Wkrótce zjawili się strażnicy i nie pozwalając więźniom mieszać się z przybyłymi, zapędzili nas w głąb sztolni. Zdążyliśmy się dowiedzieć, że od rana ma miejsce nalot na Nordhausen. Tak strasznego bombardowania jeszcze nie było. Całe miasto leży w gruzach i płonie. Ludność z Nordhausen i pobliskiego Salza w panice rzuciła się do tuneli, jako jedyne miejsca ratunku.

Wkrótce przyszli po nas konwojenci i wyprowadzili nas z tunelu. Wróciliśmy do obozu, gdzie na apelu zostało ogłoszone, że obóz Dora zostaje ewakuowany. Od razu wydzielona duża grupa opuściła obóz. Z powodu zniszczenia stacji i torów w Nordhausen zostali skierowani na odległą o 8 kilometrów stację kolejową Niedersachswerfen.

Zapędzono nas do baraków, gdzie zapanowało wielkie zamieszanie i tłok, gdyż obydwie zmiany znalazły się tam razem. Wydawanej zupy i chleba starczyło jedynie dla połowy. Szczęśliwie należałem do niej.

SS-mani nie chodzili teraz nigdy pojedynczo i zawsze każdy z nich miał w ręku broń gotową do strzału. Liczba załogi wyraźnie się zmniejszyła.

W nocy, od strony bunkra, który wraz z krematorium był oddzielony od obozu, rozlegała się strzelanina. Dowiedzieliśmy się później, że wszyscy tam uwięzieni zostali wymordowani.

3-go kwietnia nie było porannego apelu, tylko większą grupę wypędzonych z kilku baraków ludzi poprowadzono w kierunku stacji. Duża kolumna wymaszerowała po południu w kierunku zachodnim. Był to pewnie konwój pieszy.

W obozie panował chaos. Wykrzykiwanych przez megafon rozkazów nikt nie słuchał. Kapowie poznikali. Kuchnia przestała funkcjonować. Zupy nie było. Udało mi się zdobyć kawałek chleba, który popiłem wodą.

Na zachodnim horyzoncie widać było ogromne łuny pożarów i wyraźnie dochodziły do nas odgłosy artylerii i lotniczego bombardowania. Ktoś na pryczy mówił wieczorem, że Amerykanie są już tylko 50 km od Dory. Inny

słyszał, że jeden z najokrutniejszych kapo został gdzieś w kącie obozu przydybany. Po zapędzeniu go do latryny został przez więźniów zmasakrowany i żywy jeszcze, wrzucony do kloacznego dołu. Mówiono też, że w szpitalu pozabijani zostali wszyscy chorzy niezdolni do marszu.

4-go kwietnia rano, kto miał na to siłę, chodził po różnych barakach szukając jakiegoś pożywienia, inni siedzieli na pryzkach tłukąc wszy. Kawy nie było, napiłem się wody. Nie można się było umyć, bo łaźnia była zamknięta. Nie byliśmy ogoleni, bo ostatniej niedzieli nie było zwykłego niedzielnego golenia.

Obraz jaki przedstawiało to zbiorowisko nędzarzy, był każdego dnia coraz ohydniejszy.

Było jeszcze dość wcześnie rano, kiedy na placu przed magazynem kuchni zrobił się jakiś ruch. Zbierała się tam grupka ludzi. Stojąc pod ścianą baraku obserwowałem ich z daleka.

Z magazynu wyszło dwóch SS-manów. Jeden trzymał w ręku karabin maszynowy a drugi narecze kilku podłużnych bochenków chleba. Grupa zaczęła się szybko powiększać, bo z tyłu dobiegali wciąż inni. Zaczęło się przepychanie; każdy chciał być na przodzie. Ten z karabinem wrzasnął *Ruhe!* i broń skierował w ich stronę. Uspokoilo się, wszyscy czekali w napięciu. Po chwili Niemiec rzucił jeden bochenek chleba w środek tłumu.

Trudno opisać co się wtedy zaczęło dziać. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Tłum zamienił się w kłębowisko dzikich zwierząt. Jeśli ktoś dotknął chleba, natychmiast sto rąk mu go wydierało. Ludzie dusili się wzajemnie, gryźli, wydrapywali sobie oczy.

Nie trwało to długo. Okruchy porozrywanego chleba zostały rozdeptane nogami, wraz z tymi, którzy upadli na ziemię pod ciosami.

Powoli tłum się uspokoił; nie było już o co walczyć.

Dwaj Niemcy z uśmiechem patrzyli na widowisko. Był to jego akt pierwszy. Po chwili został rzucony drugi bochenek. Akt drugi widowiska był podobny do pierwszego i tak dalej, aż do ostatniego.

Okruchy ostatniego bochenka zostały rozdeptane razem

z ciałami tych, którzy upadli i ich krwią. Wtedy żołnierz z karabinem zaczął strzelać ponad głowami. Tłum się rozsypał, ale dwóch ludzi próbowało szukać resztek chleba wśród leżących na ziemi. Na nich skierowały się ostatnie strzały.

Dochodziło południe. Z wartowni wyszło kilkunastu strażników z psami i rozpoczęło wypędzanie ludzi z baraków na plac apelowy. Z głębi obozu dochodziło ujadanie psów i strzały.

Na placu apelowym stanęły piątkowe kolumny. Na pytanie kto nie czuje się zdolnym do marszu, zgłosiło się kilkunastu ludzi. Zostali odstawieni na bok, a my wyruszyliśmy w kierunku stacji Niedersachswerfen. Po dołączeniu do głównej grupy stanowiliśmy wielotysięczną kolumnę. Celem tego transportu miał być KL Neuengamme, na północy. Stacja była częściowo zniszczona, ale tory były całe. Na bocznicę stał długi szereg pustych wagonów. Większość z nich stanowiły wagony tzw. „bydlęce”, reszta, odkryte „węglarki”.

Popędzani uderzeniami kolb, kopniakami, krzykiem i szczuci psami, wypełniali więźniowie wagony. Kto nie miał siły, żeby szybko wspiąć się na platformę, był zastrzelony. Inni musieli odciągnąć jego ciało na bok.

Wkrótce wagony były wypełnione, ale prawie dla połowy nie starczyło miejsca. Wrzaskiem i kolbami karabinów były upychane na siłę. Konwojenci z ich psami wyglądali jak jedno wściekłe stado.

W końcu, drzwi zostały zasunięte i zaryglowane. Powoli pociąg ruszył. Ogromny tłum ludzi pozostał na stacji.

Z Edkiem Klimczakiem trzymaliśmy się wciąż razem i teraz znaleźliśmy się w głębi wagonu, w pobliżu jednego z czterech, umieszczonych wysoko w kątach, otworów wentylacyjnych.

W pierwszej chwili, wśród sterroryzowanych w czasie ładowania ludzi, panowała cisza, ale potem stopniowo zaczęły wzmaczać się jęki, krzyki, kłótnie i przekleństwa. Silniejsi, próbując zdobyć dla siebie więcej miejsca, rozpychali się wśród słabszych, ścieśniając ich coraz bardziej. Każdy chciał przynajmniej stać wygodnie, ale niektórzy chcieli usiąść na podłodze. Słysząc było wymysły i złorzeczenia w różnych

językach. My z Edkiem nie daliśmy się z naszego miejsca zepchnąć, a o tym jak cenne było to miejsce przekonaliśmy się później.

Jechaliśmy na północ. Pociąg toczył się wolno, często stając w polu lub w lesie. Z zapadnięciem nocy uspokoiło się w wagonie. Słychać było tylko jęki, rzężenia, czasem krzyk, zagłuszane miarowym dudnieniem kół.

Czułem się bardzo źle. Stałem oparty plecami o ścianę. Dokuczały mi rany na stopach; zrzuciłem drewniaki. Głód boleśnie skręcał mi wnętrzności, wszy harcowały po ciele.

Na szczęście, tuż przed zbiórką na transport, napiłem się wody, więc na razie nie czułem pragnienia.

Zacząłem rozmyślać nad tym, jak się stąd wydostać. Otwór koło mnie był z zewnątrz mocno zadrutowany; niczego innego nie mogłem wymyślić.

Coraz trudniej było oddychać; otaczające nas powietrze stawało się gorętsze, gęściejsze i coraz bardziej zatrute. Przysunąłem twarz w stronę okienka.

Powoli sen przemógł wszystko i stojąc usnąłem.

Obudziły mnie dochodzące z zewnątrz głosy. Przecho-
dzący koło wagonu konwojenci głośno rozmawiali. Była
ciemna noc. Oparty plecami o ścianę siedziałem w kucki na
podłodze. Namacałem śpiącego koło mnie Edka. Z trud-
nością wstałem prostując zdrętwiałe nogi. W głowie czułem
zamęt, ale świeże powietrze trochę mnie otrzeźwiło. Pociąg
ruszył.

Nie mogłem już usnąć. Wkrótce zaczęło się rozwidniać,
nadszedł nowy dzień. Jechaliśmy na zachód. W wagonie
znów rozpoczęły się krzyki, kłótnie i przepychania. Ktoś
płakał, ktoś inny modlił się po polsku. Wydawało mi się, że
głosy te były jednak słabsze niż wczoraj bo zagłuszał je stukot
kół, a może tylko już dla mnie spowszedniały.

Stałem myśląc o tym, co mnie czeka. Przecież to już
długo trwać nie może. Musi przyjść jakaś pomoc, ktoś nas
musi wyratować. Może dzisiaj, może jutro. Żeby tylko
wytrwać. Przetrzymałem już tyle, muszę wytrzymać jeszcze
ten jeden dzień, czy nawet dwa. Żebym tylko miał siłę iść.
Muszę ją mieć.

Na podłodze, przydeptywani przez stojących leżeli ci,

którzy już nie mogli się obudzić. Zostali odciągnięci pod ścianę i ułożeni jeden na drugim. Zrobiło się odrobinę luźniej w wagonie.

Teraz słońce świeciło z prawej strony; jechaliśmy na północ. Czasami mijaliśmy jakieś osiedla, popalone stacje i domy. Pociąg, to stawał, to cofał się, to zmieniał kierunek.

Monotonny ruch pociągu, zagłuszone dudnieniem kół głosy ludzkie, wprowadzały moje obolałe ciało w stan odrętwienia. Stałem uczepiony krawędzi okna, dopóki nie omdlały mi ręce i nogi; osuwałem się na dół i siedziałem przykucnięty, dotąd aż zaczynałem się dusić z braku powietrza.

Wydawało się, że dzień nigdy się nie skończy, aż wreszcie nadeszła noc. Zasypiałem i budziłem się co chwilę.

Kiedy nowe słońce wdarło się do wagonu było tu dość spokojnie. Mniej było jęków i złorzeczeń. Żyjący nie mieli siły żeby odciągać na bok zmarłych, po prostu stali i siedzieli na nich. Najbardziej teraz dawało mi się we znaki pragnienie, zaschło mi gardło i język, w ustach ani odrobiny śliny.

W ciągu dnia długo staliśmy w jednym miejscu. Od przodu słychać głośne krzyki naszych konwojentów. Potem na jakiejś stacji przetaczano nasz pociąg na inny tor i ruszyliśmy zmieniając kierunek, aby później znowu jechać na północ.

Czyż nigdy nie będzie końca naszej męki?

Nowa niespokojna noc i koszmarne sny. Spaliśmy z Edkiem skurczeni pod ścianą. Rano byliśmy tak słabi, że z wielkim trudem wspięliśmy się do góry, żeby zaczerpnąć powietrza. W wagonie, poza stukotem kół niewiele było słychać głosów; wypełniało go kłębowisko siedzących i leżących ciał, żywych pomieszanych ze zmarłymi. My też nie mówiliśmy nic do siebie. Czułem się bardzo słaby; myślałem tylko o wodzie, ale ogólnie czułem się lepiej. Ból żołądka i jelit zmniejszał się powoli a ich miejsce zajęła pustka.

Po południu stanęliśmy na jakiejś stacji. Z daleka widać było zabudowania. Koło nas zapanował ruch, wołania i głośne rozmowy. Po pewnym czasie ruszyliśmy dalej, tym razem na zachód.

Zbliżał się wieczór. Siedzieliśmy koło siebie pod ścianą.

Czułem się teraz całkiem nieźle i dodało mi to otuchy. Żeby mi tylko wróciło trochę sił.

Było już ciemno, kiedy usłyszałem, że Edek coś mówi. Przysunąłem ucho do jego ust. „To już jest koniec” – wyszeptał. Obruszyłem się na niego, żeby tak nie mówił, ale jakoś nie mogłem zebrać słów.

Zacząłem zapadać w krótki sen. Właściwie to nie był sen, tylko powolne pograżanie się jakby w gęstaj mgle, albo miękkim puchu.

Wolniutko tonąłem w tym puchu, zasypiałem. Po jakimś czasie budziłem się, żeby za chwilę usnąć znowu. Nie czułem żadnego bólu, o niczym nie myślałem.

W jednym jednak momencie takiego przebudzenia, nagle oprzytomniałem. Ciemność dokoła. Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje?

Poruszyłem ręką. Edek siedział oparty plecami o ścianę. Wołam: Edek!... Nie odezwał się. Poruszyłem go za ramię. Osunął się na mnie bezwładnie. Dotknąłem twarzy; była zimna, martwa.

Edward Klimczak nie żył.

Poczułem, że się duszę.

Powietrza! Muszę mieć chociaż trochę powietrza.

Widocznie było we mnie jeszcze trochę sił, bo zdołałem stanąć na nogi, przybliżyć twarz do otworu i odetchnąć. Stojąc tak, uczepony krawędzi, pomyślałem – czy to już i dla mnie koniec?... Nie, to niemożliwe... Przecież ja muszę żyć!... Ja muszę żyć!...

Szarpnąłem druty zakrywające okno. Ani drgnęły.

Nagle błysnęła mi myśl: miska. Zrobiona z grubej blachy, mocna miska. Każdy miał przy sobie miskę i strzegł jej, jako swego źródła życia. Chociaż dawno nie używaną, miałem swoją miskę przyczepioną pod bluzą. Używając jej jako dźwigni próbowałem brzegiem podważyć drut. Próbowałem w różnych miejscach... na próżno.

Omdlały mi podniesione w górę ręce. Odpoczywając pomyślałem: pomagaliśmy sobie z Edkiem wzajemnie, on mi teraz też pomoże. Stanąłem na jego ramionach. Teraz wygodniej mogłem miską operować.

Po kilku próbach, w jednym miejscu drut drgnął.

Była ciemna, bezksiężycowa noc. W pobliżu toru czerniła się ściana lasu. Pociąg toczył się niezbyt szybko.

Nie wiem jak długo to trwało i ile razy zrezygnowany i bez sił przerywałem pracę, ale w końcu oderwałem większą część drutu. Otwór był na tyle duży, że mogłbym się przez niego wydostać. Długo odpoczywałem, żeby набrać siły, bo czekało mnie zadanie chyba trudniejsze od dokonanego, wydostanie się na zewnątrz.

Powoli podciągnąłem się rękami do góry. W momencie, kiedy miałem już głowę na zewnątrz, Edek przechylił się na bok, straciłem pod nogami podporę i spadłem. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby ustawić Edka w poprzedniej pozycji i dostać się z powrotem na górę. Byłem teraz ostrożniejszy i udało mi się przedostać głowę i ramiona, ale dalej nie miałem już sił.

Po dłuższym odpoczynku stanąłem na Edka głowie i spróbowałem. Wspólnym wysiłkiem nóg i rąk wydostałem się do połowy. Zawisłem na krawędzi już bez podpory pod nogami.

Teraz myślałem – co dalej? Nie mogę zsunąć się głową na dół, bo się zabiję. Muszę spaść na nogi i ręce.

Znajdowałem się na przodzie, w prawym rogu wagonu.

Skręcając tułów, palce jednej ręki zaczepiłem na krawędzi dachu i szukałem czegoś dla drugiej ręki. Natrafiłem na jakiś pręt żelazny wystający przy końcu ściany. Trzymając się go jedną ręką a drugą krawędzi dachu, wydostałem się na zewnątrz. W tym momencie ręce nie utrzymały mojego ciężaru i spadłem.

Nie spadłem jednak na głowę, bo słyszałem koło mnie dudnienie kół, które uciło powoli.

Dokoła zaległa cisza. Minął jakiś czas zanim uprzytomniłem sobie, że jestem wolny.

Poruszyłem się, żeby wstać, kiedy poczułem straszny ból w całej prawej stronie ciała, szczególnie w biodrze i ramieniu.

Blisko toru był las. Posługując się lewą ręką i nogą, przeczołgałem się do najbliższych drzew. Dotykałem bolących miejsc, ale kości były całe, tylko przez poprzedziane ubranie wyczułem mażącą się pod palcami krew.

Leżałem bezwładnie pod krzakiem. Zaczęło się rozwidniać.

Ból zmniejszał się powoli.



Rano wszedłem w głąb lasu, kierując się na zachód. Deszcz wciąż padał. Byłem na wylot przemoczony i zziębnięty. Omijając mokradła i zarośla przedzierałem się przez nieprzyjazny teren. Później trafiłem na ślad zarośniętej ścieżki. Była ledwie widoczna i często ją gubiłem, ale było mi po niej trochę łatwiej iść, tylko że moje nogi były coraz cięższe i coraz wolniej nimi poruszałem. Szedłem i szedłem; wciąż był ten sam las, aż ścieżka stała się wyraźniejsza i las zaczął rzednieć.

Doszedłem do małej polanki, za którą dalej był las. Na skraju polanki były resztki czegoś, co kiedyś było pewnie szopą. Pozostało tylko kilka sterczących z ziemi przegniłych belek i w jednym kącie sterczał kawałek ściany z resztką dachu. Było tam trochę suchego miejsca. Tutaj odpocznę, pomyślałem. Przykucnięty wtuliłem się w kąt.

Po chwili głowa opadła mi na piersi, usnąłem.



Obudziło mnie twarde uderzenie w czoło. Otworzyłem oczy. Czoła mojego dotykał koniec lufy karabinu. Nade mną stał żołnierz. Na głowie hełm, na kołnierzu znak SS.

Auf! – powiedział. Z trudnością wstałem. Za nim stał drugi, także z karabinem skierowanym w moją stronę.

Hande Hohe! Nie mogłem wysoko podnieść rąk. Ze złością podbił mi je karabinem do góry. Powiedział coś do drugiego i wypchnął mnie z kąta. Poszturchując karabinem poprowadził przed sobą. Ten drugi ruszył przed nami. Poszliśmy dalej tą ścieżką, którą szedłem.

W końcu doszliśmy do drogi. Kiedy pierwszy żołnierz doszedł do połowy a ja byłem tuż za nim, nagle pod naszymi nogami rozbłysły iskry i od prawej strony doszedł głos karabinu maszynowego. Idący przede mną rzucił się gwałtownie do tyłu,

przewracając mnie w rozpędzie. Leżąc na drodze widzę strzelający do nas pancerny samochód. Iskry dalej sypią się koło mnie. Zrywam się, kilkoma skokami naprzód przebiegam drogę. Biegnę przez las w kierunku strzelającego kaemu.

Biegnę bez wytchnienia, przewracam się na wykrotach, zapadam się w błotnistych kałużach, zrywam się na nowo i biegnę.

Strzały ucichły. Kiedy nie mogę już biec, idę na ślaniających się nogach, kiedy nie mogę już iść, czołgam się na czworakach. Leżę bezwładnie żeby za chwilę poderwać się znowu.

Nie mam już dalej siły, muszę odpocząć. Położyłem się pod drzewem.

Wysłuchuję się w ciszę, bo wydawało mi się, że doszedł mnie jakiś daleki szmer.

Nie, to nie było złudzenie, znowu usłyszałem przez chwilę jakiś bardzo niewyraźny szum i po pewnym czasie drugi. Muszę zobaczyć co to jest. Podniosłem się z trudem i powoli, krok za krokiem powlokłem się w kierunku głosu. Powtarzające się nieregularnie głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Wreszcie wiem. To jest warkot samochodów. Dodało mi to trochę sił.

W końcu przez drzewa prześwituje światło i widzę migające na drodze, pędzące szybko pojazdy.

Ostatkiem sił doszedłem do brzegu lasu i upadłem. Kilka kroków przede mną, po szerokiej asfaltowej drodze pędziły wojskowe ciężarówki ze znakiem białej gwiazdy.

Nikt mnie tutaj nie zauważy, muszę zbliżyć się do drogi. Próbuję wstać, ale nie mam siły. Przeczółgałem się do brzegu.auta przelatują dalej, nikt się nie zatrzymuje. Kiedy tylko mogę, podnoszę rękę do góry, ale wkrótce nie mam na to siły.

Mignął mi przed oczami jeep i stanął. Cofnął się na tylnym biegu. Mam przed oczami białą gwiazdę. W dziuple siedzi dwóch żołnierzy. Jeden zeskakuje i pochyła się nade mną. Coś do mnie mówi.

Ja jestem Polish – mówię. – *Konzentrations Lager*. Chcę mu pokazać mój numer na bluzie, ale bluza, tak jak i ja cały, jest pokryta błotem. Żołnierz coś woła do drugiego, siedzącego za kierownicą i tamten zeskakuje z jeep'a. Obaj

podnoszą mnie z ziemi i kładą na tylne siedzenie. Jedziemy. Ten pierwszy odwraca się do mnie i pyta: *Are you Polish?* „Tak ja Polish” – odpowiadam. Uśmiecha się ucieszony. *Jo tyz Polish. My name is Joe Shell, but my ojciec był Skorupa, Stanley Skorupa.* – Uniesiony radością spotkania wyjmuje z paczki papierosa, zapala i wtykając mi go w usta mówi: *Here, zapol se.*

Pociągnąłem.

Błysk! Świat zawirował dokoła. Zapadłem w ciemność.



Był 17 kwietnia 1945 roku.

Romuald CZYŻEWSKI

Halina CZERMIŃSKA-ŻELAŻNIEWICZOWA „Urszula”

LUZDZIE Z „ZAGAJNIKA” 1942-1944*

*Tę kartę badam
Najczulszym węchem mojej dłoni –
Z jakich jest desek strugana
I twarzy...*

Stanisław Grochowiak „Leśni”

Pusty i cichy dom, deszcz dudniący za oknami i zmrok, nie pozwalają swoim nastrojem sforsować tamy, którą na drodze wspomnień postawił czas – lekarstwo i unicestwienie zarazem. Dziwnie ciężko cofać się w tamte lata, choć żyją one ciągle w każdej tkance mej pamięci, bardziej jednak jako

* Wspomnienia te pisałam z myślą o synach – Andrzeju i Ludwiku, i ich rodzinach. Mój wnuk – Miś Żelażniewicz, gdy dorośnie, gdziekolwiek będzie, niechaj te okruchy wspomnień o czasach odległych, a przecież wciąż żywych, przyjmie jako dziedzictwo i legat.

błyski przeżyć, niż chronologicznie uporządkowana historia.

Do pracy w „Zagajniku” zaangażował mnie jesienią 1942 roku *Stefan*, po jakimś czasie zamieniony w *Tomka* – naprawdę Stanisław Tyski, geolog, mój przyszły szwagier, a zawsze przyjaciel. Poprzednio prowadziłam sekretariat w redakcji podziemnego czasopisma *Ajencja Prasowa*, wydawanego przez BIP KG AK.

SPECYFIKA PRACY W „ZAGAJNIKU” KG AK I PODLEGŁYCH JEJ ORGANIZACJACH TERENOWYCH

„Stefan” w porozumieniu z naszym wojskowym zwierzchnikiem *Erykiem* (ppłk Henryk Krajewski cc), a po jego odejściu do innych zadań – z *Granią* (mjr Wiktor Marcinkowski) organizował łączność tej komórki, ustalał pracę lokali, montował grupy słuchaczy, układał harmonogramy zajęć i zestawy eksponatów ćwiczeniowych, prowadził powielanie instrukcji i podręczników. Była to praca wielostronna, skomplikowana i niebezpieczna. Do każdej z łączniczek należała opieka nad przydzieloną jej grupą słuchaczy, zwykle trzy- lub czteroosobową. „Stefan” bardzo sumiennie i bardzo rygorystycznie zawiadywał zespołem swoich „jędz”. Na ten nieco zgryźliwy „chrzest” zapracowałyśmy sobie same – trzymane bowiem żelazną ręką, próbowałyśmy mimo to zachować resztki własnej indywidualności – stąd to ziarnko goryczy w naszych stosunkach z szefem. Było regułą, że „Stefan” przynajmniej z jednodniowym wyprzedzeniem informował dokładnie każdą z nas o tym, gdzie się odbędzie kurs, w jakiej kolejności zaprogramowane zostaną wykłady, jak liczną przewiduje się grupę. Ze względów bezpieczeństwa miałyśmy przydzielone zespoły lokali, z którymi trzeba było utrzymywać organizacyjny kontakt, ustalać hasła, orientować się na bieżąco w warunkach i ewentualnym zagrożeniu. Przydziały uwzględniały miejsce zamieszkania łączniczek. Ponieważ mieszkalam na Żoliborzu, należała do mnie stała łączność z

większością lokali w tej właśnie dzielnicy. Co parę dni, o wyznaczonej godzinie, łączniczki spotykały się ze „Stefanem” w kontaktowym punkcie.

Pamiętam, że kiedyś na Gwiazdkę ofiarowałyśmy „Stefanowi” dla dowcipu małą dziecinną broszkę, która wyobrażała gałązkę i siedem siedzących na niej ptaszków – nieśmiały i nastroszonych. Dołączona do prezentu karteczka informowała szefa, że oto „jędze” czekają na audiencję. Właśnie tak to się odbywało – siedziałyśmy przy stole, bo w pokoju nie było wiele miejsca i kolejno podchodziliśmy pod okno, gdzie urzędował „Stefan”, a ten każdej z nas dawał dyspozycje na dni najbliższe i wysłuchiwał jednocześnie raportów o przebiegu zajęć.

W redakcji *Ajencji*, gdzie pracowałam poprzednio, miałam bardzo dużą samodzielność i swobodę. Natomiast tu, w „Zagajniku”, panował surowy rygor konspiracyjnej pracy i regulaminowy, utrzymywany przez „Stefana” porządek.

Początkowo trudno mi było przystosować się do tego systemu wojskowej zależności, ale wkrótce zrozumiałam, że to był bardzo dobry system – właściwy na tamte trudne warunki. „Stefan” był szefem dla mnóstwa osób: wykładowców, łączniczek, słuchaczy. Kursanci, przysyłani przeważnie z terenu, o różnym stopniu konspiracyjnego przeszkolenia, zmieniali się co dwa tygodnie, tworząc swoisty kalejdoskop, przesuwał się przez „Zagajnik” postaci. „Stefan” bezwzględnie wymagał dystansu w kontaktach. Wiedział, że jesteśmy młode i ładne, kursanci zaś to interesujący mężczyźni i chciał wykluczyć możliwość wzajemnych zauroczeń, nie sprzyjających konspiracyjnej pracy. Toteż, proponując współpracę, postawił mi twarde warunki. Spokój, powaga, dystans – żadnego zapraszania do domu, żadnego nawiązywania towarzyskich kontaktów, nie mówiąc już o najmniejszym nawet flircie. Szczególnie ponuro zabrzmiała końcowa informacja, że „jedną taką”, co to nie umiała dostosować się do tych wymagań, wyrzucili po prostu z organizacji. No, to już byłoby rzeczywiście dno i absolutny powód do samobójstwa – wylecieć z powodu bezmyślnej kokieterii z tak ważnej patriotycznej roboty. I tak się stało. W „Zagajniku” były same „Oleńki Bilewiczówny”. Toteż jeden z kursantów, porucznik *Żubr*, który za niespełna dwa lata został moim mężem, nigdy nie był w

tych konspiracyjnych czasach zaproszony do mojego rodzinnego domu, choć zrobił w „Zagajniku” i na mnie duże wrażenie, gdy opowiadał o swoich uciezkach z niemieckich oflagów. Ta surowa dbałość „Stefana” o bezpieczeństwo i powagę pracy dała doskonałe wyniki. Na około 1200 przeszkolonych w „Zagajniku” oficerów i żołnierzy nie było nigdy najmniejszej wyspy, która mogłaby się odbić ujemnie na funkcjonowaniu tej komórki.

LOKALE „ZAGAJNIKA”

Lokal przy ul. Karolkowej

Skromne mieszkanie krawcowej w robotniczej dzielnicy Warszawy, na Karolkowej na Woli, było lokalem najczęściej chyba wykorzystywanym i przez to najbardziej narażonym na przypadkową dekonspirację. Stara, odrapana kamienica z typowym podwórzem-studnią. Zniszczone, wydeptane schody, ciemnawe pomieszczenia... Pamiętam, że trzeba było przejść przez pokój, w którym stała maszyna do szycia, i w którym pracowała właścicielka mieszkania, by znaleźć się w większym i staranniej urządzonej pomieszczeniu. Tam odbywały się tzw. „podjęcia” osób kierowanych na kursy w charakterze słuchaczy. Było tam duże lustro i stół, nakryty serwetą z kordonka, ze stojącą na środku dużą, szklaną kulą, o wnętrzu w kolorowe pasma jak zastygła tęcza. Dosłownie wszyscy przeszkoleni w „Zagajniku” słuchacze znali ten adres, a mimo to lokal pracował bez przerw, cały czas, aż do wybuchu powstania.

Nie ma już dziś tego domu, zginął chyba razem z innymi domami na Woli i nikt z nas nie wie, jaki los spotkał tę skromną, bohaterską rodzinę, bezimiennie, a ofiarnie biorącą udział w prowadzonej walce.

„Szkłane domy” (spotkanie z Janem Piwnikiem i Janem Rogowskim)

Kilka dobrych lokali kursowych mieliśmy w spółdzielni mieszkaniowej „Szkłane Domy” na Żoliborzu. Do niektórych z tych mieszkań wchodziło się z okrężnego krużganku, nie z klatki schodowej. W jednym z nich oddano nam do dyspozycji mały pokój, z wejściem właśnie z krużganku. Był to raczej niebezpieczny lokal. Sytuację ratowało jego ewentualne powiązanie z resztą mieszkania, dające dodatkowe zaplecze, pewne oparcie i przestrzeń.

Tam właśnie poznałam *Donata-Ponurego* (Jan Piwnik) i *Czarkę* (Jan Rogowski). Występowali obaj w „Zagajniku” w charakterze wykładowców taktyki. Na inauguracji szkolenia „Donat” przedstawił relację z przebiegu odbicia żołnierzy Armii Krajowej z więzienia w Pińsku. Wrażenie było ogromne. Akcję tę, z której wszyscy byliśmy dumni, przygotowaną i obmyśloną w najdrobniejszych szczegółach, zrealizowaną z żelazną konsekwencją i wspaniałą znajomością warunków lokalnych – przedstawiał „Donat” spokojnie i z pozoru beznamiętnie, choć „koronkowość” roboty zdradzała, jak bardzo miał ją „we krwi”. Chłonęliśmy każde słowo – zaszczytem było poznawać „Pińsk” z relacji samego dowódcy. Notowałam wszystko z największą skrupulatnością. „Stefan” polecił mi przygotować z tej relacji konspekt do wykorzystania przez innych wykładowców. „Donat” żartował – „dobrze, że to wszystko pani sama pisze, bo ja miałem zawsze dwójkę z polskiego”. Obaj z „Czarką” byli szalenie bezpośredni, przyjacielscy i pełni humoru. Przychodzili zwykle razem i już po wejściu do mieszkania nucili na powitanie znane wtedy tango – „Czy włączęga to coś najgorszego, czy włączęga nie ma prawa żyć”. Słuchaczami tego kursu było dwóch starszych panów, kulturalnych i miłych, bardzo „cywilnych”. Stanowili wzajemny kontrast. Młodszy, którego pseudonimu nie pamiętam, był wysoki, szczupły i energiczny. Starszy – maleńki, cichy, delikatny pan *Klemens* – „do rany przyłóż, a zagoi się” – zawsze mnie dziwiło, jak mógł on wybrać ten kierunek szkolenia. Był chyba za delikatny na tak bezwzględną formę walki jak dywersja.

„Szkłane domy” – mieszkanie pani Stefanii Osmólskiej
– „Zygmus-Zagończyk”

W żoliborskim mieszkaniu pani Stefanii Osmólskiej, bibliotekarki z Biblioteki Publicznej na Koszykowej, którą znałam jeszcze z lat mojej nauki w szkole bibliotekarskiej, było nam wygodnie. Mieszkanie zwykle było puste – miałam klucze i sama otwierałam drzwi. Teraz, kiedy pisząc te wspomnienia sięgam do dna pamięci, widzę jak z atmosferą tych wnętrz, tak różnych – ubogich i zamożnych, zadbanych i zupełnie surowych – kojarzą mi się ludzie, którzy się przez nie przesunęli. Szkolenie – to było przynajmniej 4 godziny wykładów *non-stop*. Zwykle dwóch wykładowców prowadziło każdego dnia taki kurs. U pani Osmólskiej widzę *Zygmutusa* – jednego z najciekawszych, poznanych przeze mnie na kursach ludzi. Wysoki, barczysty, z krótkim wąsem – miał w swej postaci coś z bohatera Trylogii. Przypominał się Chreptiów i pan Nowowiejski – przypominała się nuta harcerek pieśni „o rycerstwie spod kresowych stanic”. W myśli nazywałam go sobie „Zagończykiem”. „Zygmus” absolutnie mi nie pasował. Kiedyś, gdy czekaliśmy na wykład, „Zagończyk” przyznał się, że pochodzi z powstańczej polskiej rodziny, osiedlonej od kilkudziesięciu lat – na skutek carskiego jeszcze wyroku – gdzieś na Syberii. Do kraju po forsownych staraniach przyjechał „Zygmus” przed samym wybuchem wojny, w którą już zaczynało wierzyć. „Bić Niemca, bronić ojczyzny” – to była dewiza „Zygmutusa”.

Sam z wykształcenia inżynier mechanik, studiował na którejś z sowieckich uczelni technicznych. Na naszych kursach wykładało dwóch inżynierów mechaników z Politechniki Warszawskiej: *M-1* – inż. Kazimierz Kotarba, po wojnie rektor Politechniki Gliwickiej i *M-2* – inż. Stanisław Lisowski – *As*. „Zagończyk” postanowił zmierzyć się z nimi od strony profesji. Obaj panowie zgodzili się na taką próbę sił. Zapamiętałam – chyba na zawsze – rozjaśnioną twarz „Zygmutusa”, który swą piękną, bezbłędną a śpiewną polszczyzną opowiadał mi jak to się odbyło. Niech pani sobie wyobrazi, przegrałem – ja prymus – przegrałem z inżynierami, którzy w toku stu-

diów mieli opinię tylko dobrych studentów. To wielki dzień – unosił się – macie świetne uczelnie, doskonałych inżynierów, i chwała Bogu!

W jednym z ciężkich dni powstania, kiedy bardzo dużo ludzi zginęło na Długiej, gdzie w Archiwum Akt Dawnych miał swoją kwaterę płk Wachnowski – zobaczyłam nagle w narożnej bramie, przez którą trzeba było przebiec, by wydostać się na ulicę – zabitego, przykrytego jakąś plandeką męzczyzną. Leżał na wznak – spod plandeki widać było cywilne, sportowe spodnie i nogi w grubych, do kolan sięgających skarpetach. Bezwładna, wystająca ręka, ze znajomym sygnetem na palcu, napełniła mnie trwożą – przecież to „Zagończyk”! Twarz zabitego była zakryta – nie miałam siły, by ją odsłonić. Może się omyliłam – i oby tak było. Szkoda było każdego, życie ludzkie nie ma ceny – ale „Zagończyk” był wspaniały i wiele mógł dokonać. Stąd też i żal mocniejszy.

„Szkłane Domy” – mieszkanie pp. Gomólińskich; por. Kron, pani Irena Próchnikowa, trzej z oflagu w Dössel

Na Żoliborzu, w „Szkłanych Domach” mieściło się mieszkanie państwa Gomólińskich. Kupowało się tam rozsady pomidorów – takie było hasło. Drzwi najczęściej otwierała babcia, a Łukasz, mały synek gospodarzy, rozgarnięty i miły chłopaczek, towarzyszył mi od momentu, gdy zaczęli się schodzić słuchacze. W pokoju gdzie odbywały się wykłady było ciepło, a w pogodne dni – słonecznie. Z dużego portretu pani domu, utrzymanego w pastelowej gamie – Witkacy ukośnym napisem dziękował za papierosy i wermuth. W tym miłym lokalu najczęściej ministerstwo wykładał por. *Kron*, skoczek spadochronowy, sympatyczny, opanowany, jakiś „jasny od środka”. Wszyscy głęboko przeżyliśmy jego śmierć w akcji odbicia więźniów pod Celestynowem, na którą „na siłę” się wprosił. Tak czasem idzie się samemu „pod kosę”, bez przeczuć i bez lęku.

W tym właśnie mieszkaniu poznałam kiedyś panią Irenę Próchnikową z d. Gomólińską, siostrę pana domu. Musiała

mieszkać blisko, bo pamiętam, że w szlafroku i rannych pantofelkach przybiegła na chwilę po jakąś prasę – energiczna, pełna życia, mimo ciosu, który ją dotknął, gdy nagle umarł jej mąż, znany działacz PPS-u, Adam Próchnik. Nikt nie wiedział, że wkrótce zostanie aresztowana i zginie bez śladu w berlińskim Moabicie.

Słuchaczami jednego z kursów, odbywającego się w tym mieszkaniu, była grupa trzech młodych oficerów – uciekinierów z oflagu w Dössel. Zaprzyjaźniłam się z nimi z miejsca i wszystkich pamiętam doskonale. Najstarszym był por. *Smok* – wysoki, małowówny, o łagodnym, miłym sposobie bycia. Ten krwiozerczy pseudonim potwierdzał sprawdzoną przez nas, „jędze”, prawidłowość: „bestie”, „smoki” – to ludzie zrównoważeni, delikatni i cisi, natomiast wszystkich „Lalusiów” i „Zygmusiów” rozsadzała wprost energia i żywiołowość. A więc był w tej grupie por. „Smok”, o prawdziwym imieniu Zygmunt, ppor. Franek – energiczny, jasnowłosy, rzeczywiście noszący to imię i szczupły ciemnooki ppor. *Ślepowron*, czyli Tadeusz. Opowiadali ciekawie, sugestywnie, o swojej ucieczce podkopem z oflagu w Dössel, we wrześniu 1943 roku. Im przyniosła ona wolność, dla większości jednak ich kolegów obozowych ucieczka ta skończyła się tragicznie. Niemcy wbrew konwencji genewskiej całą grupę oficerów, których udało im się zatrzymać, rozstrzelali w Buchenwaldzie. Od tych dzielnych chłopców dostałam na pamiątkę, gdy rozstawaliśmy się, srebrny pierścionek, bardzo modny w okupacyjnej Warszawie. Wyobrażał on prostokąt okratowanego okna i wijącą się wokół ramy gałązkę bluszczu – rzeczywistość i nadzieję.

Z małej książeczki kupionej już po wojnie we wrocławskim kiosku „Ruchu”, pióra Wincentego Kawalca pt. „Pięćdziesięciu z Dössel”, odtworzyłam nazwiska naszych kursantów – i myślę, że trafiłam dobrze. „Smok” – por. Zygmunt Pietrzyński, zginął w powstaniu na lotnisku bielańskim; *Franek* – ppor. Franciszek Baumgart, brał udział w powstaniu i przeżył je, skoro autor pisze, że jest „pracownikiem państwowym”; „Ślepowron” – ppor. Tadeusz Dietrich, przydzielony – jak pamiętam – do dywizji wołyńskiej, przeżył wojnę i wg Kawalca pracuje jako lekarz.

Żolibórz – mieszkanie pp. Kaczkowskich

I jeszcze Żolibórz – ulica Dziennikarska. Małe piętrowe domki, ogródki, wąska uliczka, biegnąca w dół od położonej wyżej magistrali ulicy Krasińskiego. U państwa Kaczkowskich czułam się jak u dobrych znajomych. Gospodarz – pułkownik w stanie spoczynku, ofiarny i pogodny, jego żona – pani jeszcze piękna, dla nas zawsze gościnna i matczyna. Tacka z herbatą i jakimś słodkim dodatkiem to nieodzowne akcesorium naszych spotkań w tym serdecznym domu. Korzystaliśmy zwykle z małego gabinetu na parterze, z oknami wychodzącymi na ogród. Okrągły stolik z figurką krasnoludka na klonowym liściu – maskotką, którą kiedyś przyniosłam „na szczęście”, fotele, kanapka, dywan tłumiący kroki. Hasłem była tu „herbata”. Miało to swój odpowiednik w rzeczywistości, bo płk Kaczkowski prowadził wśród znajomych małą sprzedaż herbaty z ziół, dających doskonały aromatyczny wywar, o świetnym gorzkawym smaku. Nie umywały się do tej mieszanki sprzedawane w sklepach różne ekstrakty, imitujące esencję herbaty, której brak odczuwaliśmy wszyscy dotkliwie. Trudno przecież wyobrazić sobie polski, gościnny dom bez tego napoju „dobrego na wszystko”. Na Dziennikarską przynosiłam zawsze najnowszy numer *Biuletynu Informacyjnego*, bo stary pułkownik był zawsze żądny wiadomości. Córka gospodarzy, pani Irena, była wprowadzona w nasze spotkania – wszystko to stwarzało atmosferę spokoju i bezpieczeństwa, tak bardzo potrzebną w tej pełnej napięcia pracy.

Tu właśnie poznałam por. Żubra (Waleriana Ryszarda Żelaźniewicza) uciekiniera z Oflagu X-C w Lubecie. Nie przeczuwałam zupełnie kim w przyszłości stanie się dla mnie ten młody człowiek. Wtedy niespodziewanie zostałam przydzielona do kilkudniowej opieki nad grupą Ewy (Jadwiga Zylberowa), która zachorowała. Z opowiadań koleżanki znałam wszystkich uczestników. Był to ciekawy zespół, a „Żubr” wypadł w jej ocenie szczególnie korzystnie.

Zadymka tego dnia szalała od ran, na ulicach potworzyły się ogromne zasy, a tramwaje chodziły z wielkim opóźnie-

niem. Spieszyłam się, brnąć przez śnieg Dziennikarską do „Dziadków” – taki kryptonim miał ten miły lokal. Przede mną, sprężystym, „wojskowym” krokiem szedł młody człowiek, w długim ciemnym płaszczu i tyrolskim kapeluszu. Zastanowił się na chwilę przed furtką państwa Kaczkowskich i ruszył wolno w dół ulicy. Było jeszcze wczesnie, ale nietrudno było się domyśleć, że to pierwszy słuchacz krąży w pobliżu. Ledwie przygotowałam wszystko, co było potrzebne do wykładu o zapalnikach chemicznych, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach. W wizjerce dojrzałam tyrolski kapelusz i zarys ośnieżonej sylwetki. Po wymianie hasła i odzewu „Żubr” był już w pokoju, oddanym nam do dyspozycji. Za chwilę przyszli dwaj inni panowie, ale wykładowca, chemiczka, pani Krystyna, wyraźnie miała trudności z dojazdem. Gdy tak czekaliśmy na rozpoczęcie wykładu, a gorąca ziołowa herbata pozwoliła wszystkim „odtajać”, „Żubr” zaczął jakoś spontanicznie opowiadać o jednej ze swoich ucieczek z Sonderoflagu Colditz IV-C, gdzie długi czas przebywał. Opowiadanie tak wszystkich zajęło, że nawet kiedy pani Krystyna zmarznięta była już między nami, to nie mówiło się tego dnia o zapalnikach. Nigdy nie można było przewidzieć, co i komu może się przydać w tych groźnych czasach. Technika ucieczki mogła stanowić także materiał szkoleniowy. „Stefanowi” lojalnie opowiedziałam jak to się wykład o zapalnikach nie odbył nie tylko z powodu śnieżycy i jak to nasi słuchacze dopiero za kilka dni zgłębili tajniki zapalników, naszej, konspiracyjnej i tej „importowanej” z Anglii, produkcji.

W oflagu IV-C, mieszczącym się w starym saskim zamku, Niemcy zgrupowali największą liczbę uciekinierów-recydywistów różnych narodowości. Mimo surowego reżimu, wbrew oczekiwaniom komendantury obozu, właśnie w Colditz mnożyły się ucieczki indywidualne i grupowe. Konkurowano wręcz ze sobą o prymat w pomysłowości i logice przygotowania tych akcji. „Żubr” uciekał z Colditz kilkakrotnie – niestety bez powodzenia. Ucieczka, o której nam opowiadał miała miejsce wczesną jesienią 1942 roku, ze spaceru w parku okalającym zamek-więzienie nad Muldą. Plan jej był doskonale przygotowany. Za ukrycie posłużyła

szopa, koło której wracający ze spaceru oficerowie musieli przechodzić. Okna tej szopy wychodziły na nie uczęszczaną część parku – już za drutami. Wtajemniczeni w plan ucieczki koledzy pokryli lukę w szeregu przygotowaną kukłą, nadciągająca gradowa burza zmieszała trochę szyk wracającej kolumny i Niemcy nie zauważyli braku jeńca. „Żubrowi” udało się dotrzeć na stację kolejową, gdzie wskoczył do odjeżdżającego towarowego pociągu. Alarm w obozie ogłoszono już po powrocie ze spaceru i po burzy. Obława z psami ruszyła natychmiast do parku, ale ulewny deszcz zdążył zmyć ślady. Dopiero we Wrocławiu, na dworcu głównym, „Żubr” został odkryty przez żandarmerię, gdy wychodził z peronu do miasta. Miał wtedy szczęście – przekazany do Wehrmachtu, nie do Gestapo, został odesłany pod eskortą z psem z powrotem do Colditz. Udana ucieczka miała nastąpić dopiero za rok, jesienią 1943 roku ze szpitala oflagu X-C w Lubece, dokąd został przewieziony w okresie likwidacji obozu Colditz. W ucieczce tej, również doskonale przygotowanej, pomogli mu dwaj lekarze – Polak, dr Zygmunt Chojnacki (57 PP Poznań) i Jugosłowianin, którego nazwiska już nie pamiętam. Znaczącej pomocy udzielił również młody podchorąży, też bezimiennie przeze mnie zapamiętany, który wychodził do pracy poza obręb obozu i przygotował w umówionym miejscu ubranie cywilne dla zbiega. I tym razem droga wiodła do kraju, nie na Zachód.

„Żubr” wziął udział w powstaniu (Krzyż *Virtuti Militari*) przejmując na rozkaz płk. *Radwana* dowództwo kadrowego plutonu dywersyjnego. Dowodził nim poprzednio kpt. *Roman*, który bohatercko poległ w jakimś wypadku. O śmierć było tam łatwo – pluton miał swoje „mp” w Towarzystwie Kredytowym Ziemi, na rogu Mazowieckiej i placu Małachowskiego, a więc na pierwszej linii frontu, dosłownie o krok od Niemców okupujących strategiczny teren placu Piłsudskiego wraz z budynkiem Zachęty. Ciężko ranny został w ruinach pałacu Kronenberga (dzisiaj stoi tu hotel *Victoria*), z którego prowadził ostrzał niemieckich pozycji. „Żubr” utrzymał się przy życiu dzięki swym wiernym żołnierzom. Przenosili go bliskiego śmierci (postrzał w szyję) ze szpitala do szpitala, w miarę jak poszczególne ulice dostawały

się w ręce wroga. Do dziś jest u nas pled jego łączniczki *Gizelki* (Helena Długosińska-Żurawska), który wyniósł, ratując się sam z płonącego szpitala na Foksal, dokąd już nikt nie mógł dotrzeć z pomocą dla niego. Szczęśliwie trafił do szpitalika prowadzonego przez dr Malanowskiego, któremu dzięki świetnej znajomości języka udało się wmówić Niemcom, przy likwidacji tego szpitala, że leżą tu tylko jego prywatni pacjenci, poranieni przez przypadek odłamkami. Po upadku powstania, wywieziony z rannymi do Pruszkowa, został znaleziony i zabrany przez swych przyjaciół, państwo Leonostwo Wiśniewskich z Poznania. Zapewnili mu oni pomoc i opiekę.

Wtedy, tamtego śnieżnego popołudnia, kiedy „Żubr” w takim napięciu trzymał naszą uwagę, nawet mi przez głowę nie przeszło, że za ponad rok spotkamy się przypadkowo w Częstochowie, że rozpoznam go nieomylnie, mimo usztywniającego kręgi szyjne i przysłaniającego twarz gorsetu, i że to spotkanie zakończy się naszym małżeństwem. Przyszłość była dla nas białą kartą, a szanse na los szczęśliwy mogły się wydawać znikome, gdyby nie młodość nas wszystkich, która zawsze wierzy i zawsze ma nadzieję.

Mieszkanie na ul. Czerniakowskiej – lokal „Samurajów”

Był tu tylko jeden dwutygodniowy kurs dla ludzi z tej grupy – następne z jakiegoś powodu zostały odwołane. Doskonale pamiętam swoją „trójkę”. Dowódca grupy – *Jerzy*, lekarz z wykształcenia, *Ludwik* – oficer zawodowy, i najmłodszy z nich, podchorąży *Zych* – chyba student. Bardzo się z nimi zżyłam przez te dwa tygodnie. Byli inteligentni, doskonale wychowani, świetnie radzili sobie z całym kursowym materiałem. Mieszkanie było ubogie i zaniedbane, ale wszędzie dawała o sobie znać Japonia. Widocznie któryś z nich w tamtej egzotycznej kulturze odnalazł wzorce dla siebie, stąd oryginalne akcesoria i stąd kryptonim grupy. „Jerzy” – brunet o skośnych oczach, z cienkim długim wąsem, przypominał bardzo aktora ze znanego przedwojennego

filmu „Gorzka herbata generała Yen” i on z tej grupy najwyraźniej pasował do stylu i surowej atmosfery mieszkania. Siedziałam więc na prostej kanapce, pod lampą z trzcinowym abażurem, wśród japońskich niebarwionych wachlarzy i w myśli rozwiązywałam, razem z „moimi panami” taktyczne zadania, które opracowywał „Eryk”, szef „Zagajnika”. Bardzo mnie to pasjonowało – usiłowałam sprawdzić, czy mam jakąś wojskową intuicję, czy mi jej brak. Dziś, gdy myślę o tych trzech młodych ludziach, których twarze tak dobrze pamiętam, pytam losu – czy przeżyli?

Mieszkanie na ul. Czerniakowskiej – lokal chłopców z Powiśla (pojedynek judo, śmierć Andrzeja „Morro”)

Na Czerniakowskiej był także lokal grupy trzech, albo czterech bardzo młodych chłopców, prawie jeszcze dzieci. Byli to typowi „warszawiacy” z tej nadwiślańskiej dzielnicy, którzy – jak u Makuszyńskiego – nawet śmierć potrafili ogrywać. Bystrzy, zaradni i pełni werwy, a przy tym szalenie mizerni i chudzi. Ich emocje rozpałił zapowiedziany przez taktyka, spadochroniarza z Anglii, pokaz judo. T-2 czyli Zbigniew Bąkiewicz cc (wśród nas łączniczek zwany Tadeuszkiem) tego dnia trochę się spóźnił i moi słuchacze przechwalali się, jak to oni tego judokę położą. Bardzo pewny siebie był najstarszy w tej grupie, zawadiacki blondynek, Wirecki. No i nastąpiła klęska. Tadeuszek „japońskim krawatem” kładł wszystkich, Wireckiego też. Byłam im wdzięczna za poczucie humoru – śmiali się wszyscy, więc i ja nie potrzebowałam zachowywać powagi, aby im nie zrobić przykrości. W bardzo wesołym nastroju skończył się ten kurs, którego judo było ostatnim punktem programu. Nikt nie przeczuwał, że kocim krokiem zbliża się do nas okrutny, wojenny los. W parę dni później, na przystanku tramwajowym przy placu Zbawiciela, byłam umówiona z Wireckim – miałam mu wręczyć komplet instrukcji kolejowych. Długo i daremnie czekałam na tego sympatycznego chłopca. Został wzięty przez Gestapo z ulicy, prawdopodobnie gdy szedł na to spotkanie ze mną. Były o nim wiadomości z Pawiaka – złe wiadomości...

Przez słoneczne podwórze, obok zarośniętej winem oficynki, gdzie odbywał się ów kurs, przebiegałam znów w czasie powstania, prowadząc Andrzeja *Morro* (Andrzej Romecki) z ulicy Śniegockiej na Wilanowską 18/20 do płk. Radosława. Kilka dni później bolesnym echem odbiła się w naszych szeregach jego śmierć. Zginął, gdy biegł na pozycje żołnierzy gen. Berlinga, którzy stawili się na pomoc powstańczej Warszawie. Te nieliczne, ale bohaterskie, polskie forpoczty sowieckiego frontu, walczyły z nami ramię przy ramieniu, ginąc gęsto.

Masakra na ul. Wilanowskiej i ocalenie

Ulica Wilanowska to także znaczący dla mnie rozdział życia. Dom pod numerem 18/20 znałam jeszcze z czasów konspiracji, bo w którymś z pięknych mieszkań na I piętrze był lokal jednej z grup „Parasola”, szkolonej na naszych kursach. Pamiętam por. *Niesza* (Stanisław Nowiński), który był dowódcą grupy. Spotkałam go później na Starym Mieście, w ostatnich dniach życia tej dzielnicy. Gdy pytałam jak się trzyma on i jego ludzie – skwitował mnie gorzkim stwierdzeniem – „z Parasola zostały tylko druty”. Resztki wspomnianych domów na Wilanowskiej było dane mi ujrzeć zimą 1945 roku, kiedy z siostrą, przez gruz i leje dobrnęliśmy w to miejsce. Tu wisiała groza, czułyśmy ją namacalnie. Kiedy padał Czerniaków – 19 i 20-go września 1944 roku – Niemcy dokonali na Wilanowskiej masakry wśród rannych żołnierzy i cywilnej ludności. Szalał tam elegancki esesman dowodzący kompanią Wehrmachtu. Byli w niej również żołnierze mówiący trochę po polsku. Pamiętam ich krzyki kierowane do kobiet w piwnicach: „matka, siostra, żona – wychodź...”. W piwnicach tych domów były przede wszystkim powstańcze szpitale, w których leżało mnóstwo rannych. Bohaterska lekarka dr Konstancja Semadeniowa – nie opuściła swoich chorych. Był przy niej, pamiętam, jej mały synek – może ośmioletni, bardzo opanowany i dzielny. Poprzedniego dnia, a może nawet parę dni wcześniej, ewakuowało się na Mokotów dowództwo Radosława ze zdolnymi do walki

żołnierzami. Sama miałam poronną szkarlatynę i choć wtedy czułam się już prawie zdrowa, z konieczności musiałam zostać w szpitalu, odcięta od swoich koleżanek-łączniczek ze sztabu Radosława. Tu, w nocy z 19-go na 20-y września, w piwnicach rozgrzanych pożarem górnych pięter, szyły harcerki-sanitariuszki flagę Czerwonego Krzyża, bo nikt z nas nie chciał się zgodzić na wywieszenie białej chorągwi – symbolu poddania. Rano, gdy zgłosiłam się do dr Konstancji, proponując pomoc – dostałam polecenie, by z mąki ofiarowanej nam przez ludność cywilną, ugotować „kluszankę” dla rannych. Mały, około 13-letni łącznik w mundurze niemieckim, z białą-czerwoną opaską na rękawie, pomógł mi rozniecić ogień, budując na rozbitej klatce schodowej paleństwo z cegieł. I wtedy, gdzieś głęboko w piwnicach, usłyszeliśmy huk wystrzału. To byli Niemcy. Krzyknęłam mu, by zdjął opaskę i zrzucił mundurową kurtkę, ale on tylko popatrzył na mnie – milcząco i dumnie. Ja sama, rozmundurowałam się już wcześniej – w nocy, po walce z sobą i po rozmowie z Ojcem *Pawłem* (O. Józef Warszawski, jezuita, kapelan sztabowy Radosława). Ojciec „Paweł” w piwnicznym korytarzu spowiadał i błogosławił tych, którzy razem z wycofującymi się żołnierzami gen. Berlinga, zdecydowali się na odpłynięcie pontonami na praski brzeg. „Nad Wisłą dantejskie piekło – zmasowany ogień artylerii na rzekę – byłem – widziałem” – rzucał urywane słowa: – „Zostań! Rozmunduruj się! – Ja też to zrobię. Walczymy z wrogiem, który nie szanuje żadnych praw. Jeszcze tu musimy się przydać”. Wiem, że ten nieustraszony kapłan przydał się jak najbardziej. Widziano go potem na Woli, w naznaczonym męką ludzką kościele Św. Stanisława, gdzie niósł pomoc wszystkim potrzebującym. Wtedy posłuchałam jego nakazu, choć obco się czułam, zdejmując moją tygryską, „pamiętającą” Wolę i Stare Miasto. Poczucie honoru z najwyższym trudem zawierało kompromis z rozsądkiem.

Gdy słysząc wystrzały, zbiegłam do piwnic, przekonałam się z rozpaczą, że ranni – a teraz zabici – leżeli wyraźnie oznaczeni jako żołnierze (z powstańczymi opaskami, baretkami, niektórzy w furazerkach) – to był ich heroiczny wybór. Znow odżyła wczorajsza, pogłębia wstrząsającym

widokiem rozterka. Wysłałam stamtąd jak zbity pies – wprost na klatkę schodową, na której już byli Niemcy. Ów oficer SS, o którym wspomniałam, zastrzelił w tym szpitalu moc rannych. Z resztką niedobitych została dr Konstancja. Dni były wtedy gorące, noce tylko bardzo zimne – niemniej dalszy pobyt na tym pobojuwisku dla jeszcze żywych, a unieruchomionych rannych, był nie do zniesienia. Według zasłyszanej relacji, bohaterska lekarka dotarła na Szucha, żądając egzekucyjnego plutonu dla siebie i swoich rannych. Wtedy podobno, Niemcy filmowym gestem, z honorami, przewieźli przydzielonymi sanitarkami ocalałych żołnierzy do któregoś z podmiejskich szpitali.

Wtedy, 20-go września, mordowani byli zarówno nie rozmundurowani powstańcy jak i ludność cywilna, w tym nie mogący wyjść z piwnicznych szpitali, ciężko ranni. Wszystkich nas, mogących chodzić, wypędzono na olbrzymie podwórko, Wehrmacht otoczył tłum, a wewnątrz tego kręgu, w dzikim szale, mordował ludzi ów oficer SS. Śliczna, smukła jak topola, młodzianka dziewczyna w tygryscie (nie zdjęła jej), z czarnymi wspaniałymi warkoczami – zgięła się wpół i padła koło mnie. Zginął i mój mały łącznik, który nie chciał zdjąć powstańczej bluzy. Ale padali na moich oczach ludzie z pewnością cywilni – mordercze ciosy raziły na ślepo.

Mnie i małą harcerską sanitariuszkę – *Chmiela* (Nina Chmielińska, córka warszawskiego adwokata, dzisiaj zakonnica), którą znałam z powstańczego szpitala, ustawił pod murem, jeden z „pomagierów” szalejącego SS-mana. Obok nas gromadzono już innych, a żołnierze poczuli ustawiać na wprost tego ludzkiego łańcucha karabiny maszynowe. Za chwilę wszystkich nas rozstrzelają – to było jasne. I nie wiem, czy dlatego, że strop psychiczny – naturalna konsekwencja przeżyć – nie pozwalał już na odbiór żadnych bodźców, czy dlatego, że wszyscy od dawna byli przygotowani na tę chwilę ostatnią, czy dlatego, że ogrom zbrodni, której byliśmy świadkami wywołał tak kolosalne, zbiorowe napięcie – tłum milczał i z przerażającym, kamiennym spokojem czekał na śmierć.

Moją ostatnią, wtedy wydawało się, myślą, było malarzkie odczucie piękna świata, jego kolorytu: niebo o włoskim

błękiecie, biała, nasycona słońcem ściana pobliskiego domu, cała, bez jednej rysy – jak splukana falą nadmorska plaża...

Gdy dziś o tym myślę, a tak ten moment pamiętam, jakby to było przed godziną, nie dawniej, wiem, że nie cisnęły mi się na usta słowa „Niech żyje Polska” – jak wołali Ci, którzy zginęli w pierwszej ulicznej egzekucji w Warszawie, w Alei Niepodległości, jesienią 1943 roku. I jakoś nikomu z nas to wtedy nie przyszło do głowy, a przecież w tym szalonym napięciu jeden okrzyk mógłby wyzwolić zbiorową patriotyczną ekstazę. Klimat do manifestacji był sprzyjający. Przecież nikt z nas nie chciał się poddać. Przecież Czerwony Krzyż wszyty w białą płachtę miał wprowadzić białe groszki, ale to był Czerwony Krzyż, a nie biała flaga. Wtedy Niemcy skalą popełnianych przestępstw zablokowali w nas mechanizm emocjonalnego reagowania na zewnątrz, pozostała jedynie refleksyjna reakcja do środka, powodująca to zamknięcie.

Tymczasem prawem wojny jest także przypadek – jakiegoś przedziwnie nieoczekiwane zbiegi okoliczności, które może wyrównują bilans strat, a może bywają tylko podporą ludzkiej nadziei... Gdy tak staliśmy bez lęku, milcząc pod murem, podbiegł nagle do mnie i do Ninki-„Chmiela” jakiś żołnierz w hełmie nasuniętym tak głęboko, że zaciemniał całą twarz z wyjątkiem ust, drgających w jakimś gwałtownym skurczu. Nerwowym szarpnięciem wyciągnął nas z szeregu i wściekle coś warknął, wskazując głębię podwórza. Ruszyliśmy wolno, pewnie że będzie strzelał w plecy – każdy krok był oczekiwaniem. Za nami raz po raz rozlegały się strzały, a my idąc przez gruz i szkło, doszliśmy całe do bramy sąsiedniego domu. Stała tam już gromadka ludzi. Dojrzałam dr *Wodotaza* (Włodzimierz Nakwaski, neurolog, zob. T. Strzembosz – „Oddziały szturmowe”), zmienionego prawie nie do poznania, w całkowicie już cywilnym ubraniu. Ta brama to było ocalenie. Dlaczego to właśnie my przeżyliśmy – dlaczego to właśnie nas wyciągnięto z szeregu śmierci? Kim był ten żołnierz w niemieckim mundurze, może Ślżak siłą wcielony do Wehrmachtu? Czy to on uratował także i innych zebranych w bramie? Nikt nie odpowie już na te pytania (zob. Jan Turnau: „Dziesięciu sprawiedliwych”, Biblioteka „Więzi”, tom 54 z 1986 roku).

*Lokal na Fortach Mokotowskich – słuchacze:
„Zemsta”, „Pokuta” i „Śmierć”*

Ci trzech młodzi ludzie, najwcześniej przysłani na kurs z jakiejś odległej wioski, utkwili w mej pamięci przez charakterystyczne okoliczności poznania. Byli nieco starsi od kierowanych później na nasze szkolenia. Lokal był w odległej dzielnicy Warszawy, na Fortach Mokotowskich. Gdy tam po raz pierwszy dotarłam, na mój widok, z leżących na podłodze sienników podniosły się trzy, dziwnie wyglądające postacie. Były wielkie, a pod skórą, niemalże chrzęściły kości. *Zemsta*, *Pokuta*, *Śmierć* – przedstawili mi się kolejno. Zapadał zmierzch, do prawie pustego, pozbawionego sprzętów pokoju, przez okno sączyła się szarość. Ich wygląd, głosy, mocno rezonujące w przestrzeni pokoju, pseudonimy o metafizycznej mocy, zupełnie mną owładnęły. Ożywał surowy średnio-wieczny moralitet – wrażenie cofnięcia czasu było tak silne, że w jakimś ułamku sekundy zdumiały mnie dźwięczące na Rakowieckiej tramwaje.

Lokal „Baszty” na Rakowieckiej; spotkanie z konfidentem

Rakowiecka – ulica znacząca wiele w Warszawie, a także i w moim życiu. „Na Rakowieckiej przystaje tramwaj, wiesz, tuż za murem. Co świt nim wracam z nocy w srebrze moich snów...” – wiersz Jasia Golki, jak i ja więźnia Mokotowa, już w czasach PRL-u, wystukiwany morsem w ścianę mrocznej piwnicznej celi przez kogoś, kto go umiał na pamięć...

Wtedy, w tamtych okupacyjnych latach na ulicy Rakowieckiej był lokal *Baszty*, która szkoliła na naszych kursach swoich podkomendnych. Pamiętam swoją trójkę. Podchorążówka i tajny uniwersytet – tak ich sobie ustawiłam. Gospodarz lokalu używał imienia *Andrzej*. Wszyscy oni znali się doskonale i chyba musieli razem kończyć gimnazjum. Był to ten stopień życia, który nie boi się kpiny ani zgrywy, maskującej ciepło przyjaźni. Do programu kursu podchodzili

„z sercem”, jak zwykł był opiniować aktywnych słuchaczy przyjaciel „Ponurego”, taktyk „Czarka”. Mieszkanie było dobrze urządzone, o wygodnym rozkładzie. Zadziwiały mnie i śmieszyły rozwieszone w różnych częściach mieszkania transparenciki ze „złotymi myślami” w rodzaju: kto się umywa tego ubywa”, „nic po żonie, kiedy wrzód na ogonie”.

Z lokalem na ul. Rakowieckiej łączy się w mej pamięci dość szczególnie przypadek. Tego dnia kiedy kończył się prowadzony w nim kurs, miałam dostarczyć dla każdego z słuchaczy komplet nowych instrukcji. Pobrałam je z naszego lokalu na ulicy Marszałkowskiej i z dość okazałą paczuszką, częściowo przysłoniętą futrzaną mufką, które były wtedy w modzie, czekałam na tramwaj na placu Zbawiciela. Byłam w czarnym płaszczu ze skunksowym kołnierzem, na głowie miałam czarną chustkę, spod której wymykały się moje, bardzo czarne wtedy, włosy. Często Żydówki ukrywające się w aryjskiej dzielnicy chodziły właśnie tak rzekomo „żałobnie” ubrane. Musiałam swoim wyglądem zwrócić uwagę łapacza, który denuncjował zbiegów z getta. Gdy tak stałam, ziębnać i wyglądając oczekiwanego tramwaju, podszedł nagle do mnie typ o przerażającej powierzchowności i powiedział – „pani pójdzie ze mną”. Zmartwiałam. O pozbyciu się paczki z instrukcjami nie było nawet co marzyć. Nie straciłam na szczęście kontenansu i bardzo ostro i głośno zapytałam, gdzie to mianowicie mam pójść i czego ten ordynus w ogóle ode mnie chce. „Pani nie jest aryjkom” – oświadczył typ, ale już mniej pewnie. Poszłam więc na całego: „ja nie jestem aryjką? – na najbliższym posterunku pan mi za to odpowie – proszę za mną!” Oburzona, i pozornie pewna siebie, przejęłam inicjatywę. Drań speszył się zupełnie. Odstąpił, stanął w pobliskiej bramie i obserwował mnie przez jakiś czas. Potem zniknął. Stałam dalej z walącym sercem. Przepuściłam odpowiedni dla siebie tramwaj, wsiadłam do następnego, który skręcał w ulicę 6-go Sierpnia, znów się przesiadłam i z bardzo dużym opóźnieniem, ale już pewna, że nikt mnie nie śledzi, dobrnęłam na Rakowiecką. Lewą rękę miałam jakoś dziwnie zdrętwiałą i w bardzo marnej formie wróciłam do domu. Od czasu tej przygody zaczęłam myśleć w co się ubieram. Zdolność i potrzeba mimikry w konspiracyjnym

działaniu tym szczególnym zdarzeniem określiły swoją wartość.

Mieszkanie p. Kirkorowej na ul. Jotejki – kursant „Mścisław”.

Bardzo lubiłam, gdy kursy odbywały się na ulicy Jotejki, w mieszkaniu młodej farmaceutki, pani Kirkorowej. Honory domu pełnili tam jej rodzice, mili starsi już państwo. Wielką zaletą tego mieszkania było ciepło. Na ogół trudno było o to w okupacyjnej Warszawie i przeważnie „urzędowało się” w płaszczach, chuchając na marznące ręce. Na jednym z kursów, który się tam odbywał, znaczącą postacią był *Mścisław*. Przez pewien czas służył on w oddziale mjr. *Hubala*. Wysoki brunet z niebieskawym cieniem zarostu, w długich butach – szalenie zwracał uwagę. Toteż, gdy kiedyś przypadkowo spotkał się w tramwaju jadącym na Żolibórz, a mali gazeciarze ostrzegali już na wiadukcie, że na Placu Inwalidów jest łapanka, zabrałam go – wbrew zakazowi „Stefana” – do nas do domu, na Zajęczka, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Nie mogłam pozwolić, by przystanek dalej aresztowali go Niemcy. „Mścisław” pochodził z Tomaszowa Mazowieckiego. Miał matkę, którą widać bardzo kochał, bo często ją wspominał i brata Jerzego, o którego się niepokoił. Wtedy, u nas w domu, przyznał się do własnego imienia Zygmunt, choć w ogóle bardzo się konspirował. Został aresztowany w rok później, gdzieś pod Tomaszowem, na jakimś weselu, w czasie obławy. Brat zginął na miejscu, a „Mścisława” rozstrzelali Niemcy później, razem z innymi więźniami, w tomaszowskich kazamatach. Był to już rok 1943 i śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo. W którejś publikacji poświęconej Hubalczykom, chyba u Marka Szymańskiego, natrafiłam na spis żołnierzy, którzy do oddziału „dopłynęli” z Tomaszowa. I myślę, że się nie mylę – znalazłam tam bowiem dwóch braci Stasiołków, Zygmunta i Jerzego, obu nieżyjących, zamordowanych przez Niemców. I oto po latach wróciło do mnie to nazwisko, które „Mścisław” tak ochraniał.

Lokal Konfederacji Narodu na Woli – dyskusja polityczna, walki powstańcze

I znów Wola. Prześledziłam już wszystkie dzielnice, w których mieliśmy kursowe lokale, tak ofiarne i zarazem tak bliskie. Owijały one jak wstęgą miasto – stąd ponownie lokal na Woli.

W okolicy pl. Żelaznej Bramy był lokal Konfederacji Narodu, która kilka swoich grup szkoliła w dywersji na naszych kursach. Według regulaminu szkolenia grup spoza AK mogły się odbywać jedynie we własnych lokalach tych ugrupowań. Zwykle źle się czułam w tych obcych mieszkaniach. Siedziałam na wykładach, obserwowałam ulicę lub podwórze, donosiłam materiały na ćwiczenia minerskie i chemiczne, komplety podręczników i zestawy fotograficznych instrukcji różnego rodzaju, otwierałam drzwi – wszystko więc według ustalonego regulaminem porządku, ale ze znacznie większym napięciem, niż na tzw. „własnych śmieciach”.

Pamiętam ząartą polityczną dyskusję, która wybuchła po jakimś wykładzie pomiędzy mną, a kursantami Konfederacji. Jeden z nich, inteligentny, czytany chłopak, mimo pseudonimu *Niemy*, był szczególnie ząarty w dyskusji. On najbardziej atakował Marszałka Piłsudskiego, w którego kulcie byłam wychowana i nie chciał słyseć o deklarowanej przeze mnie apolityczności Armii Krajowej. Niezwykle zasadniczo traktował linię polityczną swoich ugrupowań i po raz pierwszy zetknęłam się z tak wyraźnie formułowaną odmienną opcją. Gadaliśmy długo i coraz głośnie, stojąc w ciemnym przedpokoju, bo właśnie zbierałam się do odejścia. Drzwi wejściowe były tuż tuż. I nagle ciężkie, głośne kroki na schodach uzmysłowiły nam niebezpieczeństwo sytuacji i lekko-myślność postępowania. Na szczęście był to fałszywy, ale pożądaný alarm. Nagle uświadomione zagrożenie ucięło gorącą dysputę i jakoś z miejsca znów wszystkich zjednoczyło. Przecież walczymy razem ze wspólnym wrogiem i mimo wszystkich racji z przeszłości i na przyszłość – „teraz” liczyć się musi najbardziej.

Potem z „Niemy” i innymi chłopcami spotkałam się w

powstaniu. Walczyli wspaniale w batalionie „Miotła”. I właśnie w pierwszym dniu walki na Woli zostałam wraz z *Kają* (Cezaria Iljin-Szymańska) przydzielona do tego batalionu w kompanii „Torpedy”. Przeżyliśmy ciężki tydzień na Okopowej, róg Żytniej, pilnując i broniąc ryglowej barykady. Nasi strzelcy wyborowi z okien narożnej kamienicy trzymali pod ostrzałem plac Kercelego. Jak figury kręgli padali Niemcy, gdy tylko któryś wybiegł na tę otwartą przestrzeń. W pewnej chwili przeraziła mnie własna, „zimna” obserwacja tej, w końcu makabrycznej, „zabawy”. Jak szybko rodzi się okrucieństwo. Gdy padała Wola rozeszły się nasze drogi. Zostałyśmy z „Kają” przydzielone jako łączniczki płk. „Radosława” do sztabu płk. Wachnowskiego na Starym Mieście. Któregoś dnia, wysłana z meldunkiem do kwatery „Radosława” na Mławską, w parterowym mieszkaniu, zamienionym na szpital, spotkałam znów „Niemego”. Był ranny, mizerny, ale dobrej myśli. W wielu publikacjach o powstaniu można zetknąć się z „Niemym” – jego prawdziwe nazwisko to Leszek Niżyński.

ATMOSFERA PRACY I PRZYJAŹNI W „ZAGAJNIKU”

Gdy tak wracam myślą do pracy w „Zagajniku” i do tamtego bujnego życia, które – mimo że naznaczone śmiercią – na co dzień było zwyczajne i właściwie pozbawione lęku. Każdy wierzył w swoją „szczęśliwą gwiazdę” i narzucało się wprost materialne odczucie urzekającego klimatu, który panował w tej komórce. Stwarzał ten klimat cały zespół ludzi – kierownictwo, wykładowcy, łączniczki. Związani byliśmy wzajemną ufnością i szacunkiem, a każdy z poczucia obowiązku starał się wnieść własny wkład w ulepszenie naszej pracy. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej narastała potrzeba rozszerzenia osobistych kontaktów, wbrew pierwotnym organizacyjnym założeniom.

Wspólna Wigilia 1942 roku

Pamiętam pierwszą wspólną Wigilię w mieszkaniu „Stefana” na ulicy Chocimskiej 42. Ze względów koniecznej konspiracji była nas tam wtedy tylko nieliczna grupka. Poznaliśmy naszego szefa, płk. *Eryka*, spadochroniarza, świeżo przysłanego z Anglii. Nie wiedzieliśmy jeszcze o nim nic. Dostał w prezencie małą figurkę Buddy, którego uśmiech krył tajemnicę. Świeciły się świece na małej choince, półgłosem nuciłyśmy kolędy, ciemność za oknami nie wydawała się groźna.

Wielkanoc 1943 roku

Pamiętam Wielkanoc w mieszkaniu *Teresy* na Słonecznej. Nie było jeszcze wszystkich. Przez okno z ulgą dojrzałam zbiegającą w dół po schodach, od strony ulicy Skolimowskiej, *Joannę*, na którą czekaliśmy z niepokojem. Była ostatnia. Przy tym skromnym wielkanocnym śniadaniu całe nasze nieliczne towarzystwo zaśmiewało się, czytając dowcipne „*Silva rerum*” właśnie jej pióra. Była to bardzo złośliwa charakterystyka naszych panów. *Saper VII*, w odpowiedzi, podał swoje opinie o paniach, ukazując nas wszystkie też w krzywym zwierciadle. *Elżbieta* z humorem przedstawiła niektórych słuchaczy, ze świetnym zmysłem obserwacji rysując ich sylwetki. Dziwnym zbiegiem okoliczności, te ulotne, kruche kartki „Wielkanocnego Dzwonka” ocalały z wojennej pożogi, schowane w naszym drugim z kolei żoliborskim mieszkaniu, na Kozińskiego, gdzie była doskonale zrobiona skrytka. Przez protekcję *Ewy*, związanej blisko z chłopcami z Szarych Szeregów, skrytkę tę w podłodze sporządził nam ich „nadmorny” skrytkarz. Tafla parkietu podnosiła się za naciśnięciem noża na ukrytą w szczelinie sprężynę – zupełnie jak w bajce. Ocalały tam również eksponaty ćwiczeniowe – sponki, zapalniki, materiały wybuchowe, instrukcje demonstrowane na wykładach. Są one dziś w Muzeum Historycznym Wojska Polskiego jako dokumenty oporu, uporu i walki.

Pożegnanie dowódcy, płk. „Eryka”

W mieszkaniu na Kozietulskiego odbyło się późnym latem 1943 przyjęcie z okazji pożegnania płk. „Eryka”, który po nominacji na dowódcę okręgu „Polesie” wyjeżdżał z Warszawy. Prezentem jaki dostał od nas tym razem był spirifer, skamieniały ramienionóg z odległej epoki geologicznej – emblemat naszej wiecznej pamięci. Pij spirytus, a będziesz „fer” (*fair*) – żartował *Tadeusz* (Zbigniew Bąkiewicz), czyli *Taktyk 2*. Siedząc w naszej zacisznej jadalni, której okna zasłaniały rozrośnięte jabłonie, nie czuliśmy żadnego zagrożenia. Gdy wbiegłam po coś na górę, zastałam moich rodziców w pokoju z widokiem na wylotową ulicę Górskiego, stanowiącym doskonały punkt obserwacyjny. Wtedy to, po raz pierwszy, dziwnie ostro uświadomiłam sobie, że te dwa biedne ptaszki, jak nazywałyśmy z siostrą Rodziców, milcząco i samorzutnie czuwają nad naszym bezpieczeństwem.

To uparte męstwo w pokonywaniu i ukrywaniu niepokoju o nas, będące udziałem wszystkich rodziców świadomych, że mają dzieci-żołnierzy, warte jest pomnika. Ich pokolenie, doświadczone niewolą, pierwszą światową wojną i trudem odbudowy Kraju, w ciężkich, tragicznych latach okupacji musiało dorastać ponownie do wymiaru czasów, w których przyszło im żyć.

Niektórzy wykładowcy

Nasze konspiracyjne spotkania dawały nam trochę prywatnej wiedzy o nas samych. W normalnym życiu komórki, podporządkowanym regułom szkolenia, nie było nawet czasu na rozmowę nas – łączniczek z wykładowcami. Wśród wykładowców byli pracownicy wyższych uczelni: doc. dr Stanisław Bretsznajder (*Robert*), eks-nauczyciele szkół średnich (prof. Kazimierz Dembowski, *Chemik-2*), specjaliści z różnych resortów (inż. Zbigniew Lewandowski-*Szyna*), wyżsi wojskowi, często zajmujący przed wojną wysokie, kluczowe stanowiska – wytwarzał się więc w stosunku do tych ludzi pewien dys-

tans szacunku z naszej strony. Niemniej jednak zdarzały się przypadkowe sytuacje, w których napięcie kruszyło te bariery, ukazując twarze bez konspiracyjnej maski, napiętnowane cierpieniami i tragiczną rozterką.

Pamiętam takie spotkanie z dystygowanym, nieposzlakowanie eleganckim i angielskim w sposobie bycia *Tel-em I* czyli panem *Wilhelmem*, w cywilu znakomitym teletechnikiem (Mirośław Panufnik). Szliśmy razem przez żoliborski wiadukt, po jakiejś dużej łapance. Był zmierzch, ludzi na ulicach niewiele, w powietrzu zawisła groza. I wtedy to pan Wilhelm nieoczekiwanie zaczął mówić o swym ciężkim losie. Przeżywał śmierć żony, martwił się o małą córeczkę. Może przeczuwał swoją własną śmierć – nie danym mu było przetrwać wojny – zginął w czasie powstania, na ulicy Skorupki, w domu rozprutym lotniczą bombą.

M2, czyli mechanik drugi – inż. Stanisław Lisowski (As), również sam zajmował się swymi dziećmi, kłopotząc się wieloma sprawami, związanymi z tą opieką. Mieszkał też na Żoliborzu, na ulicy Dymińskiej. Często chodziłam do niego z różnymi poleceniami od „Stefana”. Wydaje mi się, że nie ocalały te domy – chyba zostały spalone. Była to kolonia oficerska, której mieszkańców, przeważnie kobiety i dzieci – bo mężczyźni albo zginęli, albo przebywali w oflagach, albo ukrywali się z dala od rodzin – spotkał okrutny wojenny los. W ostatnich dniach powstania Niemcy prawie wszystkie te panie, żony oficerów rozstrzelali. Opowiadał mi to żoliborzanin, pan Wincenty Wojnarowski, który razem z innymi ludźmi tej dzielnicy przypędzony został do kościoła św. Stanisława na Woli. Był on naocznym świadkiem kilku takich egzekucji, w których zginęły panie z Dymińskiej. „Jestem matką Bobka, proszę pamiętać, proszę powtórzyć – wołała rozpaczliwie jedna z nich, już z samochodu który był trumną. Nie wiem, co stało się z naszym inżynierem i rodziną, u której mieszkał „As”. On sam ocalał – odezwał się po wojnie telefonicznie do „Stefana”. Pamiętam te pokoiki, zastawione meblami, dość ciasne, ale – jak mi się wtedy wydawało – dziwnie bezpieczne tą bezpieczeńścią rodzinną, która tak bardzo w rzeczywistości była bezbronna w czasie tej wojny.

Kontakt z „Graniem” w przeddzień wybuchu powstania; incydent z gestapowcem

Na Żoliborzu, na Placu Inwalidów, mieszkał z żoną i dwojgiem małych jeszcze dzieci nasz drugi, po „Eryku”, dowódca – mjr *Grani*. Prowadził on w „Zagajniku” wykłady z minerstwa i z polecenia „Stefana” utrzymywałam z nim stałą łączność. Państwo Marcinkowscy zajmowali duży pokój w mieszkaniu swych przyjaciół. Sami byli chyba wysiedleni z Poznania, czy Pomorza, i żyli w dość trudnych warunkach. Moja ostatnia wizyta u majora wypadła w wigilię powstania, gdy przysłałam zdać mu sprawę z rozpoznania drogi z Żoliborza przez Dworzec Gdański na Powązki. Zrobiłam tę wyprawę na polecenie „Stefana” i doszłam do wniosku, że nie będzie można liczyć na ten skrót w godzinie „W” – zbyt duże przedstawiało to ryzyko. Ja sama, już 31-go lipca po południu miałam pewne trudności w korzystaniu z tej drogi, którą zwykle przechodziło się swobodnie. Wśród obsługi dworca nagle zaroilo się od Niemców, którzy wprawdzie nie zaczęli jeszcze nikogo, ale sama ich obecność była dostatecznie wymowna.

O wzrastającym pogotowiu niemieckim świadczył również incydent, który przeżyłam i o którym opowiedziałam majorowi. Oto gdy wracałam z tego rozpoznania i szłam dziwnie pustą Miodową w kierunku wiaduktu, strzelił do mnie z pistoletu gestapowiec, który stał na stopniu bardzo wolno jadącego auta. Wypadek był niecodzienny – takie indywidualne zabawy w polowanie na ludzi w ciągu dnia należały do rzadkości, nawet w Warszawie. Kula świsnęła mi nad głową, odbijając się o mur domu, koło którego przechodziłam. Wydawało mi się wtedy, że nie bardzo się zlekłam i w myśl zasady „wytrzymać, nie uciekać”, nie przyspieszyłam kroku. Kiedy jednak po latach, mój mały synek na spacerze w lesie wymierzył do mnie znienacka z dzieciennego rewolweru – nagle stanęło mi serce. Nic nie ginie z tych napięć i ostrych jak nóż błysków niebezpieczeństwa, które kiedyś nas poraziły. Zostają one gdzieś w głębi świadomości i trwają utajone, aż obudzi je z nagła jakiś bodziec – podobna sytuacja,

czy podobny szczegół, zacząjony w pamięci i nieoczekiwanie znów odkryty – rzeczy już nieważne, a z pozoru zupełnie obojętne.

Major „Grań”, po wysłuchaniu mojego meldunku, polecił mi wyjechać z domu następnego dnia w południe i udać się na ulicę Słoneczną. Sam również zdecydował, że tam dotrze, by oczekiwać na dalsze rozkazy. Odległość Żoliborza od miasta i jego usytuowanie mogło utrudnić nam dotarcie na wyznaczone punkty, ciągle jeszcze – jak i sama godzina „W” – będące dla wszystkich tajemnicą.

Tragedia „Joanny”

Nie mogę się oprzeć bolesnej myśli, że słuszna skądinąd decyzja, którą podjął „Grań”, o naszym wyjściu z Żoliborza jeszcze przed akcją i osiągnięciu już ze Śródmieścia prawdopodobnych punktów koncentracji na Woli, zaważyła w sposób tragiczny na życiu jednej z naszych najlepszych łączniczek. „Stefan”, używający już wtedy imienia *Tomek*, a którego w żaden sposób nie mogliśmy zawiadomić o zmianie ułożonego planu, wysłał na Żolibórz *Joannę* (Zofia Rolnik) z dokładnym już adresem punktu zbiorczego na ulicy Okopowej – w przeświadczeniu, że skrótem przez Dworzec Gdański łatwiej nam będzie tam dotrzeć, niż z jakiegokolwiek innej dzielnicy. Biedna „Joanna” rozminęła się z nami, a nie zastawszy w domu ani majora, ani mnie, postanowiła wrócić na Słoneczną. Wypadki jednak zaczęły się toczyć tak szybko, że nie zdołała już tam dotrzeć. Po bohatersku przedarła się aż na Polną – i tu był kres jej drogi. Zginęła, ugodzona kulą w drugim dniu powstania.

„Joanna” – szczupła, drobna, jasnowłosa, prawniczka z wykształcenia, była w „Zagajniku” zastępcą „Stefana”, pracując w tej komórce *ab urbe condita*. Lubiliśmy ją wszystkie, ceniąc jej inteligencję i odwagę, a także dowcip, ściszony, a przecież ostry i zawsze trafiający w sedno. Niebezpieczną, choć szczęśliwie zakończoną historię kradzieży torebki znaleźliśmy wszyscy z dowcipnej relacji „Joanny”. Jej mama, w podmiejskim osiedlu, gdzie mieszkały, porozwieszała w wi-

docznym miejscu karteczki z podaną stratą oraz nazwiskiem i adresem córki – dla ewentualnego znalazcy. „Joanna”, która oszczędzając wątłe siły matki, nie wprowadzała jej w swoją konspiracyjną pracę – truchlała, bo w torebce obok dokumentów i pieniędzy ukryta była organizacyjna „poczta”. Skąd się dało, usuwała fatalne kartki, ale biedna mama pisała nowe. W końcu zabawa się skończyła. Złodziej-patriota przysłał w kopercie dokumenty, dołączając lakoniczne zawiadomienie: „reszta zniszczona”. Orientacja polityczna warszawskiego żulika podkreślona została tym faktem w sposób bezbłędny.

ŁĄCZNICZKI Z „ZAGAJNIKA”

Największym autorytetem w naszym zespole cieszyła się pani *Teresa* – polonistka (Janina Dembowska), dyrektor doskonałego warszawskiego prywatnego gimnazjum Krystyny Malczewskiej. W mieszkaniu państwa Dembowskich, wśród zabytkowych sprzętów i portretów rodzinnych, stwarzających atmosferę starego dworu, odbywały się kontakty wszystkich osób pracujących w „Zagajniku”. Mieszkanie kipiało konspiracją. Pan domu, chemik, wykładał na naszych kursach. Jego dwaj bratankowie, Piotr i Broniek (dziś biskup włocławski), byli żołnierzami AK. Anulka, młodsza córka, kończyła medycynę na tajnym uniwersytecie. Od Jadwisi, naszej najmilszej przyjaciółki, aresztowanej w 1942 roku przychodziły listy z Oświęcimia. Przez Słoneczną przewijało się codziennie moc ludzi. Byliśmy jednak wszyscy maksymalnie ostrożni, wspierani przy tym, jak na Karolkowej, przysłowiovym „łutem szczęścia”. Lokal więc służył nam cały czas – do powstania – bez zakłóceń. Pamiętam wprawdzie, że któregoś dnia niespodziewany dzwonek do drzwi, naciśnięty w zwykły, a nie umówiony sposób, wywołał sporo niepokoju. Na szczęście okazało się, że był to inkasent z elektrowni, nie Gestapo.

Spośród łączniczek bardzo lubiłam trzy koleżanki, z którymi szczególnie byłam żyta. Były to: *Ewa* (Jadwiga Zylberowa), *Danuta* (Janina Zeltzer) i *Kaja* (Cezaria Iljin-

Szymańska). Najdłużej znałam „Danutę”, czyli Ninę.

Jest rok 1939, wrzesień. Warszawa płonie, lecz walczy zaciekle. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Krakowskim Przedmieściu urzęduje Dowództwo Obrony Miasta – gen. Walerian Czuma ze swoim sztabem. W parterowej oficynie, w podwórzu, Biały Krzyż zorganizował kantinę. Gotowało się tam bezmleczne kakao, herbatę, robiło kanapki, podawało do stołu, myło się szklanki. W życiu całym nie nabiłam ich tyle, co w tej kantinie. Strzelanina była nieraz taka, że wszystko leciało z rąk.

Nina, romanistka z wykształcenia – dziś ceniony tłumacz arcydzieł obcych literatur, zaradna, dzielna, pełna humoru, była optymistką. Na zachodnim froncie ruszy ofensywa – francuska Legia Cudzoziemska, dla której wojna to rzemiosło, da się Niemcom we znaki – żartowała. A tymczasem nad Warszawą huczały bombowce...

Młody oficer parzy usta herbatą. Proszę pani – mówi – niebo się wali na głowy, takiej wojny nie było jeszcze...

Czasu kurz zasypał tamte dni, ale odradzają się one w mej pamięci we wszystkich wrześniach wszystkich lat. Do wybuchu powstania dotrwałyśmy z „Danutą” w „Zagajniku”. Ona została na Słonecznej w tamto pamiętne sierpniowe popołudnie – ja z *Żołną* (Maria Lutostańska-Penno, sędzia) odkomenderowane zostałyśmy na Okopową.

Z „Ewą” – panią Jadwigą Zylberową, naszą sąsiadką z ulicy Zajęczka, pracowałyśmy razem w redakcji *Ajencji Prasowej* i jesienią 1942 roku przeszłyśmy razem do „Zagajnika”. Mąż jej, płk Mieczysław Zylber, był w oflagu, a syn Andrzej walczył w Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Nie przeżył wojny – został na zawsze na polach pod Bredą. Pani Jadwiga mieszkała z matką staruszką w willi swych przyjaciół na Żoliborzu, na wprost naszych bloków. Orzechowe oczy, jasne włosy, miła pogodna twarz – taką widzę panią Jadwigę w tamtych latach. Poprzez córki przyjaciół związana była blisko z żoliborską grupą Szarych Szeregów. Tragiczną wiadomość o ranieniu, w czasie zamachu na Kutscherę, *Lota* (Broniek Pietraszewicz), a potem o jego śmierci, ona pierwsza przyniosła do naszego domu.

„Kaja” czyli Cezaria, to osobny rozdział konspiracyjnych

przyjaźni i kontaktów. Inżynier architekt z zawodu, zawsze pełna życia, elegancka, niezawodna w przyjaźni – umiała ukryć przejścia, które ją doświadczyły. W Oświęcimiu zamordowany został jej brat, por. Modest Iljin, partyzant z oddziału majora Hubala. „Kaja” opiekowała się kolegami brata, którzy po śmierci majora i rozwiązaniu oddziału podejmowali pracę w konspiracji. To był ten tor, na którym zetknął się nasz dom z „Kają”. Przez moją siostrę (*Lucynka* – łączniczka gen. Grota-Roweckiego i gen. Bora-Komorowskiego) szły kontakty hubalczyków (Romuald Rodziewicz – *Tarnawa*, Henryk Ossowski – *Dołęga*), z Komendą Główną AK. Adres Cezarii dał nam kiedyś Józek Alicki – Horba (zm. 8.06.1989), jeden z ulubionych żołnierzy Hubala, po bratersku z nami, do śmierci, zaprzyjaźniony. I tak „Kaja” została łączniczką w „Zagajniku”.

Powstanie na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie przeżyliśmy razem, związane ze sobą jak dwie siostry syjamskie. Nawet szczoteczkę do zębów miałyśmy wspólną, bo moja została razem z plecakiem na Słonecznej, dokąd miałam „doskoczyć” z Okopowej. Śmiech zbiera na te nasze cywilne wyobrażenia o powstaniu i o walce w ogóle. Tak u płk. Radosława, jak i w dowództwie Grupy „Północ”, u płk. Wachnowskiego, był utarty zwyczaj, że łączniczki z meldunkami, ustnymi wyłącznie, wysyłane były po dwie – dla asekuracji. Jedną zabiją, może druga dojedzie. Biegałyśmy więc wszędzie razem i we dnie, i w nocy, z zupełną pewnością, że nic się nie stanie, mimo że dobrze znałyśmy już i „warkot granatu” i ostry świst ekrazytowej, błyszczącej kuli. Spałyśmy na wspólnym sienniku w olbrzymiej sali na parterze Archiwum Akt Dawnych na ulicy Długiej, nosiłyśmy jednokolorowe niebieskie sweterki z guziczkami w złote i białe stokrotki, „wyfasowane” w niemieckim mieszkaniu na Woli, dzieliłyśmy się konserwą z niemieckich puszek, które z rzadka pojawiały się na naszym „stole”, ale zawsze złościły „Kaję”. Wiesz, znowu jemy te „małpy” – „Kaja” była przekonana, że puszkę pochodzi z jakichś afrykańskich zapasów niemieckich.

W czasach „Zagajnika” właśnie „Kaja” świetnie znająca kuchnię była jedną z gospodyń wielkanocnego przyjęcia na Słonecznej. Pamiętam różne „finezyjne pomysły” uświetnia-

jące tę uroczystość. Oto np. każda z pań znajdowała przy swoim nakryciu kartonik z wymalowanym kwiatkiem, pasującym do jej osobowości. Rysował je mój ojciec na „zagajnikowe” zamówienie. „Kai” wybrałyśmy „storczyk” dla podkreślenia jej bogatej i skomplikowanej natury. Mam do dziś własną kartkę z tamtego dnia, z zatartą przez lata gałązką wrzosu. W dziwny sposób ratowały się z wojennej pożogi takie właśnie drobne, nieprzydatne z pozoru przedmioty, w kruchości swojej kryjące intymny świat doznań i wspomnień, które spod kul wynosił każdy z nas, mimo że wokół waliły się domy i ginął świat, z takim trudem budowany.

Na Starym Mieście mijałyśmy się na utartych łączniczych ścieżkach z *Elżbietą* (Julia Doktorowicz-Hrebnicka-Reymanova), inżynierem ogrodnikiem z zawodu, autorką dowcipnych wierszyków o naszych słuchaczach. Widzę ją – w tygryscie, z burzą miedzianych, wijących się włosów – jak idzie smukła i zręczna, omijając wyrwy i zwały gruzu: kapral „Elżbieta”, a przy niej por. *Klara* (Stanisław Wierzyński). Ta tryskająca życiem dziewczyna, gdy padło Stare Miasto, leżała ranna w szpitalu na Długiej, w Ministerstwie Sprawiedliwości, razem z „Żołną”. Ich dwóch nie oszczędził los. Julia po bohatersku odrzuciła szansę ratunku – nie zgodziła się na włączenie do transportu rannych, przenoszonych kanałęburzowcem do Śródmieścia... Nie umiała szukać ocalenia dla siebie, gdy inni – poranieni i również bezradni musieli zostać na Starym Mieście i poddać się losowi. I ona, i „Żołna”, gdy leżały „na waleta” na wspólnym szpitalnym łóżku, zostały przywalone gruzem ze zniszczonego stropu – jedna straciła prawą, druga lewą nogę. W szpitalu tym Niemcy masakrowali rannych bez skrupułów – tylko nielicznym, nieznanym prawem przypadku udało się pozostać przy życiu. „Elżbieta” i „Żołna” ocalały z tego koszmaru i mężnie umiały dać sobie radę z nieszczęściem, które je spotkało.

W latach naszej pracy w „Zagajniku” stykałam się bardzo często właśnie z „Elżbietą”, choć pracowałyśmy w innych zespołach – ja u „Joanny”, ona – u „Teresy”. Znając prywatnie „Stefana” i miejsce jego pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym przy Rakowieckiej, wspólnie przenosiłyśmy różne materiały potrzebne do wykładów na

nasze lokale kontaktowe. Była to robota dość już wtedy niebezpieczna. W okresie poprzedzającym wybuch powstania coraz częstsze były doraźne, uliczne rewizje wśród przechodniów. „Stefan” wymyślił jednak sposób, który zabezpieczał tak łączniczki jak i materiały. Chodziłyśmy więc jedna za drugą. Przodem szła ta „czysta”, bez obciążenia, za nią druga – już „z ładunkiem”. Trzeba było bardzo uważać, szczególnie niebezpieczne były wszystkie naroża ulic. Idąca przodem przez uniesienie ręki, tak jakby chodziło o poprawienie włosów czy nakrycia głowy, dawała znać o niebezpieczeństwie. Mam w pamięci sylwetkę „Elżbiety” i własną wyteżoną uwagę – sięgnie do swoich loków, czy nie sięgnie, przejdziemy bez przeszkód naszą trasę, czy też broń Boże, nam się to nie uda...

Dobrym serdecznym duszkiem „Zagajnika” była *Małgorzata* (Maria Czarnocka) – w Instytucie Geologicznym specjalistka od szlifów mikroskopowych. Spotykałyśmy się często w czasach mojej pracy w *Ajencji*, bo Marysia pomagała „Stefanowi” odbijać to pismo na powielaczu. Potem razem przeszłyśmy do „Zagajnika”. Związało nas jednak mocnym węzłem przede wszystkim powstanie. „Małgorzata” jakiś czas biegała z meldunkami z „Kają”, zamiast mnie, kiedy naderwałam sobie ścięgna w nogach i przez blisko chyba tydzień nie mogłam w ogóle chodzić. Potem zmieniałyśmy się jako „pary”, bo dla odciążenia nas w sztabie płk. Wachnowskiego, szef łączności Radosława, *Irma* (Anna Mazurkiewicz – żona pułkownika) przysłała nam do pomocy jeszcze „Żołnę”, która miała być parą Marysi. „Małgorzatka” była niezmordowana – choć maleńka i krucha jak elf – imponowała odwagą. „Żołna” (w cywilu sędzina) – flegmatyczna, spokojna, równie jak „Małgorzata” dzielna, bardzo nas wspierała samą swą obecnością.

Gnieździłyśmy się we cztery w Archiwum Akt Dawnych – zawsze razem. Miły porucznik *Fon* (Alfred Pokułytnis), szef łączności telefonicznej u płk. Wachnowskiego, ofiarował nam zależoną w gruzach dziecinną książkę o *Robinsonie Crusoe* z dedykacją: „Kochanym Radosławkom”, podkreślając nią naszą jedność. Największym dnem ciasnoty i umęczenia stały się dni, kiedy do naszej norki pod schodami (wielka sala na

parterze z mnóstwem okien była już niebezpieczna i wszyscy przenieśliśmy się do piwnic) – dodano nam dwóch ciężko rannych żołnierzy sowieckich, odbitych Niemcom przez „naszych chłopców”. Biedacy byli bliscy śmierci, robiłyśmy im jakieś prowizoryczne opatrunki, ale to były rany wymagające lekarskiej interwencji. Kiedy znalazło się miejsce w szpitalu na Długiej – zostali oni natychmiast tam przeniesieni. Jeśli jednak zważy się, jaki los spotkał olbrzymią większość rannych w tamtym szpitalu, to trudno przypuścić, by udało się tym biedakom z dalekiej Rosji przeżyć nasze polskie powstanie.

Tragiczną postacią w „Zagajniku” miała zostać *Marta* – drobna niebieskooka brunetka. Mało ją znałam, bo należała do zespołu pani „Teresy” i jakoś nie stykały się nasze drogi. Mieszkała razem z *Julią*, wysoką, wykwinną starszą panią (Julia Kindlerowa-Hłasko), również łączniczką w naszej szkoleniowej komórce. Pani Julia została aresztowana w związku ze sprawą syna – a „Marta” w którymś z sowieckich nalotów na Warszawę zginęła w płonącym domu na ulicy Grottgera, ugodzonym lotniczą bombą. Został mi w pamięci jej nieśmiały, milczący uśmiech, gdy na wielkanocnym przyjęciu słuchała wierszyka o sobie, który zaczynał się od słów: „Imię ma jednej z dwu biblijnych siostr – tej, co miłuje trudy...”. Była jeszcze u nas *Dziubkowa*, czyli pani Maria, wprowadzona do „Zagajnika” przez swoją powinowatą – *Mysz* (Maryś Włodarska). Wiem, że wśród osób blisko z nią pracujących była ogólnie lubiana, ale sama mało ją znałam. („Mysz” – Maria Włodarska-Rybicka, geograf, aresztowana w 1942 r., zamordowana przez Gestapo w Radomiu).

ZAKOŃCZENIE

I tak oto kończy się ścieg tych wspomnień, coraz bardziej nikły, im więcej mija lat i im więcej popiołu sypie na nie czas... To co napisałam, jest prawdą – nie panegirkiem. Niemniej jednak, gdy czytam te kartki, boję się, że komuś, kto tych czasów nie doświadczył, wydać się mogą cliche i

przesłodzone. Wszyscy wspaniali, wszyscy dzielni, rycerze bez lęku i skazy, jak w bajce. A gdzie są ludzie wątpiacy, których łamie strach – przeciez i tacy byli, tworząc inną, ale równie ludzką prawdę o codziennej powszedniości tamtych lat. Czym się tłumaczy, że „Zagajnik” pozostał w pamięci nie tylko mojej, ale i innych, żyjących jeszcze ludzi z naszego zespołu – taką enklawą czystości i dobra?

Chyba tym, że przedstawiam tu jedną linię naszego wspólnego życia, wypreparowaną z nieznanej mi reszty, toczącej się niezależnie i na prywatną każdego z nas odpowiedzialność. Bezsporne jest jednak, że tę właśnie wspólną linię „braterstwa i służby” potrafiliśmy uchronić od skażeń. Tak było i nie kryję, że chciałabym twarze tamtych ludzi i ślad naszego działania „ocalić od zapomnienia” – jak to pięknie mówi poeta. Wielu z nas już odeszło, inni zbliżają się do swego kresu, po burzach, odwrotach i klęskach, gdy i starość nie przynosi spokoju, a dni są ciężkie jak ołów. Wydaje mi się jednak, że to jest jakaś wartość wyniesiona z życia, jeśli oglądając się wstecz, można dojrzeć nie chwiejność, nie zawieść, nie upadek, ale „lśniący tęczami początek przebytej drogi”...

Wrocław, czerwiec 1979

Halina CZERMIŃSKA-ŻELAŻNIEWICZOWA
„Urszula”

Post Scritum I

Inspiracją do zebrania tych okruchów wspomnień była myśl, i – rzecz mogę – swego rodzaju polecenie naszego dowódcy ppłk. Henryka Krajewskiego („Eryka”), aby działalność tej mocno zakonspirowanej komórki, jaką był „Zagajnik”, a także ludzie z nim związani, miała także i jakiś pisemny, a jeszcze lepiej, drukowany ślad. Był wierny tej myśli do końca życia. Schorowany i zmęczony wiekiem (93 lata), jeszcze parę dni przed śmiercią dotarł do jednego z redaktorów „Solidarności”, który obiecał zająć się drukiem

tych wspomnień. Nie udało się to jednak i dlatego ja sama traktuję tamto życzenie jako legat „Eryka”. Ppłk Henryk Krajewski był człowiekiem „bez skazy” – cześć Jego pracy i pamięci.

Wrocław, grudzień 1989

H. Cz.-Ż.

Post Scriptum II

Halina Czermińska-Żelaźniewicz „Urszula” zmarła we Wrocławiu w dniu 4.10.1994, także nie doczekawszy wydania drukiem tych wspomnień, spisanych już ponad 15 lat temu.

NOTY BIOGRAFICZNE

HALINA JADWIGA Z CZERMIŃSKICH-ŻELAŹNIEWICZOWA-„URSZULA” (1914-1994). Urodzona w Saratowie, skąd po wybuchu rewolucji rodzina Czermińskich przeniósła się do Warszawy. Po ukończeniu filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim i po specjalnym rocznym studium bibliotekarskim, w roku 1938 zaczęła pracę zawodową w Toruniu. Z początkiem wojny powraca do Warszawy, gdzie włącza się w powstający ruch oporu, pracując dla Komendy Głównej AK. Jest w BIP-ie (*Ajencja Prasowa*), a potem, aż do powstania, w specjalnej komórce szkolenia dywersyjnego KG AK „Zagajnik”. W powstaniu brała udział w walkach na Woli i Starym Mieście, a po przejściu kanałami także na Mokotowie, jako łączniczka płk. Wachnowskiego i płk. Radosława. Odznaczona Krzyżem Walecznych. W sierpniu 1945 wychodzi za mąż za kpt. Waleriana Żelaźniewicza, uciekiniera z niemieckich oflagów i także uczestnika powstania. Małżeństwo Żelaźniewiczów osiedla się we Wrocławiu, rodzi się dwóch synów: Andrzej (1947) i Ludwik (1948). We Wrocławiu pracuje najpierw w Kuratorium Okręgu Szkolnego, a potem w Polskim Radiu. W sierpniu 1951 aresztowana wraz z mężem przez UBP w sprawie rtm. Jędrzeja Czykowskiego, oskarżonego o szpiegostwo. Z wyrokiem 6 lat (unieważnionym 14.3.1994) jest więźniem Mokotowa i Fordonu, skąd wychodzi na wolność w sierpniu 1955. Jedynym miejscem, gdzie zgodzono się na jej zatrudnienie jest szpital dla nerwowo i psychicznie chorych dzieci w Krośnicach pod Miliczem. Po październiku 1956 z również uwolnionym mężem powraca do Wrocławia. Pracuje jako kustosz w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu. Czynna zawodowo nawet po przejściu na emeryturę. W latach 1980-1982, w miarę

swych możliwości aktywnie włącza się w ruch „Solidarności”. Umiera w październiku 1994.

KPT. WALERIAN RYSZARD ŻELAŻNIEWICZ–„ŻUBR”. Urodzony 11.4.1912 w Sarnach na Wołyniu. Po ukończeniu Korpusu Kadetów w Rawiczu oficer służby stałej w 58. Pułku Piechoty Wielkopolskiej w Poznaniu – dowódca kompanii przeciwpancernej. W kampanii wrześniowej przebył szlak bojowy 14. Dywizji Piechoty Armii „Poznań”. Bitwa pod Kutnem, Puszcza Kampinoska. Rana. Niewola. Oflagi: II-A Prenzlau, IV-C Colditz, X-C Lubeka. W listopadzie 1943 udana (piąta próba) ucieczka do kraju z oflagu X-C w Lubecie. Warszawa. Kursy szkolenia dywersji KEDYW-u KG AK, komórka „Zagajnik”. Powstanie Warszawskie – dowódca plutonu dywersyjnego w IV kompanii kpt. „Żmudzina” w zgrupowaniu „Bartkiewicza” w Śródmieściu (rejon „Zachęty”). Ciężko ranny 19.8.1944. Awans do stopnia kapitana, odznaczenia krzyżem srebrnym *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych. Po wojnie studia ekonomiczne w Wyższej Szkole Handlowej we Wrocławiu. Jest dyrektorem administracyjnym w Stacji Dolnośląskiej Państwowego Instytutu Geologicznego. W styczniu 1952 bezpodstawnie skazany, wraz z żoną, w sprawie rtm. „Gardy”, Andrzeja Czaykowskiego, w okresie 1951-1956 był więziony z 12-letnim wyrokiem w Mokotowie, Rawiczu i Wronkach. Po październiku 1956 powrót do cywilnego życia we Wrocławiu, w spółdzielczości inwalidzkiej. Zmarł 6.9.1962 r. w Krakowie.

RYSZARD ŻELAŻNIEWICZ, „ŁOŚ”, ur. 1908 w Sarnach na Wołyniu. Z polecenia AK pozostał i pracował w granatowej policji. Zmarł w wyniku ciężkiego śledztwa na Szucha wiosną 1944, po odkryciu przez Niemców jego zaangażowania w ruchu oporu.

DOKUMENTY

Tomasz MIANOWICZ

INSTRUKCJE DLA BRATNIEJ PARTII: ROZMOWY ANDRIEJA GROMYKI W WARSZAWIE PRZED IX ZJAZDEM PZPR

Wizyta ministra spraw zagranicznych ZSSR w Polsce krótko przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem Partii była niemal polityczną improwizacją. Inicjatywa wyszła ze strony sowieckiej a władze PZPR musiały zostać powiadomione o przyjeździe Gromyki w ostatniej chwili. Gdy przylatywał do Warszawy 3 lipca 1981 r., *Trybuna Ludu* w ogóle o tym nie informowała; dla organu PZPR najważniejszym wydarzeniem w dziedzinie aktywności międzynarodowej władz, były rozmowy z przebywającym w Warszawie ministrem spraw zagranicznych Nigerii. Sobotnio-niedzielne wydanie *Trybuny Ludu* z 4-5 lipca donosiło na pierwszej stronie, że „na zaproszenie KC KPZR i Rady Ministrów PRL” Gromyko dzień wcześniej przybył do Warszawy „z krótką przyjacielską wizytą”. Co do treści rozmów, gazeta ograniczała się do niezwykle lakonicznego sformułowania: „omówiono sprawy będące przedmiotem zainteresowania obu partii i państw”.

Publikowana poniżej informacja z archiwum wschodnio-

niemieckiej SED wyjaśnia szczegóły reżyserii pobytu sowieckiego ministra nad Wisłą. Wspomniany w dokumencie komunikat, opublikowany 6 lipca 1981 r., choć długi, odznacza się wyjątkowo znikomą treścią; jedyny *passus*, który nawiązuje do rzeczywistego przedmiotu rozmów Gromyki w Warszawie, zarzuca „określonym kołom na Zachodzie” próby wykorzystania „wydarzeń w Polsce” w celu zdyskredytowania socjalistycznego ustroju.

O wizycie sowieckiego ministra w lipcu 1981 r. pisze w swej książce Wojciech Jaruzelski¹. Gromyko przybył na dobrą sprawę jako członek specjalnej komisji KC KPZS do spraw Polski, znanej jako „Komisja Susłowa”, od nazwiska jej przewodniczącego. Opublikowane dotychczas informacje, dotyczące jej składu i okresu działalności, nie są pozbawione niejasności. Według generała Jaruzelskiego do komisji należeli, oprócz jej przewodniczącego, szef KGB Andropow oraz ministrowie spraw zagranicznych i obrony – Gromyko i Ustinow a także Rachmanin, Rusakow, Zamiatin i Ziemianin². Natomiast Georgij Szachnazarow, który był sekretarzem tej komisji, podaje w swych wspomnieniach, że w jej skład wchodził Ponomariow i ambasador ZSSR w Polsce – Aristow, nie wymienia natomiast ani Rachmanina, ani Zamiatina, ani Ziemianina³. Generał Jaruzelski twierdzi, że komisję rozwiązano w lipcu 1985 r. w wyniku jego długiej rozmowy z Gorbaczowem⁴. Według Szachnazarowa komisja działała do roku 1987⁵. Te sprzeczności po raz kolejny pokazują wątpliwą wartość literatury wspomnieniowej jako źródła historycznego.

Wszelako inne twierdzenia Jaruzelskiego na temat rozmów z Gromyką w lipcu 1981 r. odpowiadają treści publikowanej poniżej „Informacji”. Generał przemilcza jednak kilka istotnych elementów. Dyspozycje Gromyki dotyczące

1. „Stan wojenny dlaczego...” Warszawa 1992. s. 174-177.

2. por. tamże, s. 124.

3. Taki skład podaje A. Werblan, powołując się na Szachnazarowa i komentując fragment jego wspomnień w *Dziś*, nr 10, październik 1994, s. 61.

4. por. dz.cyt. przyp. 1., s. 125.

5. por. dz. cyt. przyp. 3., s. 61.

składu władz PZPR były jednoznaczne, przynajmniej jeśli chodzi o oba nazwiska, które padają w czasie rozmów w Warszawie. Nie dziwi fakt, że sowiecki minister wymienia właśnie Grabskiego i Rakowskiego. Ten ostatni nie cieszył się w 1981 r. w stolicach „bratnich państw” dobrą opinią; w czasie rozmów w Moskwie z Breżniewem i Husakiem, Honecker przytoczył opinię kierownika Wydziału Spraw Międzynarodowych KC – Piątkowskiego, który określił Rakowskiego mianem „zdrajcy”⁶. Przeciwnie Grabski: najczęściej wymieniany jednym tchem z Olszowskim, uosabiał w oczach sąsiadów PRL nadzieję na zmianę zabójczego dla socjalizmu kursu PZPR; Honecker widział w obu działaczach kandydatów na objęcie kierownictwa polskiej partii⁷. Również Husák wymieniał w czasie mini-szczytu 16 maja 1981 r. Olszowskiego i Grabskiego, jako towarzyszy, na których można polegać⁸. Sowietci natomiast w ocenie sytuacji personalnej w PZPR uwzględniali więcej niuansów: Breżniew mówił, że brak odpowiedniej osobowości, która mogłaby objąć kierownictwo⁹.

Pomimo tych wątpliwości Grabski podjął na XI plenum KC (9-10 czerwca 1981 r.) próbę puczu, która miała doprowadzić do upadku Kani i objęcia stanowiska I sekretarza przez Olszowskiego. Grabski uzyskał zapewne dla swej akcji poparcie Sowietów, jak twierdzą zgodnie Jaruzelski i Kiszczak¹⁰. Już w czasie narady w Moskwie 16 maja Andropow zapowiadał „bitwę” na XI plenum:

Według naszych informacji stosunek sił przedstawia się mniej więcej 50:50, pozostaje jednak pytanie, kto podejmie inicjatywę, kto zwoła plenum. (...)

6. Vermerk über das Treffen der Genossen Leonid Il'ič Brežnev, Erich Honecker und Gustav Husák am 16. Mai 1981 im Kreml in Moskau (Zapis spotkania towarzyszy Leonida Iljicza Breżniewa, Ericha Honeckera i Gustawa Husaka 16 maja 1981 r. na Kremlu w Moskwie). Stiftung Archiv der Parteien und Massenorganisationen der DDR im bundesarchiv (dalej: SAPMO-BArch), DY 30: vorl. SED 41599.

7. tamże.

8. j.w.

9. j.w.

10. por. W. Jaruzelski: dz. cyt. przyp. 1., s. 158; por. W. Bereś, J. Skoczyła: „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko”. Warszawa 1991. s. 100-101.

Zjazd partii decyduje, czy partia pójdzie drogą marksistowsko-leninowską, czy też się rozpadnie. Dlatego zdrowe siły muszą wykorzystać XI plenum do stoczenia bitwy¹¹.

Wyniki „bitwy” są znane. Nagła zmiana w postawie Olszowskiego umożliwiła utrzymanie się u władzy dotychczasowego kierownictwa. Zrozumiałe jest zatem, że Gromyko na początku lipca ostrzegł Kanię przed stosowaniem zemsty wobec towarzyszy, którzy na posiedzeniach KC krytykowali dotychczasową politykę szefa PZPR. Logiczne jest również, że w ramach postulatów w sprawie składu władz polskiej partii pada nazwisko Grabskiego, pominięty natomiast zostaje Olszowski. Jego ocena w oczach towarzyszy sowieckich staje się dwuznaczna:

Nie rozumiemy towarzysza Olszowskiego. W momentach zwrotnych zachowuje się jak chorągiewka

– mówił Rachmanin w czasie spotkania z delegacją SED w dniach 1-2 października 1981 r¹².

Instrukcje w sprawach personalnych, które Gromyko przywiózł w lipcu do Warszawy, nie miały jednak wpływu na wybór do władz partyjnych: IX zjazd nie wybrał Grabskiego do KC, pozostał natomiast jego członkiem Rakowski. Ale kilka miesięcy później również obraz tego ostatniego w oczach Moskwy zmienia się na lepsze; w czasie wspomnianego spotkania na początku października Rachmanin zauważa, iż „Rakowski, jak się zdaje, stoi obecnie na lewo, Olszowski idzie na prawo”¹³.

Można przypuszczać, że ta ewolucja związana była z intensywnymi wysiłkami sąsiadów PRL na rzecz doprowadzenia do zmian personalnych w PZPR, poprzez popieranie i wręcz inspirowanie akcji „zdrowych sił”. Problemem zasadniczym

11. dok. cyt. przyp. 6.

12. Bericht über die Konsultationen des Genossen Günter Sieber, Mitglied des ZK der SED und Leiter der Abteilung Internationale Verbindungen, im ZK der KPdSU am 1. und 2. October 1981 (Sprawozdanie z konsultacji członka KC SED, kierownika Wydziału Spraw Międzynarodowych towarzysza Güntera Siebera w KC KPZS 1 i 2 października 1981 r.) SAPMO-BArch DY 30: IV 2/2.035/57, s. 155-180.

13. tamże.

było znalezienie właściwego człowieka w celu zastąpienia Kani: musiałyby to być działacz gotów do „zdecydowanej walki z kontrewolucją” a równocześnie cieszący się wystarczającym autorytetem. Człowiekiem tym okazał się Wojciech Jaruzelski, zaś możliwość dokonania zmiany na stanowisku szefa PZPR pojawiła się wówczas, gdy generał postanowił odsunąć się od Kani¹⁴. W czasie wizyty Gromyki w Warszawie brak jeszcze jakichkolwiek oznak różnic w postawie I sekretarza i premiera. Pierwsze informacje o dystansowaniu się Jaruzelskiego od Kani pojawiają się w dokumentach archiwalnych we wrześniu. Jest rzeczą logiczną, że Rakowski, jako polityk związany z ówczesnym szefem rządu, ewoluuje razem z nim, co prowadzi również do wzrostu jego, Rakowskiego, notowań w Moskwie. Będzie później namawiał Jaruzelskiego do ogłoszenia stanu wojennego¹⁵.

Inne wątki, które pojawiają się w informacji na temat rozmów Gromyki z kierownictwem PRL w lipcu 1981 r. znane są również z innych źródeł. Warto zwrócić uwagę na groźbę sięgnięcia do restrykcji gospodarczych, która jednak początkowo nie miała większego wpływu na politykę kierownictwa PZPR. O możliwości zastosowania wobec Warszawy nacisków ekonomicznych mówił Breżniew na zakończenie tajnego spotkania z Honeckerem i Husákiem 16 maja 1981 r.; łatwo jednak zauważyć w wielu złożonych tam wypowiedziach świadomość bezradności¹⁶.

Publikowany dokument pochodzi z Wydziału Ogólnego KC SED i nie jest datowany¹⁷. Zdarza się to w wypadku materiałów, przekazywanych kurierem z Moskwy do Berlina Wschodniego (i zapewne do innych stolic „bratnich państw”, choć warto zauważyć, że kierownictwo partii rumuńskiej było wyłączone z wielu narad i kontaktów, dotyczących sposobu

14. Więcej szczegółów tej sprawy podaję w: „Rok 1981: Mity i rzeczywistość”. *Zeszyty Historyczne* 119, Paryż 1997. s. 37-38.

15. Informację na ten temat podał ambasador NRD w Warszawie H. Neubauer w telegramie do kierownictwa SED z 2.12.1981, powołując się na rozmowę ze S. Cioskiem (SAPMO-BArch DY 30: vorl. SED 38394). Obszerne fragmenty telegramu ogłosiłem w: „Stan wojenny. Fragmenty scenariusza”. *Kultura* (1995), nr 9, s. 69-78.

16. por. dok. cyt. przyp. 6.

17. SAPMO-BArch DY 30: J IV 2/202-550.

ingerowania w sprawę PZPR). Honecker zapoznał się z „Informacją” 10 lipca 1981 r., umieszczając na dokumencie tę datę i swoją parafę. Można również zauważyć, że tłumaczenia dokonała osoba, której językiem ojczystym nie był niemiecki; świadczą o tym nienaturalne struktury składniowe i kilka błędów gramatycznych i ortograficznych. Nie ma to jednak wpływu na zgodność tłumaczenia z rosyjskim oryginałem.

Tomasz MIANOWICZ

*Tłumaczenie nieoficjalne
Poufne*

INFORMACJA

o rozmowach członka Biura Politycznego KC KPZS,
Ministra Spraw Zagranicznych ZSSR tow. A.A. Gromyki z
kierownictwem PZPR w Warszawie 3-5 lipca 1981 r.

Kierowane troską o sytuację w PZPR w przeddzień jej IX Nadzwyczajnego Zjazdu, Politbiuro KC KPZS podjęło inicjatywę w sprawie podróży tow. A.A. Gromyki do Warszawy, w celu przeprowadzenia rozmów z S. Kanią i W. Jaruzelskim. Polscy towarzysze zgodzili się na tę propozycję.

Obie strony uzgodniły przedstawienie tej podróży [na zewnątrz] jako oficjalnej przyjacielskiej wizyty. (Jak wiadomo komunikat w tej sprawie opublikowano 6 lipca).

Od 3 do 5 lipca miały miejsce rozmowy z S. Kanią i W. Jaruzelskim a także rozmowy w cztery oczy z S. Kanią. Tow. A. Gromyko opierał się przy tym na treści listu KC KPZS do KC PZPR z 5 czerwca br. jak również na odpowiednich oświadczeniach tow. L.I. Breżniewa [złożonych] w czasie spotkań z polskim kierownictwem i [w czasie] rozmów z S. Kanią, o których informowaliśmy już naszych przyjaciół.

W rozmowach z S. Kanią i W. Jaruzelskim podkreślono z naciskiem, że KC KPZS widzi główne zadanie w uczynieniu zbliżającego się Zjazdu PZPR zjazdem, na którym szeregi partyjne zostaną zwarte w oparciu o zasady marksizmu-leninizmu a partia zostanie wyposażona w program walki, aby wydobyć się z kryzysu. Sprawa zachowania i umocnienia socjalistycznego ustroju społecznego w PRL jako niezależnym, socjalistycznym państwie, trwałym ogniwie wspólnoty socjalistycznej, wymaga, aby na Zjeździe Partii i w czasie dalszej działalności PZPR, dać zdecydowany odpór kontrrewolucji i wszystkim siłom, które dążą do likwidacji

socjalizmu w Polsce lub próbują co najmniej skierować rozwój kraju na tory socjaldemokratyczne, wręcz kapitalistyczne. Ważne jest, powiedział A.A. Gromyko, aby na zjeździe zademonstrować siłę marksistowsko-leninowskiej partii komunistów, gdyż kontrrewolucja, która podniosła głowę, nie złoży tak łatwo broni.

Kania i Jaruzelski nie próbowali poddawać w wątpliwość tych ocen i wniosków. Wielokrotnie powtarzali, że uczynią wszystko, aby „zjazd przebiegał jak zjazd partii marksistowsko-leninowskiej” a „kierownictwo było marksistowsko-leninowskie”. Naturalnie tę sprawę rozstrzygnie sam Zjazd Partii. Niemniej jednak podkreślaliśmy nasze stanowisko zdecydowanie i w sposób zasadniczy.

Podczas rozmów w Warszawie wypowiedziano ostrzeżenie aby Kania nie wkroczył na drogę zemsty wobec towarzyszy, którzy na posiedzeniach KC i przy innych okazjach krytykowali obecne kierownictwo PZPR i jego politykę ciągłych ustępstw wobec sił antysocjalistycznych. Dano również do zrozumienia, że do Komitetu Centralnego i do Biura Politycznego nie można wybrać osób, które stoją na wyraźnie rewizjonistycznych i oportunistycznych pozycjach. Powiedziano przy tym otwarcie, że konieczne jest zapewnienie wyboru towarzysza Grabskiego w skład kierownictwa i niedopuszczenie do wyboru Rakowskiego.

Tow. A.A. Gromyko mówił z naciskiem o tym, że problem składu kierowniczego centrum PZPR (...) jest w sposób oczywisty nierozzerwalnie związany ze sprawą zaufania [do niego] ze strony KC KPZS i sowieckiego kierownictwa. W czasie rozmów poświęcono wiele uwagi innym zasadniczym problemom, poruszonym w liście KC KPZS do Komitetu Centralnego PZPR, między innymi sprawie umocnienia kierowniczej roli partii, zachowaniu zasad centralizmu demokratycznego, wzmocnieniu wpływu PZPR na dokonujące się w Polsce procesy, wychowaniu ideologicznemu członków partii, konieczności zdecydowanej aktywizacji walki przeciwko kontrrewolucji i siłom antysocjalistycznym, kontroli nad środkami masowego przekazu itd.

Tow. A.A. Gromyko podkreślił, że nie tylko polityczne, lecz również ekonomiczne stosunki z państwem polskim będą kształtowane z uwzględnieniem tego, jaka Polska będzie. Oświadczono, że pomagaliśmy i będziemy pomagać przyjaciółom, a nie wrogom, nasz lud na to nie pozwoli. Partnerzy rozmowy przyjęli te wypowiedzi ze zrozumieniem, byli jednak oszczędni w słowach.

W tym kontekście tow. A.A. Gromyko zwrócił im uwagę na ponawiane rady, których polskiemu kierownictwu udzielali towarzysze L.I. Breżniew, KC KPZS i przywódcy innych bratnich partii, lecz które do dziś nie zostały zastosowane.

S. Kania i W. Jaruzelski zapewnili, że Polska jest i pozostanie państwem socjalistycznym i że Partia, pomimo trudnej sytuacji w kraju, nie pozwoli, aby siły antysocjalistyczne przejęły władzę. Walka będzie trudna i skomplikowana – oświadczyli – ale nie wątpimy w ostateczne zwycięstwo PZPR. W opinii S. Kani i W. Jaruzelskiego problemy międzynarodowe będą omawiane na zjeździe

partii we właściwym duchu, który odpowiada zasadom polityki zagranicznej państw wspólnoty socjalistycznej.

W rezultacie rozmów przeprowadzonych w Warszawie istnieje podstawa, by wierzyć, że list KC KPZS do KC PZPR jak również odpowiednie środki oddziaływania na polskie kierownictwo ze strony innych bratnich partii, będą miały wpływ na Zjazd Partii i jego przebieg.

KC KPZS bierze oczywiście pod uwagę, że S. Kania i W. Jaruzelski już wcześniej obiecywali uwzględnienie rad bratnich partii, nie podjęli jednak żadnych zdecydowanych działań. Nikt nie może zagwarantować, że także tym razem nie postąpią podobnie. W każdym razie rozmowy przeprowadzone w Warszawie pozwoliły raz jeszcze wyraźnie zwrócić uwagę na pryncypialne ustalenia listu Komitetu Centralnego KPZS i ostrzec przed zgubnymi skutkami kontynuacji dotychczasowego kursu. Było bez wątpienia rzeczą ważną uczynić to przed IX Zjazdem PZPR.

KC KPZS jest zdania, że PZPR oczekuje na Zjeździe i po nim trudna i skomplikowana walka, aby wyprowadzić PRL i PZPR z niebezpiecznego kryzysu. Uważamy, że nasze partie nadal muszą stosować wszelkie środki wpływu na kierownictwo PZPR i udzielać polskim komunistom stałej pomocy, aby osiągnąć zmianę sytuacji w kraju.

RECENZJE

Tadeusz WYRWA

MISCELLANEA TOMU XXI LONDYŃSKICH *TEK HISTORYCZNYCH*

Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii (PTHWB), wstępując w 50 rok swego istnienia, wydało XXI tom *Tek Historycznych*¹. Tom ten został poświęcony pamięci płk. dypl. prof. dr. Stanisława Biegańskiego, historyka z ładną kartą żołnierską. Jego *curriculum vitae* pióra Rafała E. Stolarskiego, znajduje się na wstępie tomu.

Płk. Stanisław Biegański zmarł w wieku 100 lat. Cztery tygodnie przed śmiercią, w wywiadzie udzielonym *Dziennikowi Polskiemu i Dziennikowi Żołnierza* w Londynie, Pułkownik powiedział: „Chciałbym... by młodzi historycy nauczyli się zespołowego badania ważnych okresów dziejów Polski i by smutna spuścizna jednostronnego naświetlania dziejów, jak to miało miejsce wśród dużej części historyków PRL-u, nie powtórzyła się w pracach młodego pokolenia.

1. *Teki Historyczne*, Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, tom XXI (wydany dzięki dotacji Polonia Aid Foundation Trust). Londyn 1994-1995, str. 384. Komitet Redakcyjny: Przewodniczący – Zdzisław Jagodziński. Członkowie – Stanisław Bóbr-Tylingo, Ludwik Maik, Andrzej Suchcitz, Aleksander Szkuta.

Ważne jest bowiem zestawienie odmiennych poglądów naszych historyków i pisarzy politycznych. Przewodnią gwiazdą wszelkich wysiłków musi stać się szukanie prawdy i sprawiedliwości społecznej”. Trudno o bardziej aktualne przesłanie historyka, ostatniego już na emigracji z pokolenia minionej epoki.

Wystarczy rzucić okiem na spis rzeczy, żeby się zorientować jak bogaty jest w treści i jak liczni są autorzy. Autorów jest 23 a rozpraw i artykułów 20, do których dochodzi materiał zawarty w działach: „Bibliografia”, „Recenzje”, „Nekrologia”, „Kronika”. Tematy pochodzą z różnych okresów, ale najliczniejsze są z dwudziestolecia i z okresu drugiej wojny światowej. Jest to szczęśliwe rozszerzenie tematyki, która do tomu XIX *Tek* zatrzymywała się na 1914 roku². Rozmaitość tematów i ilość opracowań, wzbogacając publikację, uniemożliwiają jednak dokładniejsze jej omówienie, które mieściłoby się w ramach normalnie przyjętych recenzji. Muszę się przeto ograniczyć do krótkich omówień niektórych jedynie opracowań, a w odniesieniu do innych podać tylko ich tytuł, co w żadnym wypadku nie oznacza, że mają one mniejszą wartość.

Dział rozpraw otwierają 4 artykuły Stanisława Biegańskiego: a) „Zagrożenie międzynarodowe Polski wynikające z Locarna”, b) „Działalność Edwarda Raczyńskiego na tle sytuacji międzynarodowej Polski oraz koncepcje federacji narodów Europy Środkowej w latach 1930-1956”³, c) „Polskie koncepcje federacyjne na emigracji w latach 1944-1946”, d) „Angielskie koncepcje federacyjne w Europie Centralnej”.

Piotr Stawecki w artykule pt. „Generał Juliusz Stachiewicz – organizator nauki historyczno-wojskowej” pisze o wkładzie gen. Juliusza Stachiewicza (nie mylić z gen. Wacława

2. Jest o tym mowa w recenzji o XX tomie *Tek*, jaka ukazała się na łamach *Zeszytów Historycznych* nr 112, 1995 r., str. 199 i nast., zwłaszcza str. 200.

3. W w/w opracowaniu „Działalność Edwarda Raczyńskiego...”, Biegański popełnił błąd pisząc, iż od 1934 r. E. Raczyński „był przedstawicielem RP w Wielkiej Brytanii zrazu jako poseł, później ambasador”. W rzeczywistości od razu objął stanowisko ambasadora, gdyż już w 1929 r. poselstwo zostało podniesione do rangi ambasady.

wem Stachiewiczem, szefem Sztabu Głównego w latach 1935-1939) w zorganizowanie działalności, powołanego w listopadzie 1922 roku, Biura Historycznego Sztabu Generalnego, którego został szefem. Od lipca 1927 r. Biuro to stało się samodzielną instytucją pod nazwą Wojskowe Biuro Historyczne podlegające bezpośrednio Marszałkowi Piłsudskiemu. W rozbudowanych kilku działach Biuro, pod kierownictwem J. Stachiewicza, miało w swojej pieczy wszystkie zagadnienia historii wojskowej, ze szczególnym uwzględnieniem najnowszych dziejów. J. Stachiewicz posiadał umiejętność skupienia wokół siebie wartościowego grona i przywiązywał dużą wagę do przygotowania młodych pracowników, dążąc „by Biuro nie pozostawało instytucją zamkniętą”. W jego dorobku Autor tego opracowania wymienia m.in. położenie podwaliny pod monumentalną siedmiotomową „Encyklopedię Wojskową” i podkreśla, że gen. J. Stachiewicz, przedwcześnie zmarły w 1934 r. „należał obok gen. Kukiela i płk. Wacława Tokarza do najwybitniejszych organizatorów nauki historyczno-wojskowej w Drugiej Rzeczypospolitej”.

Poświęcony następnie rozwojowi nauki historii jest artykuł Tadeusza Kondrackiego pt. „Z myślą o przyszłości polskiej nauki historycznej (Konferencja Warszawska 11-12 kwietnia 1920 r.)”. Autor przedstawia rywalizację ośrodków Lwowa, Krakowa i Warszawy. Krakowianie zwłaszcza obawiali się, że przewodnictwo obejmie prężne środowisko warszawskie. Chodziło wówczas głównie o to, kto zorganizuje Instytut Historyczny i gdzie będzie się znajdowała centrala Towarzystwa Historycznego, które winno być jedno dla zjednoczonej po zaborach Polski. Konferencja Warszawska, konkluduje Kondracki, „była ważnym etapem na drodze do powołania wspólnej organizacji polskich historyków, niezależnie od tego, iż z realizacją trzeba było jeszcze kilka lat zaczekać”.

Z pierwszych lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pochodzi też rozprawa Janiny Stobniak-Smogorzewskiej: „Trudne początki osadnictwa wojskowego na kresach wschodnich”. Autorka w zwięzły sposób i w oparciu o materiał źródłowy, odtworzyła mało znany obraz problemów osadnictwa, które były przedmiotem kontrowersji i różnych wąśni. Podstawą prawną osadnictwa były dwie ustawy, przedło-

zone Sejmowi przez premiera Witosa i przyjęte przez Sejm w dniu 17 grudnia 1920 r. Ustawy te postanawiały a) przejęcie na własność Państwa ziemi w niektórych powiatach RP; b) nadanie ziemi żołnierzom WP. Powołane Komisje Kwalifikacyjne, oceniające kandydatów na przydział żołnierskich osad funkcjonowały niezbyt sprawnie. Z kolei osadnicy samowolnie niejednokrotnie zajmowali majątki, co powodowało różne konflikty. Sytuacja osadników była bardzo ciężka, zwłaszcza po wstrzymaniu wypłacania żołnierskiego żołdu. Osadnictwo wojskowe, teoretycznie korzystające z pomocy państwowej „było właściwie – pisze Autorka – prawie pozostawione same sobie”, stąd też rozmaite błędy i nieporozumienia. Bardzo ujemnie odbiło się to na zbliżeniu z miejscową ludnością ukraińsko-białoruską. Osadnicy pochodzili z różnych warstw społecznych, ale łączyła ich wspólna przeszłość żołnierska, która ułatwiła im zrozumienie, że zjednoczonym tylko wysiłkiem będą mogli się urządzić. Zaczęły przeto powstawać organizacje rolnicze i spółdzielcze, wspomagane przez Związek Osadników, powołany do życia w 1922 r. Według danych z listopada 1933 r. liczba osadników wynosiła 8.988 osób. Około 44% z ich ogólnej liczby osiedliło się na Wołyniu. Stosunki osadników z miejscową ludnością ulegały stopniowej poprawie i powolnej stabilizacji, ale skutki błędów popełnionych na początku ciążyły właściwie do końca i chyba przyczyniły się w dużym stopniu do wydarzeń, jakie miały miejsce na tych ziemiach po wybuchu wojny w 1939 roku.

Związane z dwudziestoleciami i zawierające problemy aktualne również w okresie ostatniej wojny jest opracowanie Marii Nowak-Kiełbikowej pt. „Praca propagandowa Poselstwa/Ambasady RP w Londynie w koncepcjach Konstantego Skirmunta”. Konstanty Skirmunt objął stanowisko posła RP w Londynie w listopadzie 1922 a ambasadora, po podniesieniu Poselstwa do rangi Ambasady, w listopadzie 1929 i funkcję tę piastował do sierpnia 1934 roku. Jako b. minister spraw zagranicznych i dyplomata na różnych placówkach miał dobre rozeznanie w stosunkach międzynarodowych i potrzebach propagandy na rzecz Polski. Po objęciu stanowiska posła w Londynie przystąpił do wypracowywania długofalowego

planu, mającego na celu sprawnie działającą propagandę, która przeciwdziałałaby niekorzystnym dla Polski wpływom i służyłaby do zainteresowania społeczeństwa brytyjskiego sprawami polskimi, zaniedbanymi propagandowo w Wielkiej Brytanii. Przede wszystkim została podjęta akcja zmierzająca do utworzenia serwisu informacyjnego, żeby zastąpić przekazywanie wiadomości z Polski za pośrednictwem Berlina, jak to przeważnie miało miejsce. Duże zasługi w tej dziedzinie położył *attaché* Poselstwa Franciszek Bauer-Czarnomski. Pomimo dużych trudności w nawiązywaniu kontaktów z prasą, Skirmunt sprzeciwił się skorzystaniu z proponowanego w Warszawie pośrednictwa Józefa Retingera. Pod względem organizacji propagandy, Polska była wówczas – jak píše Nowak-Kiełbikowa – „w gorszej sytuacji nie tylko w porównaniu z Niemcami, ale także z Czechosłowacją i państwami bałtyckimi”. Skirmuntowi nie udało się jednak zrealizować wypracowanego planu zbliżenia polsko-brytyjskiego, ale przyczynił się do ożywienia wzajemnych kontaktów. Skirmunt odnosił się krytycznie do personalnej polityki Ministerstwa Spraw Zagranicznych (MSZ), od momentu przejścia jej przez Wiktora Tomira Drymmera, której rezultatem było odwołanie z Londynu Jana Wszelakiego, sekretarza i radcę Ambasady. W listopadzie 1934 roku stanowisko ambasadora w Londynie przejął Edward Raczyński.

Dalszym ciągiem tej samej problematyki jest artykuł Wiktora Peplińskiego pt. „Kontrowersje wokół koncepcji organizacji polskiej akcji propagandowej w Wielkiej Brytanii na początku II wojny światowej”. Po ogłoszeniu gwarancji brytyjskich z marca 1939 roku, miesiąc później MSZ poleciło amb. Raczyńskiemu przygotowanie „planu rozwinięcia szerszej akcji prasowej”. W tym celu zostały wzmocnione agendy Ambasady, szczególnie jej referat prasowy. Przygotowano dwie broszury w języku angielskim, które ukazały się we wrześniu 1939: „Heroic Poland” i „The Big Three of Poland’s Drama”. Ta ostatnia, ze wstępem Raczyńskiego, o hagiograficznym charakterze, sławiąca I. Mościckiego, E. Śmigłego-Rydza i J. Becka wywołała kontrowersje i zarzuty, że to „intryga staroreżymowców”. Ofiarami padli dwaj pracownicy Ambasady (Tadeusz Lutosławski i Lesław

Bodeński) a Raczyński utrzymał się na stanowisku pod warunkiem, jaki postawił Sikorski: „porzucenia tamtego obozu i przejścia do jego”. Drugim problemem były zabiegi Józefa Retingera o kierowanie propagandą polityczną na terenie Wielkiej Brytanii według własnego planu „propagandy polskiej w Anglii”, którego wykonawcą miał być Stefan Litauer. Spotkało się to ze zdecydowanym sprzeciwem pracowników Ambasady z Raczyńskim włącznie. W sumie Raczyński nie odciął się od współpracy z Retingerem, ale nie dopuścił do przejęcia przez niego całej akcji. Jeśli chodzi o S. Litauera, to ograniczył jego działalność do roli korespondenta PAT-a w Londynie, którą sprawował od 1929 roku⁴. Kończąc swój artykuł Pepliński słusznie przypomina, że w pierwszych miesiącach wojny Londyn był terenem drugoplanowym co do oddziaływania polskiej propagandy, gdyż wszystko było skupione we Francji, gdzie znajdował się nasz rząd i jego resorty zajmujące się propagandą. W rzeczywistości jednak, tak wówczas we Francji, jak też później w Wielkiej Brytanii, ciągle brak było aktywnej i niezależnej propagandy spraw polskich⁵.

Z pierwszych miesięcy wojennych dziejów Polski na obczyźnie jest również artykuł Teresy Skinder-Suchcitz pt. „Projekt przerobienia M.S. ‘Piłsudskiego’ na krążownik pomocniczy w 1939”. Na podstawie zbioru listów Mamerta Stankiewicza, kapitana pasażerskiego statku „Piłsudski” – chluby polskiej floty transatlantyckiej – Autorka odtworzyła historię ostatnich miesięcy istnienia tego statku. W chwili wybuchu wojny „Piłsudski”, znajdując się na Atlantyku w drodze z Nowego Jorku do Gdyni, został skierowany do portu Newcastle-upon-Tyne. Autorka przypomina, że rząd polski w Paryżu zdawał sobie sprawę, iż Marynarka Handlowa, która uratowała się prawie w całości, będzie mogła odegrać ważną rolę, ale nie potrafił ustalić tej roli, odkładając

4. Na temat szkodliwej akcji Stefana Litauera, wówczas i później, zob. Hanna Świdorska, „Drobiazgi jaltańskie: Z angielskiej działalności Stefana Litauera w *Zeszytach Historycznych* nr 106, str. 63 i nast.

5. Zob. „Oświata i propaganda rządu polskiego na emigracji podczas 2-ej wojny światowej” w *Zeszytach Historycznych* Nr 108, Paryż 1994, str. 83 i nast.

ostateczną decyzję z tygodnia na tydzień i ofiarą tego stał się również „Piłsudski”. Kpt. Stankiewicz czekając na decyzję naszego rządu, borykał się ze zwiększającymi się problemami; coraz trudniej było mu utrzymać dyscyplinę załogi, liczącej 275 ludzi, którzy od dwu miesięcy nie otrzymali uposażenia. Gdy apele do władz polskich pozostały bez odpowiedzi, zwrócono się o pomoc do władz angielskich. Została też wzięta pod uwagę możliwość przerobienia „Piłsudskiego” na krążownik pomocniczy. Stankiewicz wysłał w końcu list z datą 8 października 1939 r. do prezydenta W. Raczkiewicza, gdzie z ubolewaniem pisze: „... statek który nosi imię Wielkiego Marszałka i który jest i będzie symbolem naszego odrodzenia – nie jest jeszcze czynny”. Transatlantyk „Piłsudski” nie został jednak przerobiony na krążownik pomocniczy, lecz przygotowany do transportu wojska. Dnia 25 listopada 1939, pod zmienionymi barwami na kolor służby pomocniczej przy Royal Navy, „Piłsudski” wyruszył w pierwszą podróż w swej nowej roli: płynął do Australii, żeby przywieźć stamtąd wojsko. Kilka godzin później został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną. Epizod ten, w przejrzystym ujęciu T. Skinder-Suchcitz, stanowi jeden przykład więcej o trudnym opanowywaniu sytuacji przez rząd gen. Sikorskiego, zwłaszcza tam, gdzie należało szybko i zdecydowanie podjąć decyzję.

Kolejnym z tego okresu artykułem jest opracowanie Wojciecha Rojka, pt. „Zabiegi o wydostanie – za pośrednictwem Brytyjczyków – części złota Banku Polskiego z Rumunii 1939-1940”. W artykule tym chodzi o transport złota, który przekroczył 14 września granicę Rumunii i ruszył w kierunku portu Konstancy, ale został w drodze zablokowany. Rząd polski rozpoczął wówczas starania o wydostanie tego złota przy udziale stron trzecich, w danym wypadku Wielkiej Brytanii. Podjęte zabiegi z fikcyjnym kupnem złota przez Anglików, żeby móc je następnie wywieźć z Rumunii, nie dały żadnego rezultatu, lecz – jak podkreśla W. Rojek – „winą za ten stan rzeczy nie można obciążać żadnej ze stron”, a artykuł Autora jest konkretnym przyczynkiem do lepszego poznania losu transportu polskiego złota na etapie rumuńskim.

Temat ściśle również związany z Rumunią zawiera artykuł Tadeusza Dubickiego pt. „Zaginieni kurierzy: Antoni Boski – ‘Strzała’ i Bolesław Burkiewicz – ‘Stały’”. Na marginesie tego artykułu warto zaznaczyć, że jego Autor, mający za sobą kilka publikacji książkowych i rozpraw o tematyce wojennego uchodźstwa polskiego w Rumunii, jest chyba obecnie najlepszym jego znawcą. Teraz w artykule na łamach *Tek* Dubicki wydobył z zapomnienia i opisał losy dwu kurierów, o których jest mowa w tytule tego artykułu. Obaj pracowali w wywiadzie polskim, związanym z działalnością „Ekspozytury ‘R’”⁶, oraz bazy łączności ZWZ/AK „Bolek”. Kurier Bolesław Burkiewicz wpadł w ręce żołnierzy sowieckich przy przekraczaniu we wrześniu 1940 granicy polsko-rumuńskiej i ślad po nim zaginął. Z kolei Antoni Boski funkcjonował jako łącznik w ramach placówki „Bolka” do połowy 1943, kiedy to znikł ratując się przed aresztowaniem i dalsze jego losy nie są znane.

Bardzo na czasie, mimo że dotyczy początkowego okresu wojny, jest rozprawa Andrzeja Suchcitz pt. „Sprawa odtworzenia Archiwum Wojskowego we Francji 1939-1940”. Archiwum Wojskowe (AW) – co przypomina Suchcitz – powstało w 1918 r. o innej początkowo nazwie. W chwili wybuchu wojny kierownikiem AW był mjr Bolesław Wali-góra. Do 5 września 1939 r. AW znajdowało się w Forcie Legionów pod Warszawą. Od tej daty zaczyna się ewakuacyjny ich okres, właściwie jedynie części AW, którą zdołano zabrać. Wraz z AW ewakuowano archiwa Wojskowego Biura Historycznego (WBH), którego szefem został mjr Otton Laskowski. Po przekroczeniu granicy rumuńskiej dowództwo nad całością objął gen. Leon Berbecki. Suchcitz podaje wykaz zespołów akt AW, które przewieziono do Baile Herculane i z których *gros* znajduje się obecnie w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku a bardzo nieliczne z nich w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikor-

6. Zob. Tadeusz Dubicki, „Ekspozytura ‘R’ w Bukareszcie (grudzień 1939-październik 1940)” [w:] Mars. Problematyka i Historia Wojskowości. Studia i materiały. Komisja Historyczna b. sztabu Głównego. Londyn-Warszawa 1993, tom 1, str. 65 i nast.

skiego w Londynie. Waligóra opracował memoriał, w którym przedstawił konieczność odtworzenia WBH i AW, co jednak – pisze Suchcitz – „nie znalazło oddźwięku w paryskim naczelnym dowództwie”, gdzie pierwszeństwo dano gromadzeniu materiałów „uwypuklających winę byłych członków Rządu”. W tym celu zostało powołane Biuro Rejestracyjne MSW a później Komisja do Zbadania Klęski Wrześniowej, przyczyniające się do wzajemnych insynuacji i oczerniania Polaków wobec Aliantów⁷. W naprężonej coraz bardziej sytuacji w Rumunii i zdany na samego siebie, gen. Berbecki wydał rozkaz, „aby akta AW rozdzielić pomiędzy generałami pozostającymi w Baile Herculane”, co uczyniono dnia 19 listopada 1939 r. Większość tych akt trafiła do Francji a stamtąd do Stanów Zjednoczonych, o czym była już mowa.

Wkrótce wojskowe władze w Paryżu zaczęły wreszcie myśleć poważniej o odtworzeniu AW. Otton Laskowski został wezwany do Paryża a dnia 4 marca 1940 gen. Marian Kukiel podpisał rozkaz ustalający organizację i skład osobowy WBH, lecz ani słowa o odtworzeniu AW. Stało na tym, że wewnątrz WBH stworzono Referat Archiwalny (RA), którego kierownikiem został Bolesław Waligóra, sprowadzony z Rumunii. Zaczęto zbierać materiały historyczne, a niebawem, niestety, przygotowywać ewakuację. Na początku czerwca doszło do postanowionego wcześniej przeniesienia RA do Angers. Dwa tygodnie później, w chaosie klęski francuskiej, część akt o dużej wartości historycznej, jak pisze A. Suchcitz, była pochopnie palona, a te akta które zostały, przewieziono statkiem do Wielkiej Brytanii. Następnie w konkluzji Autor podkreśla, że pomimo dużych wysiłków O. Laskowskiego i B. Waligóry, żeby jak najszybciej odtworzyć, po klęsce wrześniowej, ośrodek historyczno-archiwalny WP, nie odniosły one pożądanых skutków, a przeciw personel i akta były skupione razem w Rumunii i łatwe do sprowadzenia do Francji, czego jednak nie zrobiono. „Wina za to – precyzuje Suchcitz – spada przede wszystkim na naczelne władze wojskowe w Paryżu a szczególnie na osobę I zastępcy ministra spraw

7. Zob. notę redakcyjną Jerzego Giedroycia w *Zeszytach Historycznych* nr 92, 1990, str. 111.

wojskowych gen. dr. Mariana Kukieła. Tak jak szybko powołano niesławnej pamięci Biuro Rejestracyjne MSW, tak długo zwlekano z podjęciem decyzji o powołaniu WBH i AW”, co jest tym trudniejsze do zrozumienia, jeżeli się pamięta, że Kukiel był historykiem i b. szefem (w latach 1925-1926) Biura Historycznego Sztabu Generalnego. Do dzisiaj właściwie nie wszędzie i nie wszystkie archiwa emigracyjne i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie są uporządkowane i skompletowane, o co nie zadbano w odpowiednim czasie, szczególnie gdy chodzi o materiał dokumentacyjny, który znajdował się w prywatnych rękach byłych urzędników Państwa na Obczyźnie.

W tomie XXI *Tek* znajduje się także artykuł Janusza Zuziaka pt. „Generał dywizji Marian Kukiel jako minister obrony narodowej (1942-1949)”. Szkoda, że Autor nie objął również okresu wcześniejszego, od jesieni 1939 roku. Na pierwszych co prawda stronach jest naszkicowana zawodowa kariera Kukieła, ale ogranicza się to do dat i podstawowych danych z jego życia. Zasadniczą treścią artykułu, jak wskazuje tytuł, są lata późniejsze, od listopada 1942 roku, kiedy to nazwa Ministerstwa Spraw Wojskowych została zmieniona na Ministerstwo Obrony Narodowej (MON). Obejmując wówczas funkcję ministra tego resortu, Kukiel pełnił ją do 10 lutego 1949 roku, to jest do dnia złożenia dymisji przez gen. T. Bora-Komorowskiego ze stanowiska premiera. W opracowaniu J. Zuziaka zbyt jednostronnie przedstawiona jest postać gen. Kukieła, a niektóre aspekty jego działalności w ogóle nie poruszone, co też może było trudno zrobić w krótkim artykule.

Wielce pouczająca jest rozprawa Janiny Mazurkowej pt. „Inż. Józef Krzywda-Polkowski wierny stróż Skarbów Wawelskich”. Na wstępie Autorka przypomina historię powrotu z Rosji do Polski, po 150 latach, zabranych przemocą skarbów kultury polskiej, których zwrot został zastrzeżony w Traktacie Ryskim z 1921. Wróciły też na Wawel słynne arras. W 1924 Polkowski rozpoczął pracę w kierownictwie odbudowy Zamku na Wawelu jako architekt-rysownik. Wiele lat później, we wrześniu 1939 kierował ewakuacją skrzyń ze starannie zapakowanymi arrasami i innymi zabytkami z

Wawelu. Taki był początek tułaczey wędrownki Skarbów Wawelskich i ich nieodłącznego opiekuna, jakim do końca pozostał Polkowski. Po różnych perypetiach skrzynie z arrasami i innymi muzealiami dotarły do portu Constaney, a stamtąd, w styczniu 1940 r. do Aubusson we Francji, miasta znanego z wyrobu gobelinów, gdzie Polkowski zapoznał się z francuską metodą konserwacji. Krótka to była przystań i wiosną, gdy ruszyła ofensywa niemiecka, trzeba było znowu Skarby pakować. Przywieziono je do Londynu i następnie, w lipcu 1940, wysłano transatlantykem „Batory” do Kanady i ukryto w Ottawie.

Po prawie rocznej wędrownce Skarbów, z ich nieodłącznym opiekunem Polkowskim, Zbiory znalazły wreszcie spokojniejsze schronienie. Dla Polkowskiego zaczął się nowy okres życia, którego zasadniczą treścią była – jak pisze J. Mazurkowa – „konserwacja szczęśliwie dowiezionych do Kanady Skarbów”. Skarby miały właściwie wtedy dwóch kustoszy, gdyż oprócz Polkowskiego był jeszcze Stanisław Świerż-Zaleski, kustosz sprzed wojny, który Zbiorami wiele się nie zajmował i wrócił do Polski w 1946 r. Od wyjazdu z Krakowa prawie wszystko spoczywało na barkach Polkowskiego. Początkowo Skarby Wawelskie w Kanadzie zostały rozmieszczone w różnych miejscach, co ułatwiło poselstwu komunistycznemu zabranie i wywiezienie do Polski w 1946 r. części zbiorów o mniejszej wartości historycznej. Najcenniejsze natomiast Zbiory zdołano złożyć najpierw w Banku Montrealu w Ottawie a w 1948 r., definitywnie już, w Skarbcu Archiwum Prowincji Quebec. W pierwszym okresie Polkowski otrzymywał od rządu polskiego w Londynie skromne fundusze, później żadnych. Pracując fizycznie doglądał, dbał jak mógł o Zbiory, żył myślą o nich. J. Mazurkowa pisze: „Znosił biedę i upokorzenia w pracy – najbardziej jednak bolała go obojętność Rządu RP w Londynie”. W kwietniu 1951 r. wysłał rozpaczliwy list do prezydenta Augusta Zaleskiego, na który nie otrzymał nawet potwierdzenia odbioru. W tym samym czasie rząd warszawski, rozpętana kampanią o zwrot Skarbów Wawelskich, starał się „odwrócić umysły gnębionego społeczeństwa od przerażającej rzeczywistości”. W sumie po różnych utarczkach i w trochę już innej koniunkturze, Skarby

wróciły do Zamku na Wawelu w grudniu 1960 roku. Pertraktacje związane z powrotem Zbiorów dały upust emigracyjnym ośrodkom w protestacyjnym wyładowywaniu się: „Skarbów nie damy”, co było również gestem bez pokrycia wobec obojętności, jaką wykazała emigracja, żeby Zbiory te odpowiednio zabezpieczyć. Skarby wróciły na Wawel w dobrym stanie głównie dzięki całkowitemu oddaniu Polkowskiego, który wykazał coraz rzadziej dziś spotykane poczucie obowiązku i przywiązanie do powierzonych pracy. Polkowski zmarł w Ottawie w 1981 roku.

Z rozpraw i artykułów tomu XXI *Tek* zostały jeszcze do wyszczególnienia, ale niestety już bez omówienia, następujące opracowania: Anna Supruniuk, „U kresu wypraw krzyżowych. Udział rycerzy i stronników mazowieckich w krzyżackich rejsach na Litwę na podstawie XIV-wiecznych herbarzy zachodnioeuropejskich”. Anna Grześkowiak-Krwawicz, „Republika i monarchia. Z dziejów terminologii politycznej czasów stanisławowskich”. Stanisław Bóbr-Tylingo, „Dania wobec powstania styczniowego”. Andrzej Peptoński, „Działalność Oddziału II NDWP przeciwko Rosji Sowieckiej z terenu państw bałtyckich (1920-1921). Maciej Szczurowski, „Polska i Polskie Siły Zbrojne wobec okupacji wojskowej w okresie II wojny światowej”.

W dziale „Bibliografia” znajdują się dwa opracowania: Zdzisława Jagodzińskiego „Bibliografia prac i pism gen. Mariana Kukiela”. Jest to 4 uzupełnienie do bibliografii gen. Kukiela, opracowane również przez Z. Jagodzińskiego i zamieszczone w poprzednich tomach *Tek*. Drugie opracowanie pt. „Spuścizna historyczna płk. dypl. dr. Stanisława Biegańskiego” przygotowała Hanna Biegańska, bardzo na czasie, żeby móc bliżej poznać spuściznę historyka, któremu poświęcony został tom *Tek*.

Bogaty jest dział „Recenzji”. Ograniczam się również do wymienienia autorów i tytułów ich książek oraz nazwisk recenzentów: Tadeusz Piszczkowski, „Między Lizboną a Londynem”, Londyn 1979 – Stanisław Biegański; Albin Głowacki, „Ocalić i repatriować – Opieka nad ludnością polską w głębi terytorium ZSRR 1943-1946”, Łódź 1994 – Tadeusz Dubicki; Andrzej Krzysztof Kunert, red. nauk., Rzeczpospo-

lita Polska czasu wojny. Dziennik Ustaw RP i Monitor Polski 1939-1945”, Warszawa 1995 – Andrzej Suchcitz. W dalszej kolejności zamieszczone są omówienia 6 książek pióra Stanisława Bóbr-Tylingo, co przy dokładności recenzenta zajęło 31 stron. Oto autorzy i tytuły zrecenzowanych książek: Marek K. Kamiński, Michał J. Zacharias, „W cieniu zagrożenia. Polityka zagraniczna RP w 1918-1939”, Warszawa 1993; Waław Jędrzejewicz, „Wspomnienia”. Opracował i posłowiem opatrzył Janusz Cisek, Wrocław 1993; Herman Wentker, „Zerstörung der Grossmacht Russland? Die britischen Kriegsziele im Krimkrieg”, Göttingen-Zürich 1993; John Keegan, „The battle for history. Re-fighting World War Two”, Vintage Books 1995; Piotr Łossowski, „Dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej” Warszawa 1992; Kazimierz Świtalski, „Diariusz 1919-1935”. Do druku przygotowali Andrzej Garlicki i Ryszard Świętek, Warszawa 1992. W „Diariuszu” tym, pod datą 18 czerwca 1928, K. Świtalski, bliski współpracownik J. Piłsudskiego, zapisał wypowiedź Marszałka, którą S. Bóbr-Tylingo odnotował w recenzji, wartą i tutaj przypomnienia: „W Polsce mądre rzeczy trzeba wbijać batem, a głupie trzymają się i rozłażą jak wszy”.

W dziale „Nekrologii” znajdują się następujące opracowania: Stanisława Biegańskiego o Tadeuszu Piszczkowskim (1904-1990); Aleksandra Szkuty o Antonim Stefanie Michaleku (1901-1991); Andrzeja Suchcitzo o Januszu Rowińskim (1899-1994); Zdzisława E. Wałaszewskiego o Stanisławie Sobotkiewiczu (1914-1993); Mieczysława Paszkiewicz o Adamie Heymowskim (1926-1995). Tom zamyka, opracowana przez Andrzeja Suchcitzo „Kronika”, zawierająca sprawozdanie z działalności PTHWB od listopada 1993 do listopada 1995 roku.

Pomimo zmniejszającego się stanu, PTHWB liczyło jeszcze w okresie sprawozdawczym 30 członków. Jest to jedyne Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, a co najważniejsze – wydające jedyne w Anglii czasopismo w języku polskim. Tematyka tomu XXI jest bardzo różnorodna, co wzbogaca czasopismo i powinno zainteresować nie tylko zawodowych historyków, ale szersze grono czytelników, z których każdy może znaleźć zajmujący dla siebie temat i to

tym bardziej, że prawie wszystkie opracowania są napisane językiem prostym, a problemy przedstawione w sposób przejrzysty. Dodatnią stroną tomu XXI *Tek* jest to, że przeważają w nim materiały z najnowszej historii Polski. Jak powszechnie jest wiadomo, najbardziej fałszowane były dzieje najnowsze i z tych fałszerstw nie wyszły do dzisiaj. Dlatego na ten okres, szczególnie ostatnie dziesięciolecie, winien być skierowany główny wysiłek, co może też zacieśnić współpracę z krajowymi historykami z młodych pokoleń, których bardziej przyciągają dzieje najnowsze, gdzie łatwiej im jest szukać swoich korzeni i motywacji do zrozumienia obecnej sytuacji. W omówionym tutaj tomie *Tek* przeważają autorzy krajowi, co jest chwalebne, pozytywne i najbliższe, wspomnianego na wstępie przesłania płk. Stanisława Biegańskiego o potrzebie szukania wspólnym wysiłkiem prawdy i sprawiedliwości.

Tadeusz WYRWA

Bogumiła BERDYCHOWSKA

SOJUSZ PIŁSUDSKI-PETLURA

Przed paroma tygodniami ukazał się trzeci tom *Warszawskich Zeszytów Ukrainoznawczych** prawie w całości poświęcony pierwszej w dwudziestym wieku próbie wybicia się Ukrainy na niepodległość. Przy czym osiąą temu jest geneza i dokonania Ukraińskiej Republiki Ludowej oraz sojusz Piłsudski-Petlura. Problematyka zachodnioukraińska przywoływana jest jedynie incydentalnie.

* *Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze* t. 3; Redakcja Stefan Kozak, Warszawa 1996.

Nowy tom *Warszawskich Zeszytów Ukrainoznawczych* jest bodajże pierwszym tak obszernym wydawnictwem poświęconym paktowi Piłsudski-Petlura. Wielką zasługą autorów jest przywoływanie mało opisanych i mało w polskiej historiografii obecnych wydarzeń z historii stosunków polsko-ukraińskich lat 20-tych dwudziestego wieku. Najczęściej historycy pisali o współpracy polsko-ukraińskiej z czasów Petlura-Piłsudski na marginesie lub w kontekście omawiania federalistycznych koncepcji Józefa Piłsudskiego bądź też w kontekście walki o kształt granic II Rzeczypospolitej.

Stworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej (podobnie jak Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej) oraz walka zbrojna o jej przetrwanie była jednym z najważniejszych wydarzeń w dwudziestowiecznej historii Ukrainy. Jak wiadomo próby stworzenia niepodległej państwowości ukraińskiej w pierwszej połowie XX wieku nie powiodły się, niemniej przegrana ta w dłuższej perspektywie nie była katastrofą lecz jedynie porażką. W sposób niezwykle interesujący pisze o tym Mirosława Papierzyńska-Turek. Wielką zasługą tamtego zrywu było to, że: „Właśnie lata 1917-1920 były okresem przewartościowań i weryfikacji programów politycznych, ostatecznej kompromitacji programów autonomicznych i federacyjnych. I w tych też latach został niejako rozstrzygnięty problem samego prawa do niepodległości. (...) w omawianym okresie idea suwerennej i soborowej Ukrainy przestała już podlegać dyskusji, natomiast spory dotyczyły jedynie wyboru dróg jej osiągnięcia” (s. 178).

Ta sama autorka przywołuje opinię Omelana Terleckiego, który dowodził, że „prawdziwe katastrofy w historii narodu (ukraińskiego – B.B.) to załamanie się państwa książęcego i upadek kozaczyzny, ponieważ Ukraińcy w ich rezultacie stracili w znacznej mierze tradycję, a nawet poczucie narodowe. Nie można zaś tego powiedzieć w związku z niekorzystnym zakończeniem wyzwolenczych zmagani z lat 1917-1920, i dlatego też absolutnie nie można nazwać tej klęski katastrofą” (s. 188).

Wydaje się, że to właśnie przekonanie, iż walka narodowyzwoleńcza z lat 1917-1920 była początkiem zupełnie nowego myślenia o ukraińskiej przyszłości, jest kluczem do pełniejszego zrozumienia tak historii petlurowskiej emigracji w Polsce, jak i zachowania ukraińskiej mniejszości narodowej w okresie międzywojennym. Po przegranej wojnie niemożliwe było już myślenie o przyszłości Ukrainy w ramach jakiegś

federacji czy autonomii z Rosją, Polską lub jakimkolwiek innym państwem. Celem mogło być tylko niepodległe zjednoczone państwo ukraińskie. To najważniejsza lekcja ukraińskiej rewolucji.

Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze przynoszą porcję wiedzy o losach petlurowskiej emigracji w II Rzeczypospolitej. Stefan Kozak przywołuje jedną z najważniejszych postaci URL – Ołeksandra Łotockiego. Marian Jurkowski jest autorem mini-szkicu o Iwanie Ohijence, który bardziej jest znany jako metropolita chełmski Iłarion. Irena Czopiwska-Bohun poświęciła swój artykuł Iwanowi Feszczence-Czopiwskiemu, zaś Oksana Weretiuik pisze o życiu literackim emigracji petlurowskiej. Paradoksalnie jednak głównym walorem przywołanych tekstów jest wskazanie białych plam w naszych badaniach ukraïnoznanwczycich. Okazuje się bowiem, że o tych w końcu pierwszoplanowych postaciach URL pisało się w Polsce ale i na Ukrainie czy na Zachodzie bardzo niewiele lub prawie wcale. Na Ukrainie Sowieckiej ich nazwiska były objęte zapisem cenzury, zaś nieskrępowane obecnie badania nad historią URL dopiero się rozpoczynają. Znacznie trudniej zrozumieć brak zainteresowania tymi postaciami polskich ukraïnoznanwców. A przecież oprócz tego, że postacie te odegrały ważną rolę w historii Ukrainy, to przecież wniosły one wielki wkład w rozwój polskiej nauki. Dość wspomnieć, że Feszczenko-Czopiwskij był współorganizatorem Wydziału Hutniczego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, zaś Łotocki i Ohijenko byli profesorami Uniwersytetu Warszawskiego. Dodatkowo Łotocki współorganizował Instytut Ukraiński w Warszawie, którego dorobek jest naprawdę imponujący.

Miejsce wyjątkowe w omawianym tomie zajmuje szkic Stanisława Stępnia poświęcony głównemu architektowi Ukraińskiej Republiki Ludowej Symonowi Petlurze. Artykuł Stępnia jest próbą stworzenia „złotej” legendy Głównego Atamana Ukrainy (wieść gminna niesie, że ten przemyski naukowiec przymierza się do napisania wyczerpującej biografii ukraińskiego polityka). Próba jest inteligentna, niemniej jej wadą jest, jak to w takich wypadkach bywa, to, że w tym ujęciu Petlura nie popełnia błędów. Niepowodzenia, porażki czy klęski jego polityki są wynikiem obiektywnych warunków historycznych, geograficznych, społecznych itp. A przecież prawda nie jest tak prosta. W tym samym tomie lwowski uczoney Jarosław Hrycak pisze, że „Ani Hruszewski, ani Wynnyczenko, ani Petlura jako mężowie stanu nie dorównywali

Leninowi (choć gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że Petlura w latach 1919-1920 coraz bardziej ewoluował w kierunku polityki pragmatycznej) (s. 22). Postać Petlury jest na tyle nieprzeciętna, że nie potrzebuje zbyt natarczywej apologii.

Natomiast istotnym brakiem tomu, w kontekście biografii politycznej Symona Petlury, jest brak osobnego artykułu, który byłby poświęcony stosunkowi Petlury do kwestii żydowskiej, a w szczególności do pogromów, które miały miejsce na Ukrainie. Brak tym bardziej dotkliwy, że właśnie te kwestie zaciążyły na wiele lat na ocenie przez opinię publiczną Zachodu ukraińskich dążeń niepodległościowych i były instrumentalnie wykorzystywane przez propagandę sowiecką.

Symbolicznym zwieńczeniem tomu jest tekst Aleksandra Kolańczuka o ukraińskich nekropoliach i grobach wojennych na terenie Polski z lat 1918-45. Symbolicznym głównie dlatego, że nekropolie te, jak sam sojusz Józefa Piłsudskiego i Symona Petlury, są w dużej mierze zapomniane i tylko niektóre z nich są otoczone odpowiednią opieką. Niemniej nawet to częściowe zapomnienie nie tłumaczy faktu, że jedna z największych ukraińskich nekropolii – Ukraiński Cmentarz Wojskowy w Szczypiornie – po wojnie zdewastowana, do chwili obecnej nie jest odrestaurowana.

Omawiany tom *Warszawskich Zeszytów Ukrainoznawczych* zawiera głównie teksty, które były wygłoszone na międzynarodowej konferencji poświęconej 75 rocznicy podpisania paktu Piłsudski-Petlura (23-25 października 1995). Szkoda wielka, że w tomie nie znalazł się zapis interesującej dyskusji, która konferencję kończyła, a która poświęcona była współczesnym stosunkom polsko-ukraińskim. Dyskusja (z której w tomie znajduje się tylko krótkie sprawozdanie), była ciekawym dopełnieniem wątku współpracy polsko-ukraińskiej z początku wieku. Było to coś na kształt sprawdzianu ile zrozumieliśmy, Polacy i Ukraińcy, z lekcji jaką niósł pakt Piłsudski-Petlura. Wydaje się, że lekcja nie poszła na marne: wszyscy dyskutanci, od Krzysztofa Kozłowskiego, poprzez Zdzisława Najdera, Andrzeja Ananicza, Leszka Moczulskiego i Bogdana Borusewicza do Jerzego Wiatra, zgodzili się, że stosunki z Ukrainą są jedną z najważniejszych spraw dla przyszłości Polski i stabilizacji w naszej części Europy.

Warszawa, marzec 1997

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Andrzej PASTERNAK

3 MAJA 1946 ROKU W KRAKOWIE

W 1996 roku minęło 50 lat od pierwszej ogólnopolskiej konfrontacji pomiędzy władzą komunistyczną a społeczeństwem. Szczególnie dramatyczny przebieg miała ona w Krakowie. Wydany tuż przed świętem 3 Maja zakaz organizowania jakichkolwiek publicznych manifestacji doprowadził do kilkugodzinnych starć między ludnością a funkcjonariuszami milicji i urzędu bezpieczeństwa. Efektem byli liczni ranni, krew na ulicach i masowe aresztowania, stosowane w imię nieznaney w państwie polskim odpowiedzialności zbiorowej.

Przez wiele lat wydarzenia te były wymazane z kart historii najnowszej, a w szczegółowych opracowaniach, nawet jeżeli o nich wspomniano, to jedynie zgodnie z obowiązującym oficjalnie punktem widzenia, tzn. jako o prowokacji zorganizowanej przez przeciwników demokratycznego państwa, wspieranych przez zbrojne podziemie. Wydarzenia te odcisnęły jednak trwały ślad w świadomości społecznej i wiadomości o nich przekazywano sobie poza oficjalnymi mediami. W miarę upływu czasu obrastały legendą, a relacje o nich stawały się coraz bardziej fantastyczne.

Próba rzetelnego ukazania tła tych wydarzeń, ich przebiegu i konsekwencji, doraźnych i długofalowych, jest recenzowana praca*. Stanowi ona wynik starannych kwerend archiwalnych i bibliotecznych. Autor wykorzystał w niej prawdopodobnie wszystkie dostępne dokumenty, zresztą bardzo różnego pochodzenia: administracji państwowej, milicji, urzędu bezpieczeństwa, wymiaru sprawiedliwości, partii politycznych (PPR, PPS, PSL) i organizacji podziemnych, przede wszystkim dostępne od niedawna raporty Stowarzyszenia Wolność i Niezawisłość. Informacje z materiałów archiwalnych zostały uzupełnione przez relacje ówczesnej prasy, zarówno prorządowej, opozycyjnej, jak i podziemnej.

* Czesław Brzoza, Wydarzenia 3 Maja 1946 roku w Krakowie. Kraków 1996, ss. 242.

Wykorzystano również wszelkie opracowania, jakie się na ten temat pojawiały, jak również materiały relacyjne świadków i uczestników wydarzeń, i to z obu stron.

Książka składa się z dwóch wyraźnie wydzielonych części. Pierwsza z nich ma charakter opisowy. Poświęcono ją tradycjom obchodów trzeciomajowych w Krakowie, zapoczątkowanych w tym mieście jeszcze w XIX wieku. Pozwala to lepiej zrozumieć nastroje społeczne, zderzenie tradycji i nowego totalizmu w 1946 roku. W kolejnym rozdziale omówiono tło wydarzeń. Wg koncepcji autora, popartych materiałami źródłowymi, zostały one celowo sprowokowane przez komunistów jako element walki z opozycją. Miały być sprawdzianem stopnia spacyfikowania społeczeństwa przed zbliżającym się referendum. Tezę tę potwierdza zarówno rozbudowany fragment o przebiegu wypadków w Krakowie i na terenie całego województwa krakowskiego, jak i kolejne, poświęcone zastosowanym działaniom represyjnym, a także przebiegowi pokazowego procesu zatrzymanych wówczas osób. Drugim ważnym wątkiem przewijającym się przez całe opracowanie jest pokazanie oporu społecznego. Brzoza zwraca uwagę na walkę opozycji (PSL), zmierzającą do utrzymania tradycyjnych form świętowania 3 maja, poparcie społeczne dla demonstrantów, akcją strajków solidarnościowych w szkołach średnich i na wyższych uczelniach, a także pomoc materialną i prawną dla uwięzionych i represjonowanych.

W części opisowej pojawiają się bardzo często opinie i tezy autora. Zakłada on jednak, że nie każdy musi się z nimi zgadzać. Możliwość wypracowania własnego poglądu na opisywane wydarzenia stwarza część druga – dokumentacyjna. Znalazły się w niej w pełnym brzmieniu wszystkie podstawowe dokumenty dotyczące omawianej problematyki, które ze zrozumiałych względów nie mogły być w takiej postaci wykorzystane w pracy.

Recenzowana książka omawia problem dość szczegółowy, ale bez wątplenia bardzo ważny z historycznego i społecznego punktu widzenia. Nie jest ona jedyną publikacją na ten temat. Wstępem do obecnego opracowania była broszura wydana przez autora, wówczas pod pseudonimem Andrzej Chyży, 14 lat wcześniej. Zatytułowana była ona „Proces 12” i ukazała się nakładem Wydawnictwa Polityki Polskiej w tzw. drugim obiegu, co automatycznie uniemożliwiło nadanie jej kształtu pełnowartościowej pracy naukowej. W lepszej

sytuacji znajdował się Wojciech Mazowiecki, którego opracowanie zostało wydane przez paryską Libellę, kilka lat później. W stosunku do wcześniejszych ustaleń, zawartych w obu wspomnianych książkach, autor omawianej tu pracy podaje dużo nowych informacji.

Zaletą publikacji jest indeks i szczegółowe przypisy, zawierające nie tylko dane na temat pochodzenia zamieszczanych w tekście informacji, ale także obszernie, niekiedy o wręcz anegdotycznym charakterze, fragmenty dokumentów, których pomieszczenie ani w zasadniczym tekście, ani w części dokumentacyjnej nie zawsze było możliwe.

Andrzej PASTERNAK

KSIĄŻKI NADESŁANE

- MOJSKI (Piotr Maria) (B. de Weydenthal). *Cartographia Rappersviliana Polonorum*. Katalog zbiorów kartograficznych Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Str. 642. Wyd. Muzeum Polskie, Rappersvil – Szwajcaria, 1995.
- RADOMYSKI (Jan). *Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”*. Str. 40. Nakładem Komisji Likwidacyjnej Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”, Londyn 1996.
- CIESIELSKI (Stanisław). *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946*. Zesłańcy lat wojny. Str. 314. Oficyna Artystyczno-Wydawnicza „W kolo-
rach tęczy”, Wrocław 1996.
- Kompania „Warszawianka” Narodowych Sił Zbrojnych w Powstaniu Warszawskim* (próba monografii). Oprac. Jerzy Rutkowski „Sęk” przy współpracy Zbigniewa Kuciewicza „Szwagra”. Str. 128. Warszawa 1996.
- Jalta, Poczdam. Proces podejmowania decyzji*. Materiały z konferencji naukowej, Warszawa 11-12 czerwca 1996 r. Str. 142. Wyd. Ośrodek Studiów Międzynarodowych przy Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana, Warszawa 1996.
- POLISZCZUK (Wiktor). *Falszowanie historii najnowszej Ukrainy. Wołyń –1943 i jego znaczenie*. Str. 90. Nakł. autora, Toronto – Warszawa, 1996.
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*. Torino. Volume XXXIX – 1995. Str. 689.
- ALBRECHT-SZYMANOWSKA (Wiesława). *Bibliografia Poznańskiego Czerwca 1956*. Red. Zofia Trojanowiczowa. Str. 138. Wydawnictwo WiS, Poznań 1996.

- Menskaja wjacha – 1996*. Kronika, dokumenty, świadectwa. Str. 139. Wyd. „Kolo Podkowy”, Podkowa Leśna, „Nasza Niwa”, Mińsk, 1996.
- MISIUK (Andrzej). *Policja Państwowa 1919-1939*. Powstanie, organizacja, kierunki działania. Str. 370. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996.
- PAŁASZ-RUTKOWSKA (Ewa), ROMER (Andrzej T.). *Historia stosunków polsko-japońskich 1904-1945*. Str. 272. Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1996.
- Polish Americans and Their History*. Community, Culture and Politics. Redakcja John J. Bukowczyk. Str. 278. Wyd. University of Pittsburgh Press 1996.
- SIERANT (Piotr). 2. *Pułk Piechoty Legionów Armii Krajowej*. Str. 306. Wyd. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1996.
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.) *Generał „Niedźwiadek” Komendant AK*. Str. 52. Warszawa 1996.
- MICGIEL (John S.). *Wilsonian East Central Europe*. Current Perspectives. Str. 181. Wyd. The Piłsudski Institut, Nowy Jork 1995.
- JĘDRZEJEWICZ (Wacław), CISEK (Janusz). *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Tom III 1926-1935. Str. 422. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1994.
- KULA (Marcin). *Paryż, Londyn i Waszyngton patrzą na Październik 1956 r. w Polsce*. Str. 485. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1992 (1993).
- Konkordat polski 1993*. Wybór materiałów źródłowych z lat 1993-1996. Oprac. Cz. Janik. Str. 785. Wyd. Instytut Nauk Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- Revolucja węgierska 1956 roku*. Reformy, bunt i represje 1953-1963. Red. G. Litván. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- Aparat bezpieczeństwa w latach 1944-1956*. Taktyka, strategia, metody. Cz. II. Lata 1948-1949. Seria: Dokumenty z dziejów PRL, zeszyt 9. Oprac. Andrzej Paczkowski. Str. 236. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- MADAJCZYK (Piotr). *Przyłączenie Śląska Opolskiego do Polski 1945-1948*. Str. 319. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- NKWD o Polsce i Polakach*. Rekonesans archiwalny. Red. W. Materski, A. Paczkowski. Str. 159. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- Supliki do najwyższej władzy*. Red. Marcin Kula. Str. 141. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- Okupacja sowiecka (1939-1941) w świetle tajnych dokumentów*. Obywatele polscy na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką w latach 1939-1941. Red. T. Strzembosz. Str. 258. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1996.
- Dokumenty do dziejów PRL*. Aparat bezpieczeństwa w latach 1944-1956, cz. II. Lata 1948-1949. Taktyka, strategia, metody. Oprac. Andrzej Paczkowski. Str. 236. Wyd. Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1996.

- STUDIA RZESZOWSKIE.** Red. J. Draus. Tom 1, 2, 3. Wyd. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Instytut Pamięci Narodowej w Rzeszowie, REMARK, Rzeszów 1995-1996.
- GUMIŁOW (Lew).** *Od Rusi do Rosji.* Szkice z historii etnicznej. Str. 303. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- PISKOZUB (Andrzej).** *Morze w dziejach cywilizacji.* Str. 187. Pomorska Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Mariol”, Gdańsk 1993.
- PISKOZUB (Andrzej).** *Transport w cywilizacjach rolniczych.* Str. 178. Pomorska Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Mariol”, Gdańsk 1993.
- STUDNICKI (Władysław).** *Tragiczne manowce.* Próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939-1945. Str. 216. Pomorska Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Mariol”, Gdańsk 1995.
- ŠEVČENKO (Ihor).** *Ukraine Between East and West.* Essays on Cultural History to the Early Eighteenth Century. Str. 234. Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies Press, Edmonton-Toronto, 1996.
- Narodowe Siły Zbrojne.** Dokumenty, struktury, personalia. Oprac. Leszek Żebrowski. Str. 336. Wyd. Burchard Edition, Warszawa 1994.
- MACHCEWICZ (Paweł).** *Władysław Gomułka.* Seria: Dzieje PRL. Str. 84. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- WŁADYKA (Wiesław).** *Październik '56.* Seria: Dzieje PRL. Str. 86. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1994.
- HOLZER (Jerzy).** *Polska 1980-1981.* Czasy pierwszej Solidarności. Seria: Dzieje PRL. Str. 86. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- EISLER (Jerzy)** *Grudzień'70.* Seria: Dzieje PRL. Str. 71. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- FRISZKE (Andrzej).** *Polska Gierka.* Seria: Dzieje PRL. Str. 106. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- EISLER (Jerzy).** *Marzec '68.* Seria: Dzieje PRL. Str. 79. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- SZWARC (Andrzej).** *Od Wielopolskiego do Stronnictwa Polityki Realnej.* Zwolennicy ugody z Rosją, ich poglądy i próby działalności politycznej (1864-1905). Str. 331. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1996.
- PRUS (Edward).** *Operacja „Wista”.* Fakty, fikcje, refleksje. Str. 81. Wydawnictwo „NORTOM”, Wrocław 1996.
- Niepodległość Polski w 1918 roku a procesy państwowotwórcze w Europie Środkowo-Wschodniej.** Red. naukowa Zygmunt Mańkowski. Str. 203. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1996.
- WRONA (Janusz).** *System partyjny w Polsce 1944-1950.* Miejsce – funkcje – relacje partii politycznych w warunkach budowy i utrwalania systemu totalitarnego. Str. 345. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- KUKIEL (Marian).** *Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej 1795-1815.* Str. 498. Reprint z Wyd. Zdzisława Rzepeckiego i Ski. Poznań 1912 nakładem Wydawnictwa Kurpisz Poznań 1996.

POLEMIKI

Londyn, 29 stycznia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 117 *Zeszytów Historycznych* zamieścił Pan rozmowę Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z byłym oficerem Pułku 4 Pancernego „Skorpion” Zdzisławem Julianem Starosteckim.

Autorka zdecydowała się przeprowadzić swoją rozmowę z byłym oficerem, który od przeszło pół wieku nosi w swym sercu widoczny żal i osobistą urazę, i który nawet do obecnej chwili nie zaniechał zhańbienia swojego byłego kolegi – nawet jeśli ten już nie żyje i nie może się bronić. Trudno zrozumieć, że względy, którymi p. Starostecki kierował się od roku 1944 – zatrzymując, jak sam powiada, swoje zeznania w tajemnicy – przestały istnieć ze śmiercią naszego kolegi J. Kochanowskiego.

Z wywiadu p. Starosteckiego Czytelnicy mogliby łatwo wyciągnąć krzywdzący wniosek, że dowództwo Pułku 4 Pancernego „Skorpion”, jednego z najdzielniejszych pułków 2 Korpusu, i którego częścią pancernej legendy był sam p. Starostecki, było na tyle krótkowzroczne, że tolerowało, awansowało, a nawet odznaczyło swojego oficera tylko dlatego, że jego matka pracowała w Dowództwie Korpusu w Londynie. Nie ujmujemy niczego z chwalebego udziału p. Starosteckiego w całej włoskiej kampanii, podczas której był trzykrotnie ranny i za którą został odznaczony Orderem *Virtuti Militari*, *Krzyżem Walecznych* etc., nie możemy jednak

pominąć milczeniem jego bardzo spóźnionych i krzywdzących zarzutów.

Na zebraniu zarządu i seniorów Koła 7 stycznia 1997 w Londynie niegodny czyn p. Starosteckiego został jednogłośnie potępiony. Nieobecni na zebraniu koledzy listownie wyrazili życzenie, by ich nazwiska również figurowały pod tym oświadczeniem.

Z poważaniem

Zarząd Koła Pułku 4 Pancernego „Skorpion”:

M. BIAŁKIEWICZ – Prezes,

P. KALINOWSKI – Przew. Kom. Rewizyjnej,

F. GALBIERCZYK – Skarbnik,

L. SOCHACKI – Sekretarz,

J.Z. KOWALSKI – Redaktor Hon.

Z. ADAMIAK – Członek

K.T.J. CZELNY – Czł. Kom. Rewizyjnej

oraz Seniorzy Koła:

A. PORAJSKI, J. CHMAJ, L. LERWAK,

W. „Kuba” DZIĘCIOŁOWSKI (Brazylia),

T. ANTOSEWICZ (USA),

S. RUPACZ (USA),

Z. JASTRZĘBSKI (USA),

K. SOBCZYK (Anglia).



Sarasota, Florida 15 lutego 1997

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nie jestem treścią listu zainicjowanego przez prezesa M. Białkiewicza i podpisanego przez innych zaskoczony, więcej – oczekiwałem podobnej reakcji. Wiadomość o wysłanym na ręce Pana Redaktora liście-proteście po wywiadzie, którego udzieliłem dr Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm (ZH Nr 117) przyjąłem ze swoistą ulgą, że oto sprawa, o której prawdziwe oblicze walczę od tylu lat przestała być wewnętrzną „sprawą pułku”, ale nabrała rozgłosu i dotarła w końcu zarówno do ludzi będących bezpośrednimi uczestnikami walk o Monte Cassino, jak i do wielu zainteresowanych najnowszą historią.

Przysłany na ręce Pana Redaktora list-protest został wywołany dopiero nagłośnieniem tej sprawy, poprzez druk w *ZH*, nadaniem jej wymiaru publicznego. Moje wcześniejsze wieloletnie usiłowania wyjaśnienia opisywanych zdarzeń i konkretnego incydentu jak i jego następstw było całkowicie bezowocne, pozostawały bez odpowiedzi i były konsekwentnie lekceważone i ignorowane. Nawet w ostatnim okresie, w roku 1994, będąc w Londynie próbowałem się spotkać z prezesem M. Białkiewiczem – nie zechciał jednak zaryzykować ze mną spotkania.

Nie jestem także zaskoczony sprawną organizacją protestu – jest to bowiem dowód, że opublikowany wywiad wywołał konsternację i zamieszanie, trafiając w samo sedno problemu. Zarzut, że moja wypowiedź jest „oskarżeniem niezującego już Kochanowskiego” jest bezpodstawny. Nie dostrzegam więc nic zdrożnego w ujawnianiu przeze mnie prawdy już po śmierci osoby krytykowanej. Pragnę jednak przypomnieć, że moje próby wyjaśnienia sprawy sięgały okresu, kiedy J. Kochanowski cieszył się dobrym zdrowiem.

Podkreślenie w liście argumentu prezesa Białkiewicza o „spontaniczności” reakcji członków Koła przypomina mi swoją retoryką podobnie konstruowaną frazeologię upadłego już systemu. Oto bowiem spośród 15-tu sygnatariuszy, którym „polecono” podpisać protest jedynie trzech mogło wiedzieć – i to mgliście – o incydencie z Kochanowskim w czasie natarcia na Widmo, pozostałych 12-tu dowiedziało się o tym zapewne dopiero w chwili składania podpisu.

Zastanawia mnie brak podpisu pod „zbiorowym protestem” Tadeusza Trejdosiewicza (wspominam go w tekście wywiadu), jedyne go oficera (poza dowódcą pułku, adiutantem i dowódcą mojego szwadronu) wtajemniczonego w sprawę sfałszowanego raportu Kochanowskiego z natarcia na Widmo. Swoją odmową złożenia podpisu pod protestem, czego – jak sądzę – od niego żądano, potwierdził, że pozostał prawym człowiekiem, takim jakim go znałem i jakim go pamiętam.

Brakło również drugiego koronnego świadka, dowódcy jednego z trzech czołgów biorących udział w natarciu na Widmo – Freda Virskiego-Kornreicha. Potwierdza on, że widział schodzącego ze skał niemieckiego sanitariusza opatrującego wraz ze mną rannych saperów. Był też świadkiem brania z bunkrów jeńców i opatrywania przeze mnie rannych na szczycie Widma. Kochanowskiego w dniu opanowania

Widma (17-go) nie widział, ani nie słyszał jego wydawanych radiowych rozkazów.

Pragnę podkreślić, że z wielką niechęcią podjąłem decyzję ujawnienia fałszerstwa Kochanowskiego, w tym przykrym incydencie. Identyfikuję się bowiem bez reszty z historią i tradycją wspianego w bojach Pułku 4-go Pancernego „Skorpion” gdyż stanowią część jego epepei.

Chciałbym podziękować Panu Redaktorowi, że zamieścił wywiad dr Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm na łamach *Zeszytów Historycznych*; uważam bowiem, że faktyczny przebieg natarcia na Widmo, ważny strategicznie punkt obrony Monte Cassino, powinien stać się całością historii tej bitwy.

Pozostając z głębokim szacunkiem i poważaniem

Zdzisław Julian STAROSTECKI



Londyn, 31 stycznia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczony wywiad Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm ze Zdzisławem Starosteckim (*ZH* nr 117) nasuwa wiele pytań i wymaga komentarzy innych uczestników działań wojennych we Włoszech w okresie 2-giej wojny światowej.

Razem ze Zdziśkiem Starosteckim i Jankiem Kochanowskim byliśmy w tej samej Szkole Podchorążych Broni Pancernych, a po jej ukończeniu dostaliśmy przydział do Pułku 4 Pancernego. Uczestniczyliśmy w całej Kampanii Włoskiej 1944-45 (Monte Cassino, Walki nad Adriatykiem, w Apeninach, Bitwa o Bolonię). Znałem ich obu dobrze. Byliśmy dobrymi kolegami, czuję się w obowiązku zabrania głosu na te tematy.

1. Zdzisław Starostecki mówi, że razem z Kubą Dzieciotłowskiem był autorem naszego pułkowego marsza „Gdy grają motory”. Zarówno muzykę jak i słowa tego marsza napisał Władek Gryksztas – nauczyciel muzyki.

2. Nie było 5-tej Kresowej Dywizji Dzieci Lwowskich. Była 5-ta Kresowa Dywizja Piechoty i był 6-ty Pułk Pancerny Dzieci Lwowskich.

3. Starostecki mówi „plutonem dowodził ppor. Jan Kochanowski. Byłem jego zastępcą”. To jest niemożliwe. Nie było „etatowego” zastępcy dowódcy czołgu.

4. Opis „incydentu” w wieży, jaki podaje Starostecki, jest tak niewiarygodny i nierealny w warunkach bitwy, że nie można go traktować poważnie. Starostecki nokautuje Kochanowskiego – swojego dowódcę – i „przejmuje natychmiast dowództwo”. Kto go mianował dowódcą? Czy wie o tym dowódca szwadronu? Starostecki mówi: „Burzyliśmy bunkry” – a więc używało się działa. Jak to jest możliwe z nieprzytomnym dowódcą na podłodze wieży? Bierze jeńców. Nie wie co z nimi zrobić. Wreszcie odsyła ich pod ich własnym dowództwem do bazy. Jeńcy odchodzą i prawdopodobnie z powrotem uczestniczą w walce...

5. Starostecki przyznaje, że w kancelarii Pułku przeglądał kartoteki. To było i jest karalnym przestępstwem.

6. Gdyby Starostecki powiedział przy raporcie dowódcy Pułku i Szwadronu to, co mówi dzisiaj w wywiadzie, to byłby postawiony przed sądem doraźnym, którego wynikiem byłaby – degradacja, więzienie, wyrzucenie z wojska, a może coś gorszego.

7. Zdzisio Starostecki opowiada o opuszczeniu przez Kochanowskiego czołgu pod pretekstem, że „czołg trafiony i pali się”, a to były tylko spaliny silnika dieslowego. Wypadek miał miejsce w 1-szym szwadronie, w którym i ja służyłem, a Kochanowski nie miał z tym nic wspólnego.

8. Wszyscy w Pułku wiedzieli, że Kochanowski stracił nogę w wypadku drogowym. O co chodzi tutaj Starosteckiemu i co chciał powiedzieć, nie wiem.

9. W Londynie nie było i nie ma „Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego”. A więc co i gdzie studiował Starostecki?

10. To, co opowiada Starostecki, wystawia przede wszystkim jak najgorsze świadectwo jemu samemu. To „brawurowy chojrak”, który spędza większość czasu w szpitalu.

Z poważaniem

Edward GŁOWACKI



Sarasota, Florida 20 lutego 1997

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Po wydrukowaniu wywiadu ze mną p. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, czyli po wetknięciu kija w przysłowio-
we mrowisko, zbieram tego rezultaty. Jednym z nich jest list
p. Głowackiego. Z jego obraźliwym tonem trudno mi pole-
mizować, p. Głowackiego właściwie nie znam. P. Gło-
wackiego spotkałem całkiem przypadkowo w Londynie po
54-ech latach, jakie upłynęły od ukończenia Szkoły Pod-
chorążych.

Na jego zarzuty odpowiadam skróconymi wyjaśnieniami:

1. Nigdy nie twierdziłem, że byłem jedynym autorem
słów marszu pułkowego. Mam jednak swój udział w pow-
stałym tekście. Pisałem o tym w moim pełnym raporcie z
natarcia na Widmo przekazanym do historycznej sekcji 6-tej
Brygady Panc. „Skorpion” w Opolu.

2. Przyjmuję uwagę p. Głowackiego – nie 5-ta Dywizja
Kresowa, a 6-ty Pułk Panc. nosił nazwę „Dzieci Lwowskich”.
Natomiast 6-ta Dywizja Piechoty w Tockoje, w ZSSR, w
której ramach organizacyjnych powstawał Batalion Pancerny,
miała nazwę „Dzieci Lwowskich”. Stąd powstała pomyłka.

3. Nie mówiłem, że byłem z-cą d-cy plutonu. Byłem z-cą
Kochanowskiego w jego czołgu i działonowym – nie ope-
ratorem radiowym. Był nim starszy strzelec – było nas w
wieży czołgu trzech.

4. Kochanowski w rewanżu dostał w szczękę i osiadł na
podłodze. To nie nedorzeczność, to fakt. Poza naruszoną
szczęką był w dobrej kondycji fizycznej. Skąd wie p. Głowac-
ki, że znokautowany leżał „nieprzytomny na dnie czołgu?”
Dowódcą nikt mnie nie mianował. W momencie potwier-
dzonego w radiu raportu o idącym natarciu Niemców na
szczyt Widma, nie było czasu na formalności. Każda minuta
była droga. Wobec braku inicjatywy dowódcy objąłem dow-
dzenie i wydałem rozkaz pozostałym czołgom marszu ze mną
przez odnaleziony wyłom. Kochanowski w tym mi nie prze-
szkadzał siedząc spokojnie u moich stóp. Po zajęciu Widma
nadal kierowałem akcją. Ostrzeliwałem cele z działa, które łą-
dował operator radiowy. Jeńców odesłałem do d-twa, bo stra-
ciłem nadzieję na nadejście piechoty. Zbliżał się wieczór – nie
miałem innego wyjścia. Jest o tym w omawianym wywiadzie.

Nie wiem, co robił w tym czasie w dolinie Majola p. Głowacki, jeżeli nie pamięta, że w poprzednich natarciach piechota została zdziesiątkowana.

5. Dlaczego mój d-ca szwadronu był dla mnie szorstki przy raporcie? Mówię o tym w wywiadzie.

6. D-cy pułku powiedziałem o wszystkim, o czym wówczas wiedziałem. To widocznie wystarczyło aby dowieść popełnionego przez Kochanowskiego oszustwa. Potwierdziła to zresztą decyzja d-cy pułku wstrzymania wniosku na jego Virtuti Militari. Pan Głowacki bredzi o sądzie polowym. Groził, niewątpliwie, ale Kochanowskiemu, gdybym odniósł się do prokuratury.

7. Nie rozumiem dlaczego p. Głowacki parokrotnie używa w liście mojego imienia w poufałym zdrobnieniu, wszak jego przyjacielem nigdy nie byłem. Nie zetknąłem się z nim w czasie włoskiej kampanii i nie wtajemniczałem go w sprawę Kochanowskiego w czasie wspomnianego przypadkowego spotkania w Londynie. Z opuszczonym przez Kochanowskiego czołgiem pomyłki nie było. 1-wszy pluton to nie 3-ci, jak chce tego Głowacki. Czołg Kochanowskiego nie stanął w płomieniach. Nie działał się też pod ogniem nieprzyjaciela, ani podczas bitwy, a na względnie spokojnym jeszcze przedpolu rozwijającej się akcji.

8. Rzeczywiście, wiadano o wypadku na moście Bayley'a. Czemu jednak w swoim liście p. Głowacki nie potwierdza, że zawiadamiając Wańkowicza o stracie nogi w akcji na froncie, Kochanowski po raz drugi popełnił przestępstwo – oszukując wojennego reportera fałszywym raportem?

9. Była w Londynie szkoła, o czym wszechwiedzący p. Głowacki wydaje się nie wiedzieć, wzorowana na lwowskiej Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego. Warunkiem przyjęcia do niej była matura i wstępny egzamin, chyba więc nie była to szkoła średnia, co sugeruje on w swoich o mnie oskarżeniach.

10. Dowody? Niektóre są zawarte w punktach 7 i 8.

Głowacki pisze, że byłem „brawurowym chojrakiem”, że większość czasu „objałem się po szpitalach”. Z własnej dobrej woli „nie objałem się” po szpitalach, tylko z odniesionych ran. Za każdym razem wracałem do pułku. W czasie kiedy leżałem w szpitalach – tak się składało – pułk przechodził na odpoczynek.

Pozostając z głębokim szacunkiem i poważaniem

Zdzisław Julian STAROSTECKI



Houston, Texas 25 lutego 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim tekście ani nie podważam legendy bitwy o Monte Cassino, ani nie podważam dobrych intencji cenionego przeze mnie pisarza Melchiora Wańkowicza, ani też nie zaprzeczam bohaterstwa żołnierzy legendarnych „Skorpionów”. Moje publikacje świadczą, jak dalece cenię i utrwalam pewne postawy. Z tych pobudek zajęłam się kolejnym tematem – sprawą krzywdzącą dla jednego z żołnierzy, będących częścią epopei 2 Korpusu.

Zdzisław Julian Starostecki był żołnierzem walczącym pod Kockiem, kolejno więźniem Gułagu, jednym z pierwszych kilkunastu ochotników w batalionie pancernym w Tockoje przy 6-ej dywizji piechoty gen. Michała Karasiewicza-Tokarzewskiego. We włoskiej kampanii 2 Korpusu był trzykrotnie ranny, uhonorowany wojennymi bojowymi odznaczeniami. W 3-ej Rzeczypospolitej odznaczony został przez obydwu prezydentów.

Ignorowanie i przez lata próby zatuszowania opisywanej sprawy doczekało się wreszcie wyjścia prawdy „poza Pułk”. Wywiadem ze Zdzisławem Starosteckim „dałam świadectwo prawdzie”, nawet jeżeli jest to prawda, która boli.

Pozostając z szacunkiem

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Na tych wyjaśnieniach zamykamy dyskusję. REDAKCJA

LIST DO REDAKCJI

10 kwietnia 1997 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Grzegorz Mazur w liście do redakcji *Zeszytów Historycznych* (ZH nr 119) obdarzył mnie tytułem „dr”. Zakładam, że jest to powszechnie przyjęty skrót tytułu naukowego „doktor”. Pragnę sprostować tę informację i oświadczam, że tytułu „doktora” nie posiadam i nigdy się nim nie posługiwałem.

Podejmując dyskusję z p. Mazurem nie miałem zamiaru kwestionowania Jego starań w dotarciu do prawdy. Wprost przeciwnie. Cieszę się, że podjął ten temat. Moje listy należy traktować jako przyczynki umożliwiające przybliżenie się do faktów.

Pan Mazur, w szeregu artykułów na łamach *Zeszytów Historycznych*, podjął niezmiernie trudny temat: dotarcie do faktów w końcowym stadium Armii Krajowej. Jak słusznie zauważa, dokumentów jest niewiele. Wiele dokumentów przejęła bezpieka w początkowych latach władzy ludowej. Los tych dokumentów jest nieznan. Stanowisko obecnych rządów, łącznie z rządami „solidarnościowymi”, nie sprzyjało dotarciu do dokumentów i zabezpieczeniu tych, które ocalały. W międzyczasie „organy” pilnie pracowały nad zatarciem śladów. Podejrzewam, że wiele dokumentów zostało zniszczonych, ponieważ „nie pasowały” do tez władzy ludowej. Ich miejsce zajęły legendy historyczne – niewiele mających wspólnego z faktami – które pilnie tworzyło wielu historyków PRL-u. Nadszedł czas ich odkłamania.

Niestety, zauważyłem, że i obecnie szereg publikacji opartych na wspomnieniach stara się „podkolorować” okupacyjną rzeczywistość. Nie znaczy to, że są bezwartościowe. Należy jednak podchodzić do nich z dużą ostrożnością i konfrontować zawarte tam informacje z innymi publikacjami na ten temat. Należy je traktować jako kamyki, które będzie można użyć do stworzenia mozaiki, z której wyłoni się możliwie wierny obraz tego skomplikowanego okresu historii Polski.

Wreszcie ostatnia kwestia poruszona w liście p. Mazura – dostęp do zbioru dokumentów w moim posiadaniu. Oczywiście, jestem gotów dokumenty udostępnić. Zamiar ten miałem od dawna. Niestety nie mogłem znaleźć odpowiedniej instytucji. Zdaję sobie sprawę, że nie są one moją wyłączną własnością. Są one spuścizną nas wszystkich. Uważam siebie jako tymczasowego opiekuna.

Łączę wyrazy poważania

K. STYŚ

SPROSTOWANIA

SPROSTOWANIA I UZUPEŁNIENIA

W artykule „Winiетки wyzwolenia i drugiej okupacji”, *Zeszyty Historyczne* nr 118, str. 218, błędnie podałem nazwę wydawanego w Nałęczowie pisma. Nazywało się ono *Codziennie wiadomości*, a nie *Wiadomości Radiowe*. Ukazało się 14 numerów, pierwszy 24 lipca 1944, a ostatni 8 sierpnia. Oryginały posiadam w moim archiwum. Początkowo pismo miało nakład 250 egzemplarzy. Poczynając od nr 7. z 31 lipca, nakład wzrósł do 1.000 egzemplarzy, a pismo miało spełniać rolę „Informatora na cały powiat puławski”. W numerze tym opublikowano zarządzenia Powiatowej Delegatury Rządu R.P. Narastające konflikty ilustruje notatka w numerze 8. z 1 sierpnia:

„Wiadomości miejscowe. Dowiadujemy się, że Delegatura Rządu w naszym powiecie posiada zorganizowany aparat administracji państwowej i samorządowej. Rozpoczęli działalność referenci: samorządowy, bezpieczeństwa, rolny, aprowizacji. Bezpieczeństwo spoczywa w naszym powiecie w rękach formacji policyjnych K.B. (Korpus Bezpieczeństwa) i S.S. (Straż Samorządowa), podporządkowanych Delegatowi Rządu. Duże trudności w pracy administracyjno-samorządowej nastęrcza stanowisko P.P.R., która w pewnych gminach usunęła wójtów i K.B., wprowadzając do gmin własnych urzędników (w kilku wypadkach dotychczasowych wójtów niemieckich); dokonano tego w sześciu gminach. W pozostałych 12 gminach powiatu puławskiego sprawują władzę wójtowie i komendanci K.B. powołani przez Delegaturę Rządu Rzeczypospolitej. Jesteśmy pewni, że powyższa anormalność i dwutorowość władz zostanie w krótkim czasie zlikwidowana w wyniku konferencji prem. Mikołajczyka i marszał. Stalina”.

W podobnym tonie utrzymana jest notatka w numerze 9. z 2 sierpnia:

„Z Nałęczowa i okolic. [W dniu] 1.8. br., z inicjatywy P.P.R. odbyły się konferencje między przedstawicielami Powiatowej Rady Narodowej z przewodniczącym na czele, a zarządami gminnymi w Nałęczowie oraz w Wąwolnicy. Przedstawiciele P.P.R. proponowali członkom Zarządów Gminnych wejście do Rady Narodowej i podporządkowanie się jej zarządzeniom. Porozumienia pod tym

względem nie osiągnięto. Postanowiono wszelkie decyzje odłożyć do czasu zakończenia konferencji między marsz. Stalinem i prem. Mikołajczykiem w Moskwie. Przedstawiciele P.P.R. nie wprowadzili do Nałęczowa swojego Zarządu Gminnego. Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej potępił usuwanie siłą Zarządów Gminnych powołanych przez Delegata Rządu Rzeczypospolitej, stojąc na stanowisku, że powinno się dojść do porozumienia”.

W numerze 10. z 3 sierpnia opublikowano zawiadomienie: „Wczoraj, 2.8., przybył do Nałęczowa Komendant Gminy z ramienia Armii Czerwonej – Łoktionow, który dziś o godzinie 3-ciej popołudniu odbędzie konferencję z wójtem i sołtysami”. W ostatnich czterech numerach *Codziennych Wiadomości* nie ma już żadnej wzmianki na temat „dojścia do porozumienia”.

Marek RUDZKI

POPRAWKI I UZUPEŁNIENIA DO OPRACOWANIA „JEŃCY Z PAWLISZCZEW BORU” (ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 118)

Do str. 4. Wyższym oficerem, któremu zamieniono status z jeńca wojennego na więźnia cywilnego i poddano śledztwu, był również ppłk dypl. Antoni Szymański, *attaché* wojskowy w Berlinie w latach 1932-39. Potem więzień Starobielska. (Daniel Bargiełowski, „Konterfekt renegata”, wyd. Antyk, Warszawa 1996, str. 106). Po wojnie płk Szymański został mianowany generałem.

Do str. 6, przypis 9. Wśród osób, które są na liście Moszyńskiego, ale nie ma ich w wykazie Soprunienki, można wyróżnić następujące trzy grupy:

a) kilkunastu jeńców z Kozielska (podchorążowie, podporucznicy i porucznicy), spośród których ppor. Marcinkiewicz zmarł potem w Griażowcu;

b) kilkunastu jenców z Ostaszkowa (posterunkowi i st. posterunkowi policji i jeden cywil);

c) kilkunastu jeńców, których obozów pobytu Moszyński nie zdołał ustalić (ppor., pchor., 2 sierż., 2 policjantów, strażnik graniczny, 4 strz. i st. strz., oraz 3 o nieznanym zawodach). Z tej grupy zmarł w Khanakinie st. sierż. Bronisław Przybylski.

Prawdopodobnie były to dwa późniejsze transporty, skierowane do Pawliszczew Bor, już po skompletowaniu omawianego wykazu Soprunienki, czyli pod koniec maja 1940 r. (*Nb.* Wykaz Sopru-

nienki nie ma daty, a jedynie miesiąc „maj”). Jeden z tych transportów był z Kozielska, a drugi z Ostaszkowa. Natomiast w tym czasie transportu ze Starobielska z pewnością nie było.

Do str. 13. Przed jednym z nazwisk brakuje tytułu „dr”. Chodzi tu o ppłka dra Włodzimierza Missiuro (ur. 1892) ze Szpitala Ujazdowskiego, który był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Po wyjściu z Sowietów wysłano go do W. Brytanii i w marcu 1942 r. został on przydzielony do Polskiego Wydziału Medycyny przy University of Edinburgh. Po wojnie wraz z tym Wydziałem wyjechał on do Poznania.

Do str. 17, przypis 19. Podobno właściciel tartaku i młynów Józef Mojsze Kleinman (ur. 1872) znalazł się wśród jeńców wojennych w ten sposób, że konwojenci dołączyli go do kolumny jenieckiej w Ostrogu nad Horyniem zamiast oficera, który zdołał uciec, tak, żeby ilość jeńców w tej kolumnie zgadzała się.

Do str. 21. We Lwowie nie było Akademii Medycznej (jak podałem), natomiast wydział medycyny był częścią Uniwersytetu Jana Kazimierza. Syn profesora tego wydziału pchor. Jerzy Nowicki – nr 244 nie przechodził przez więzienie (jak podałem) i został wysłany z obozu jeńców do Lwowa. Razem z nim zwolniono również i wysłano do rodziny we Lwowie ppor. Jana Lubomirskiego – nr 284.

Do str. 22 i 23. Dane dotyczące jeńców, którzy brali udział w działaniu *krasnawo ugotka* zawierają sporo błędów. Poprawiony wykaz, z dodaniem pchor. Filipa Kowalczuka, który, zdaniem p. Jerzego Turskiego – nr 197, brał również udział w tej akcji, znajduje się poniżej. Po każdym nazwisku i numerze z wykazu Soprunienki, podany jest w nawiasach obóz, z którego dany jeńiec przybył (K – Kozielsk, S1 i S2 – Starobielsk, pierwszy i drugi transport, O – Ostaszków), oraz powód jego wysłania do Pawliszczew Bor (misja litewska, żądanie Mierkułowa, 5 Oddz. NKWD, inny).

Podpułkownicy:

Berling – 39 (S1, 5 Oddz.), Bukojemski – 255 (S1, 5 Oddz.), Dudziński – 267 (S1, 5 Oddz.);

Major:

Krywko – 259 (S1, 5 Oddz.);

Kapitanowie:

Łopaciński – 219 (O, 5 Oddz.), Rosen-Zawadzki – 251 (S1, 5 Oddz.);

Porucznik:

pilot Wicherkiewicz – 172 (K, Mierk.)

Podporucznicy:

Imach – 382 (K, ?), Kuśmieruk – 170 (K, Mierk.), dr med. Lewin – 76 (O, misja lit.), inż. elektryk Majer – 175 (K, Mierk.), kapelmistrz Michałowski (ur. 1884) – 169 (nieznany, Mierk.),

prawnik Modlinger – 271 (S1, inny), Podgórski – 174 (K, Mierk.),
dr med. Prużański – 380 (K, ?), prawnik Szapiro – 200 (S2, misja
lit.), Szczypiński – 321 (K, inny), Teodorowicz – 221 (O, inny),
dentysta Uroda – 270 (S1, inny);

Podchorążowie:

dr med. Borkowski – 381 (K, inny), Gupieniec – 163 (K,
Mierk.), Kowalczuk – 190 (K, Mierk.), Kukuliński – 326 (K, inny),
lotnik Kwiczała – 194 (K, Mierk.), Puchawko – 149 (K, Mierk.),
medyk Tarnawski – 294 (K, Mierk.), Tatarynowicz – 260 (S1, inny);

Pozostali:

kpr. Balunis – 78 (K, misja lit.), działacz zw. zawodowych
wachim. Zieliński – 390 (nieznany, Mierk.), cywil Żuk – 103 (O,
Mierk.).

RAZEM: – 30

Do str. 23 i 25 przypis 36. Poprawne brzmienie nazwiska jest
Gupieniec (a nie Grupieniec, jak podałem). Pomimo, że należał do
kompanii podchorążych, był jedynie szer. z cenzusem.

Do str. 25 przypis 36. Według Jerzego Turskiego, pchor.
Kwiczała z 3 Kompanii podchorążackiej „Niezwyceńzonych”, która
liczyła 68 jeńców wojennych (lista we wspomnieniach ks. Peszkow-
skiego, str. 79) wahał się, ale ostatecznie zgłosił się do Polskiego
Wojska i wyjechał z lotnikami do W. Brytanii. Natomiast pięciu
innych nie zgłosiło się: Borkowski Wiktor – 381, Gupieniec Anatol
– 163, Kowalczuk Filip – 190, Plutowicz Mikołaj – 147 i
Tatarynowicz – 260.

Do str. 26. Wszyscy trzej rozstrzelani w 5 Dyw. Piechoty, dawni
jeńcy wojenni (ppor. Meyer – 374, sierż. Sobota – 71 i szer. Mydlarz
– 393) są wymienieni w „Wykazie poległych i zmarłych żołnierzy
P.S.Zbr. na Obczyźnie 1939-46” (Londyn 1952). Natomiast nie ma
w tym rejestrze dwóch innych żołnierzy rozstrzelanych w
Buzułuku, których wyrok śmierci brzmiał następująco:

*Wyrokiem Sądu Polowego, wydanym w trybie doraźnym na
rozprawie głównej w dniu 2 IX 1941 r. zostali uznani winnymi
usiłowania zbrodni rozboju (art. 259 w związku z art. 23 par. 1. k.k.)*

1) st. strz. Słodownik Marian vel Jurkiewicz Józef

2) cywilny Wolnica Walter

i za tę zbrodnię skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie.

*Wyrok został wykonany przez rozstrzelanie obu skazanych w dniu
3 XI 1941 r. o godz. 7 rano w Buzułuku.*

Do str. 32. Poza wymienionymi na tej stronie żyje również w
Tarnowie malarz ppor. Stanisław Westfalewicz – 196 (uratowany
na żądanie Mierkułowa) z Kozielska, który był potem ilustratorem

wydawnictw 2 Korpusu i w kwietniu 1947 r. powrócił do kraju (*Dziennik Polski* z 28 września 1996 r.). Poza tym w Londynie zmarł w styczniu 1997 r. pchor. Mieczysław Hopko – 303 (uratowany jako inny) z Kozielska, który potem był oficerem 4 Pułku Pancernego „Skorpion”, odznaczonym Orderem *Virtuti Militari*.

Zarówno w opracowaniu jak i w tych uzupełnieniach nazwę obozu pozostawiłem bez zmian w jej rosyjskiej wersji, np. z Pawliszczew Bor, do Pawliszczew Bor, w Pawliszczew Bor, przez Pawliszczew Bor itp. Natomiast redakcja *Zeszytów Historycznych* wprowadziła odmianę drugiej części tej nazwy np. z Pawliszczew Boru, do Pawliszczew Boru, w Pawliszczew Borze, przez Pawliszczew Bor itp.

Londyn, 29 stycznia 1997 r.

Z.S. SIEMASZKO

SPIS TREŚCI

Tadeusz Bujnicki: <i>Wilno: tradycje historyczne, kulturowe i literackie jako czynniki formujące świadomość narodową polskiej mniejszości na Litwie</i>	3
Andrzej Pukszt: <i>Ostatnie chwile Rektora Stefana Ehrenkreutza i USB</i>	20
Kajetan Bieniecki: <i>Raporty brytyjskich lotników o Polsce</i>	35
Kazimierz Styś: <i>„Burza” i „Deszcz” na terenie obwodu AK Kozienice</i>	59
Witold Andruszkiewicz: <i>Holocaust w Ejszyszkach</i>	83
Longin Tomaszewski: <i>Kedyw w okręgu wileńskim Armii Krajowej</i>	97

WSPOMNIENIA

Romuald Czyżewski: <i>Obóz pracy „Dora”</i>	125
Halina Czermińska-Żelaźniewiczowa: <i>„Urszula”: Ludzie z „Zagajnika” 1942-1944</i>	158

DOKUMENTY

Tomasz Mianowicz: <i>Instrukcje dla bratniej partii: Rozmowy Andrieja Gromyki w Warszawie przed IX Zjazdem PZPR</i>	194
---	-----

RECENZJE

Tadeusz Wyrwa: <i>Miscellanea tomu XXI londyńskich Tek Historycznych</i>	202
Bogumiła Berdychowska: <i>Sojusz Piłsudski – Petlura</i>	215
Andrzej Pasternak: <i>3 Maja 1946 roku w Krakowie</i> .	219
<i>Książki nadestane</i>	221

POLEMIKI

Zarząd Koła Pułku 4. Pancernego „Skorpion”, Zdzisław Julian Starostecki, Edward Głowacki i Aleksandra Ziółkowska-Boehm: <i>Listy dotyczące wywiadu przeprowadzonego przez p. A. Ziółkowską-Boehm z Z.J. Starosteckim (Zeszyty Historyczne nr 117)</i>	224
---	-----

LIST DO REDAKCJI

K. Styś: <i>Polemika z Grzegorzem Mazurem w związku z jego artykułem w Zeszytach Historycznych nr 119, dotyczącym Armii Krajowej</i>	232
--	-----

SPROSTOWANIA

Marek Rudzki: <i>Sprostowania i uzupełnienia do jego artykułu pt. „Winiетки wyzwolenia i drugiej okupacji” (Zeszyty Historyczne nr 118)</i>	233
Z.S. Siemaszko: <i>Poprawki i uzupełnienia do jego artykułu „Jeńcy z Pawliszczew Boru” (Zeszyty Historyczne nr 118)</i>	234

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 23 MAI 1997
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 2^e trim. 1997
N° d'imprimeur : 1719

F 90